

KATE WILHELM

Gdzie dawniej śpiewał ptak



SOLARIS

Kate Wilhelm

Gdzie dawniej śpiewał ptak

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

Rozdział 28

Epilog

Rozdział 1

Dawid nie cierpiał rodzinnych obiadów u Sumnerów. Zgromadzona przy stole rodzina rozmawiała o nim tak, jakby jego samego wcale tam nie było.

– Na pewno jada za mało mięsa. Patrz, jaki on mizerny.

– Psujesz go, Carrie. Jeśli nie zjada obiadu, nie pozwalaj mu wychodzić na podwórko. Ty byłaś taka sama.

– W jego wieku bez trudu ścinałem drzewo toporem. A on? Nie wyciosałby sobie nawet tunelu przez mgłę. Dawid wyobrażał sobie, że jest niewidzialny, że niedostrzegalny dla innych unosi się ponad ich głowami. Zawsze ktoś z gości musiał zapytać, czy Dawid ma już swoją, dziewczynę i niezależnie od tego, czy odpowiedź brzmiała "tak" czy "nie", rozlegały się znaczące pochrząkiwania. Ze swego punktu obserwacyjnego niewidzialny Dawid wymierzał pistolet laserowy w wuja Clarence'a, którego szczególnie nie lubił, ponieważ wuj był gruby, łysy i bardzo bogaty. Wuj Clarence miał zwyczaj maczać herbatniki w sosie, w syropie albo – i to najczęściej – w mieszaninie sorgo z masłem, którą bełtał na talerzu tak długo, aż wyglądała jak dziecięce gówienko.

– I wciąż upiera się, że zostanie biologiem? Powinien pójść na akademię medyczną i rozpocząć praktykę u boku Walta.

Wymierzał pistolet laserowy w wuja Clarence'a i wycinał mu z brzucha zgrabny szpuncik, wskutek czego wuj wypływał z otworu i zalewał całe towarzystwo.

– Dawidzie! – Dawid poderwał się, po czym znów opadł na krzesło. – Dawidzie, czemu nie pójdziesz sprawdzić, co tam broją inne dzieci? – Cichy, zrównoważony głos ojca mówił w rzeczywistości: "Dosyć tego" – po czym zbiorowy umysł rodziny koncentrował się na jakiejś innej latorośli.

Gdy Dawid podrósł, wyuczył się skomplikowanych relacji pokrewieństwa, które w dzieciństwie przyjmował bez pytania: wujowie, ciotki, kuzyni, w drugiej i trzeciej linii. A także członkowie honorowi – bracia, siostry i rodzice tych, którzy wżenili się w rodzinę. Byli więc Sumnerowie, Wistonowie, O'Grady'owie, Heinemanowie, Meyerowie, Capkowie, Rizzowie – wszyscy znad tej samej rzeki, która przepływała przez żyzną dolinę.

Szczególnie dobrze pamiętał ferie. Stary dom Sumnerów pękał w szwach od mnogości sypialni na piętrze. Strych wykładano od ściany do ściany legowiskami dla dzieci, a w jego zachodnim oknie umieszczano ogromny wentylator. Na wszelki wypadek zawsze jednak ktoś przychodził sprawdzić, czy dzieciarnia nie podusiła się na strychu. Starsze dzieci miały się niby opiekować młodszymi, ale w rzeczywistości noc w noc straszyły je tylko opowieściami o duchach. W końcu poziom hałasu podnosił się tak znacznie, że sytuacja wymagała interwencji dorosłych. Wujek Ron ciężko człapał po schodach, a wewnątrz zaczynała się kotłowanina, hamowane chichoty i tłumione piski, póki każdy nie znalazł własnego siennika; tak że kiedy wujek Ron zapalał wreszcie światło w korytarzu, które mgliście rozjaśniało strych, wyglądało na to, że wszystkie dzieci już śpią. Zatrzymywał się na chwilę w drzwiach, po czym zamykał je, gasił światło i człapał na dół, najwyraźniej głuchy na dobiegające go z góry odgłosy wznowionej zabawy.

Najścia ciotki Klaudii były jak pojawienie się ducha: Jeszcze przed chwilą w powietrzu latały poduszki, ktoś płakał, ktoś inny próbował czytać przy latarce, przy drugiej; latarce kilku chłopców grało w karty, dziewczynki zbite w gromadki szeptały sobie do ucha jakieś niewątpliwie słodkie sekreciki, sądząc po tym, jak się czerwieniły i peszyły, ilekroć ktoś z dorosłych zaszedł je znienacka – aż tu nagle drzwi otwierają się gwałtownie, na cały bałagan pada snop światła, a w progu staje ona. Ciotka Klaudia była bardzo wysoka i chuda, nos miała za duży i była niezmiennie opalona na

kolor wygarbowanej skóry. Stała tak, nieruchoma i straszliwa, a dzieci bezszelestnie wślizgiwały się pod koce. Ciotka ani drgnęła, póki każde nie trafiło na swoje miejsce, po czym bezgłośnie zamykała drzwi. Cisza przedłużała się w nieskończoność. Ci, którzy spali najbliżej drzwi, wstrzymywali oddech, próbując złowić uchem odgłos sapania po drugiej stronie. Wreszcie ktoś zdobywał się odwagę uchylenia drzwi i jeśli ciotki naprawdę już nie było, bal rozpoczynał się od nowa.

W pamięci Dawida utrwaliły się zapachy świąt. Te najzwyczajniejsze: placka z owocami i pieczonych indyków, octu, który się dodawało do farb no pisanki, tataraku i gęstego, kremowego dymu woskowych świec. Ale najlepiej pamiętał woń prochu strzelniczego, który wszyscy nosili przy sobie podczas zjazdów na Czwartego Lipca. Zapach, który przenikał ich włosy i ubrania i przez długie dni pozostawał no rękach. Ich dłonie upstrzone były purpurowymi i czarnymi plamami po jagodach i ta barwa zmieszana z tamtym zapachem stanowiła jedno z niezatartych wspomnień jego dzieciństwa. Mieszała się z nią woń siarki, którą opylano ich obficie dla odstraszenia pcheł.

Gdyby nie Celia, jego dzieciństwo można by nazwać idealnym. Celia była córką siostry jego matki. Była o rok młodsza od Dawida i zdecydowanie najładniejsza ze wszystkich kuzynek. Jako małe dzieci obiecali sobie, że się kiedyś pobiorą, gdy jednak trochę podrośli i przyjęli do wiadomości, że małżeństwo między ciotecznym rodzeństwem nie wchodzi w rachubę, zamienili się w zaciekłych wrogów. Dawid nie pamiętał już, skąd się o tym dowiedzieli. Był przekonany, że nikt tego nigdy dokładnie nie sformułował, ale oni domyślili się i tak. Po tym odkryciu, ilekroć nie mogli zejść sobie z drogi, zaczynali się bić. Gdy Dawid miał piętnaście lat, Celia zepchnęła go ze stogu, przez co złamał rękę, o kiedy miał szesnaście, mocowali się przez całe pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt metrów dzielące kuchenne drzwi wiejskiego domu Wistonów od płotu. Pozdzierali z siebie ubrania, plecy Dawida krwawiły od śladów paznokci Celi, ona rozharatała sobie bark o jakiś kamień, i nagle, podczas tej szamotaniny i kotłowania, jego policzek dotknął jej odkrytej piersi i Dawid przerwał walkę. Stał się nagle rozmamłanym, pochlipującym, gamoniowatym półgłówkiem, a ona dała mu kamieniem w głowę i tym samym zakończyła potyczkę.

Do tego momentu wszystko odbywało się w kompletnej nieomal ciszy, przerywanej jedynie sapaniem i szeptanymi wyrazami, które musiałyby zbulwersować rodziców obu stron. Lecz gdy go uderzyła, a on osunął się na ziemię nie zemdlony, ale oszołomiony, obojętny, bierny – Celia krzyknęła głośno, ulegając przerażeniu i trwodze. Rodzina wysypała się z domu, jak gdyby ktoś nim potrząsnął, i w pierwszej chwili wszyscy musieli pomyśleć, że Celia została zgwałcona. Ojciec zagnał Dawida do stodoły z pozornym zamiarem wymierzenia mu kary chłosty, ale gdy już tam dotarli, stanął z paskiem w dłoni i popatrzył na chłopca z miną wściekłą, a zarazem w przedziwny sposób pełną współczucia – i nawet go nie dotknął. Dopiero gdy odwrócił się i wyszedł, Dawid uświadomił sobie, że łzy wciąż płyną mu po twarzy.

W rodzinie byli rolnicy, kilku prawników, dwóch lekarzy, agenci ubezpieczeniowi, bankierzy i młynarze, kupcy z branży metalowej i innych gałęzi handlu. Ojciec Dawida był właścicielem sporego domu towarowego, który zaopatrywał zamożniejszych ludzi z doliny. Dolina była żyzna, farmy duże i dostatnie. Dawid zamsze miał wrażenie, że z wyjątkiem kilku pechowców – jego rodzina jest raczej, zamożna. Ze wszystkich krewnych najbardziej lubił brata swojego ojca, Walta. Nazywali go zawsze doktorem Waltem, nigdy stryjem. Bawił się z dziećmi i uczył je różnych dorosłych rzeczy, na przykład, gdzie wymierzyć cios, jeśli naprawdę chce się zadać ból, a w które miejsca nie uderzać w przyjacielskiej szamotaninie. Walt wcześniej niż inni dorośli zrozumiał, że należy przestać traktować ich jak dzieci. To właśnie doktor Walt sprawił, że Dawid jeszcze jako mały chłopiec postanowił zostać naukowcem.

Wyjeżdżając do Harvordu Dawid miał siedemnaście lat. 3ego urodziny przypadały we

wrześniu, ale spędził je poza domem. Kiedy wreszcie wrócił na Święto Dziękczynienia i gdy cały klan rodzinny zebrał się w komplecie, dziadek Sumner ponalewał rytualne przedobiednie martini i jeden kieliszek wręczył Dawidowi. A wuj Warner zagadnął go: – Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić z Bobbie?

Dawid doszedł do owego tajemniczego rozdroża, które nigdy nie jest na tyle wyraźnie oznakowane, aby dało się dojrzeć zawczasu. Sącył maitini, nie zachwycając się szczególnie jego smakiem, i wiedział już, że dzieciństwo się skończyło, a zarazem czuł wszechogarniający smutek i samotność.

Boże Narodzenie roku, w którym obchodził swoje dwudzieste trzecie urodziny, utrwaliło się w pamięci Dawida jak nieostry film. Scenariusz był jak zwykle ten sam: strych pełen dzieci, zapachy potraw, podający śnieg – nic się nie zmieniło, ale Dawid obserwował wszystko z nowej pozycji i nie była to już ta sama kraina czarów, co dawniej. Kiedy jego rodzice odjechali do domu, Dawid zatrzymał się jeszcze na farmie Wistonów, oczekując przyjazdu Celi. Nie zdążyła no same święta, szykując się na wyprawę do Brazylii, ale jej matka zapewniała babcię Wiston, że na pewno przyjedzie, więc Dawid czekał – nie radośnie, nie z nadzieją na nagrodę lecz z furją, która kazała mu chodzić z kąta w kąt, jak chłopcu ukaranemu za cudze grzeszki.

Kiedy weszła do domu i zobaczył ją stojącą obok matki i babki, jego ziość przysła. Zdawało mu się, że oto widzi Celię w rozszczepieniu czasu: taką, jaka jest i równocześnie jaka będzie albo jako kiedyś już była. Jej płowe włosy zmieniają się nieznacznie, lecz kości czaszki bardziej się uwidoczniają, a całkowitą niemal pustką twarzy zapisze wzór troski, miłości, oddania, bycia wyłącznie sobą i siły, której istnienia trudno byłoby się domyślać w filigranowym ciele. Babka Wiston była piękną starą damą, co uświadomił sobie ze zdumieniem, zaskoczony, że nigdy wcześniej nie dostrzegł jej urody. Matka Celi była ładniejsza od córki. A w całej tej trójcy Dawid odnalazł podobieństwo do swojej własnej matki. Bez słowa, pokonany, odwrócił się i poszedł na tyły domu, gdzie włożył jedną z grubych wiatrówek dziadka, gdyż wcale nie pragnął się teraz widzieć z Celią, a jego własna kurtka wisiała w szafie frontowego hallu, zbyt blisko miejsca, w którym stała ona.

* * *

Spacerował w mrozie popołudnia, ślepy na wszystko dokoła co jakiś czas wstrząsany dreszczem, kiedy zdawał sobie sprawę, że marzną mu nogi albo uszy. Kilka razy pomyślał, że należałoby wracać, ale szedł dalej. Uświadomił sobie nagle, że wspina się po zboczach wiodącym do wiekowej puszczy, do której raz, dawno temu, zabrał go dziadek. Rozgrzany wspinaczką stanął o zmierzchu pod gałęziami niebotycznych drzew, które rosły w tym miejscu od początku świata. Te same albo inne, identyczne. W oczekiwaniu. W ciągłym oczekiwaniu na dzień, w którym znów rozpoczną wspinaczkę po szczeblach drabiny ewolucji. Tu właśnie rosły niezwykle okazy, do których przyprowadził go dziadek: jałowiec, który osiągnął rozmiary pokaźnego drzewa, chociaż w niższych partiach zbocza zawsze był tylko krzakiem; biała lipa rosnąca obok cykuty i gorzkiego orzecha; splecione w uścisku gałęzi buki i kasztanowce.

– Dawidzie! – Zatrzymał się i nadstawił ucha, pewien, że się przesłyszał, ale wołanie się powtórzyło. – Dawidzie, jesteś tam?

Odwrócił się i między masywnymi pniami drzew ujrzał Celię. Policzki miała bardzo czerwone od mrozu i wysiłku wspinaczki; błękit jej oczu był dokładnie taki sam jak kolor opasującego szyję szalika. Zatrzymała się o parę metrów od Dawida i otworzyła usta, żeby znów przemówić, ale nie powiedziała ani słowa. Zdjęła tylko rękawiczkę i dotknęła gładkiego pnia buku.

– Dziadek Wiston i mnie tutaj przyprowadził, kiedy miałam dwanaście lat. Bardzo mu zależało, żebyśmy poznali to miejsce.

Dawid skinął głową.

Wówczas podniosła na niego wzrok.

– Dlaczego tak wyszedłeś? Wszyscy myślą, że znowu będziemy się bić.

– Niewykluczone – odparł.

– Nie sędzę – uśmiechnęła się. – Nigdy więcej.

– Powinniśmy ruszać z powrotem. Zaraz będzie ciemno. – Ale sam nie zrobił ani kroku.

– Dawid, spróbuj przekonać mamę, dobrze? Przecież rozumiesz, że ja muszę jechać, że muszę coś robić, prawda? Mama uważa, że jesteś strasznie mądry. Ciebie usłucha.

Roześmiał się.

– Oni wszyscy uważają, że jestem mądry. Jak tresowany pudel.

Celia pokręciła przecząco głową.

– Tylko ciebie mogą posłuchać. Mnie traktują jak dziecko i zawsze już tak zostanie.

Dawid z uśmiechem potrząsnął głową, ale szybko oprzytomniał i spytał:

– Po co wyjeżdżasz, Celio? Co chcesz przez to udowodnić?

– Do diabła, Dawid, kto ma to rozumieć, jak nie ty? Wzięła głęboki wdech i powiedziała: – Słuchaj, czytujesz gazety, no nie? W Ameryce Południowej głodują ludzie. Pod koniec tego dziesięciolecia część Ameryki Południowej znajdzie się w stanie klęski głodowej, jeśli nie udzieli się tym ludziom natychmiastowej pomocy. I nikt jeszcze nie przeprowadził porządnych badań nad metodami uprawy ziemi w tropiku. Właściwie nikt. Mają tam same gleby laterytowe, ale nikt nie wie, co to oznacza. Ciągłe od nowa wypalają drzewa i ściółkę, więc po dwóch, trzech latach zostaje im wystawiona na słońce goła ziemia, twarda jak żelazo. Tak, owszem, przysyłają nam swoich najlepszych studentów, żeby się uczyli o nowoczesnych metodach w rolnictwie, ale ci studenci trafiają do Iowa, do Kansas, do Minnesoty albo w jakieś inne równie bezsensowne miejsce, gdzie uczą się metod uprawy w klimacie umiarkowanym, a nie tropikalnym. A my znamy się na rolnictwie w tropikach i chcemy uczyć tych ludzi na miejscu, w polu. Po to studiowałam. Za to dostanę tytuł naukowy.

Wistonowie byli urodzonymi rolnikami.

"Strażnicy ziemi – powiedział kiedyś dziadek Winston. – Nie właściciele, a właśnie strażnicy".

Celia schyliła się, odgarnęła z powierzchni ziemi złote liście i błoto i podniosła garść czarnej ziemi.

– Strefy głodu wciąż się rozprzestrzeniają. Tym ludziom potrzeba bardzo wiele. A ja mam tak wiele do ofiarowania! Nie rozumiesz?! – krzyknęła. Z całych sił zacisnęła pięść, zbijając ziemię w grudkę, która znowu się rozpadła, kiedy Celia dotknęła jej palcem. Ziemia posypała się w dół, a dziewczyna starannie zgarnęła na miejsce ochronną kołderkę liści.

– Poszłaś za mną, żeby się pożegnać, prawda? – spytał nagle szorstko Dawid. – Tym razem to na dobre, prawda? – Patrzył na nią, a ona powoli skinęła głową. – Ktoś z twojej grupy?

– Nie jestem pewna. Może tak. – Pochyliła głowę i zaczęła starannie naciągać rękawiczkę. – Myślałam, że wiem na pewno. Ale kiedy zobaczyłam cię w hallu, kiedy zobaczyłam twoją minę, gdy weszłam... uświadomiłam sobie, że po prostu nie wiem.

– Celio, posłuchaj. Nie mamy żadnych dziedzicznych obciążeń, które mogłyby wyjść na jaw. Wiesz o tym, do cholery! Gdyby coś takiego nam groziło, po prostu zrezygnowalibyśmy z dzieci, ale nie ma powodu. Wiesz o tym, prawda?

Skinęła głową. – Wiem.

– Na miłość boską, Celio, zostań ze mną. Nie musimy zaraz brać ślubu, niech się wszyscy najpierw przyzwyczają do tej myśli. A przyzwyczajają się. Zawsze tak bywa. Mamy mądrą rodzinę. Kocham cię, Celio.

Odwrociła głowę i Dawid dostrzegł, że płacze. Otarła oczy rękawiczką, a następnie gołą ręką, pozostawiając na twarzy smugi brudu. Dawid przyciągnął ją do siebie, przytulił i zaczął całować jej usta i mokre policzki.

– Kocham cię, Celio – powtarzał.

Odsunęła się w końcu od niego i ruszyła z boczem w dół. Dawid podążał za nią.

– W tej chwili nic nie mogę postanowić. To byłoby nie fair. Trzeba było zostać w domu, a nie gnać tu za tobą. Za dwa dni muszę wyjechać, Dawidzie. Nie mogę tak po prostu powiedzieć im, że zmieniłam zdanie. Dla mnie to bardzo ważna sprawa. Dla tamtych ludzi też. Nie mogę tak zwyczajnie postanowić, że nie jadę. Ty wyjechałeś na rok do Oxfordu. Ja też mam coś do zrobienia.

Chwycił ją za ramię i zatrzymał.

– Powiedz mi tylko, że mnie kochasz. Powiedz, tylko jeden raz, no powiedz.

– Kocham cię – wymówiła bardzo wolno.

– Jak długo cię nie będzie?

– Trzy lata. Podpisałam umowę. Spojrzał na nią wzrokiem pełnym niedowierzania.

– To zmień umowę! Wystarczy jeden rok. Przez ten czas ja skończę studia. Możesz uczyć tu, na miejscu. Niech przysyłają swoich prymusów do ciebie.

– Wracajmy, bo wyślą po nas ekspedycję ratowniczą powiedziała Celia. – Spróbuję zmienić umowę – wyszeptała. – Jeśli to będzie możliwe.

W dwa dni później wyjechała.

Dawid spędził sylwestra w domu Sumnerów, z rodzicami i całą watahą ciotek, wujów i kuzynów. W dzień Nowego Roku dziadek Sumner zakomunikował:

– Budujemy szpital w Bear Creek, po naszej stronie młyna.

Dawid z niedowierzaniem zamrugał oczami. To było prawie dwa kilometry od farmy i potwornie daleko od całej reszty świata.

– Szpital? – Spojrzał na stryja Walta, który potakująco kiwnął głową.

Clarence, skrzywiony, wpatrywał się w swój kieliszek, a trzeci z braci, ojciec Dawida, obserwował dym snujący się z fajki. Dawid uświadomił sobie, że oni już wszystko wiedzą.

– Dlaczego właśnie tu? – zapytał w końcu.

– To będzie placówka badawcza – odparł Walt. – Choroby genetyczne, wady wrodzone i tak dalej. Dwieście łóżek.

Dawid pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Macie pojęcie, ile takie coś może kosztować? Kto to sfinansuje?

Dziadek zaśmiał się gorzko.

– Senator Burke zgodził się łaskawie załatwić pieniądze z funduszu federalnego – powiedział. Ton jego głosu stał się jeszcze bardziej zjadliwy. – A ja przekonałem kilku członków rodziny, że powinni wrzucić po parę groszy do skarbonki. – Dawid zerknął na Clarence'a, który wydawał się dotknięty. – Ja daję ziemię – ciągnął dziadek Sumner. – Tak że pomoc idzie z różnych źródeł.

– Ale dlaczego Burke na to poszedł? Nie głosowałeś na niego w żadnej kampanii.

– Obiecałem mu, że wydobędziemy na jaw kupę rzeczy, które dotąd trzymaliśmy w tajemnicy, że poprzemy jego przeciwnika. I poparlibyśmy go, Dawid, nawet gdyby był pawianem, a mamy teraz wielgachną rodzinę. Gigantyczną rodzinę.

– No to czapki z głów – odparł Dawid, wciąż nie bardzo w to wszystko wierząc. – Rzucasz

praktykę dla badań naukowych? – zwrócił się do Walta. Stryj skinął głową. Dawid wypił likier do dna.

– Dawidzie – rzekł cicho Walt. – Chcemy cię zatrudnić.

Dawid raptownie podniósł wzrok.

– Mnie? Przecież nie zajmuję się badaniami medycznymi.

– Wiem, w czym się specjalizujesz – odparł Walt, wciąż bardzo cicho. – Chcemy cię zatrudnić jako konsultanta, a później szefa działu badań.

– Ale ja jeszcze nie skończyłem pisać pracy magisterskiej – spłoszył się Dawid, czując się jak w środku gniazda narkomanów.

– Jeszcze rok porobisz za murzyna u Selnicka i w końcu napiszesz tę pracę, skrobiesz trochę tu, trochę tam i gotowe. Mógłbyś skończyć ją w miesiąc, gdyby ci dali spokój, nie mam racji? – Dawid niechętnie skinął głową. – Wiem – rzekł Walt z niewyraźnym uśmiechem. – Otrzymałeś propozycję porzucenia kariery całego swego życia dla pustych mrzonek. – I już bez śladu uśmiechu dodał: – Ale my, Dawidzie, jesteśmy przekonani, że całe życie nie potrwa dłużej niż – w najlepszym razie – dwa do czterech lat.

Rozdział 2

Dawid przeniósł wzrok ze stryja na ojca, kolejno na innych obecnych w pokoju wujów i kuzynów, wreszcie na dziadka. Bezradnie potrząsnął głową.

– To szaleństwo. O czym wy mówicie?

Dziadek Sumner sapnął gwałtownie. Był postawnym mężczyzną, o masywnym torsie i wielkich, napiętych bicepsach. Dłonie miał tak ogromne, że w każdej mógłby zmieścić piłkę koszykową. Ale jego najbardziej uderzającą cechą była głowa, głowa olbrzyma. I chociaż dziadek przez wiele lat pracował na roli, a potem nadzorował tam pracę innych, zawsze znajdował czas, żeby przeczytać więcej niż ktokolwiek ze znanych Dawidowi ludzi. Nie było takiej książki z wyjątkiem najnowszych bestsellerów – o której by dziadek nie słyszał albo której by nie czytał. A to, co przeczytał, zawsze pozostawało mu w pamięci. Jego księgozbiór przewyższał liczebnością niejedną bibliotekę.

Dziadek pochylił się teraz i rzekł:

– Posłuchaj no, Dawidzie. Słuchaj uważnie. Powiem ci coś, do czego ten cholerny rząd jeszcze nie chce się przyznać. Stoimy na zboczu szklanej góry, po której cała nasza – i nie tylko nasza – gospodarka stoczy się niżej, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażano. Znam te symptomy, Dawidzie. Skażone powietrze dosięgnie nas, nim się obejrzymy. Stężenie napromieniowania w atmosferze jest dziś największe od czasów Hiroszimy – przez próby francuskie, przez próby chińskie. Przecieki. Bóg jeden wie, skąd się to wszystko bierze. Już parę lat temu przyrost ludności spadł u nas do zera, ale my przynajmniej staraliśmy się temu zaradzić. A inne kraje zbliżają się do zera teraz i już nawet nie próbują niczego robić. W jednej czwartej świata panuje w tej chwili głód. Nie za dziesięć lat, nie za pół roku; klęska głodu jest faktem już dziś, od trzech, czterech lat. I ciągle się pogłębia. Od czasu gdy Pan Bóg miłościwy zesłał plagi na Egipcjan, nie było na świecie takiej liczby chorób. O niektórych z nich nie mamy zielonego pojęcia.

Susze i powodzie zdarzają się dzisiaj częściej niż kiedykolwiek. Anglia zamienia się w pustynię, bagna i wrzosowiska wysychają. Wyginęły całe gatunki ryb – zwyczajnie, cholera, wyginęły – i to w ciągu roku czy dwóch. Nie ma anchois. Skończyło się przetwórstwo dorsza. Dorsze, które się teraz łowi, są skażone, niezdatne do spożycia. Skończyły się połowy u zachodnich wybrzeży obu Ameryk.

Każda, cholera, roślina białkowa na kuli ziemskiej ma jakąś skazę, która się systematycznie pogłębia. Śnieć kukurydziana. Rdza zbożowa. Choroby soi. Już teraz ograniczamy eksport żywności, a w przyszłym roku mamy go w ogóle zaprzestać. Brakuje nam substancji, o które zawsze byliśmy spokojni: cyny, miedzi, aluminium, papieru. Mój Boże – zwykłego chloru! A jak myślisz, co się stanie na świecie, gdy pewnego dnia stracimy możliwość oczyszczania wody do picia?

W miarę jak mówił, zasepiał się coraz bardziej i coraz bardziej się zaperzał, kierując swe retoryczne pytania do Dawida, który gapił się w niego, niezdolny wykrztusić ani słowa.

– A oni pojęcia nie mają, co z tym wszystkim począć ciągnął dziadek. – Kiedy dochodzi do powstrzymania własnej zagłady, potrafią zrobić mniej więcej tyle, co dinozaury. Zmieniliśmy reakcje fotochemiczne atmosfery ziemskiej, a nie potrafimy przystosować się do nowych rodzajów promieniowania dostatecznie szybko, aby przeżyć! Od czasu do czasu przebąkiwano, że to podstawowa sprawa, ale kto by tom słuchał? Te sakramenckie głupki każdy kataklizm gotowe są złożyć na karb lokalnych warunków klimatycznych, nie zważając na fakt, że to są zjawiska globalne. Aż wreszcie robi się za późno na jakąkolwiek interwencję.

– Ale jeśli naprawdę jest tak, jak mówicie, to co można zrobić? – zapytał Dawid, bezskutecznie szukając wzrokiem poparcia ze strony doktora Walta.

– Zatrzymać fabryki, ściągnąć samoloty na ziemię pozamykać kopalnie, wyrzucić auta na złom. Tego jednak nikt nie uczyni – a nawet gdyby, katastrofa i tak nas nie ominie. Niedługo wszystko się wyda. Wszystko, Dawidzie, wyjdzie na jaw w ciągu paru najbliższych lat. – Dopił likier do końca i głośno odstawił kryształową czarę. Dawid podskoczył na ten dźwięk.

– Takiej klęski, jaka nas czeka, nie było, odkąd, człowiek wydrapał swój pierwszy znak na skale – ot co! I my się na nią szykujemy! Ja się szykuję! Mamy ziemię i ludzi do jej uprawiania, wzniesiemy ten szpital i będziemy prowadzić badania nad metodami utrzymania zwierząt i ludzi przy życiu. Kiedy świat wpadnie w wir śmierci – my będziemy żyli, a gdy będzie głodował – my będziemy jedli.

Nagle przerwał i spojrzał na Dawida spod zmrużonych powiek.

– Mówiłem im, że wyjdiesz stąd przekonany; żeśmy wszyscy dostali bzika. Ale wrócisz, mój chłopcze. Wrócisz, nim zakwitną magnolie, bo sam dostrzeżesz znaki.

* * *

Dawid powrócił na uczelnię, do pisania pracy i do "czarnej roboty", którą obarczał go Selnick. Celia nie pisała, a on nie znał jej adresu. Matka Dawida, zapytana przyznała, że nikt nie miał od Celi żadnych wiadomości. W lutym, rewanżując się za embargo żywnościowe, Japonia zaproponowała ograniczenia wymiany towarowej, które uniemożliwiły Stanom Zjednoczonym dalszy handel z tym krajem. Japonia i Chiny podpisały traktat o wzajemnej pomocy. W marcu Japonia zagarnęła bogate w ryż Filipiny, Chiny zaś wznowiły zaniechaną przez dłuższy czas kontrolę gospodarczą nad Półwyspem Indochińskim z ryżowiskami Kambodży i Wietnamu.

W Rzymie, Los Angeles, Galveston i Savannah wybuchły epidemie cholery. Arabia Saudyjska, Kuwejt, Jordania i inne kraje bloku arabskiego wystosowały ultimatum: albo Stany Zjednoczone zagwarantują im stałe coroczne dostawy zboża i zaprzestaną wszelkiej pomocy dla Izraela, albo też skończą się dostawy ropy naftowej dla Stanów Zjednoczonych i Europy. Kraje te odrzuciły wyjaśnienie, że Stany Zjednoczone nie są w stanie sprostać ich wymaganiom. Natychmiast wprowadzono ograniczenie wyjazdów zagranicznych, a rząd, na mocy dekretu prezydenckiego, powołał nowy resort pod przewodnictwem członka rządu: Ministerstwo Informacji.

* * *

Gdy Dawid wracał do domu, drzewa judaszowe różowiły się mglistymi plamkami na tle czystego, po majowemu łagodnego nieba: W domu rodziców przebrał się tylko i zostawił pełne notatek walizy, po czym zaraz pojechał na farmę Sumnerów, gdzie Walt zatrzymał się na czas doglądania budowy szpitala.

Gabinet Walta mieścił się na parterze. Był to istny skład książek, notesów, kserokopii i listów. Walt powitał Dawida tak, jakby się wcale nie rozstawali.

– Słuchaj – zaczął od razu. – Co wiesz o tych badaniach Semple'a i Frerrera? W pierwszej generacji klonowanych myszy nie zaobserwowano żadnych odchyłeń, żadnych anomalii w zdolności do życia i rozmnażania, podobnie jak w dwu następnych pokoleniach, za to w czwartej generacji zdolność do życia gwałtownie się obniżyła. Nastąpił też systematyczny i nieodwracalny proces wymierania gatunku. Dlaczego?

Dawid usiadł ciężko i spojrzał na Walta w osłupieniu:

– Skąd to wiesz?

– Vlasic – odparł krótko Walt. – Studiowaliśmy razem medycynę. On poszedł w jednym

kierunku, ja w drugim, ale korespondowaliśmy z sobą przez ten cały czas. Zapytałem go i tyle.

– Znasz wyniki jego badań?

– Tak. Jego rezusy wykazują tę samą skłonność do wymierania w czwartym pokoleniu, aż do całkowitego wyginięcia gatunku.

– Niezupełnie – sprostował Dawid. – Vlastic musiał przerwać prace w ubiegłym roku. Brak funduszy. Nie znamy zatem wskaźnika żywotności późniejszych łańcuchów. Tendencja spadkowa zaznacza się jednak już w trzecim pokoleniu klonów: następuje wówczas spadek potencji. Vlastic każdą generację klonów rozmnażał drogą płciową, badając stopień normalności potomstwa. W trzeciej generacji wskaźnik potencji wynosił zaledwie dwadzieścia pięć procent. Z takim samym wskaźnikiem startowało potomstwo z zapłodnienia naturalnego i potencja obniżała się aż do piątego pokolenia poczętego drogą płciową, potem jednak zaczynała powoli wzrastać i prawdopodobnie osiągnęłaby z powrotem stan normalny.

Walt obserwował go uważnie, od czasu do czasu kiwając głową. Dawid mówił dalej:

– Tyle, jeśli chodzi o trzeci łańcuch klonów. U klonów łańcucha czwartego zanotowano drastyczną zmianę. Wystąpiły poważne anomalie, a zdolność do życia spadła o siedemnaście procent. Wszystkie osobniki dotknięte wadami były bezpłodne. Wskaźnik potencji spadł przeciętnie do czterdziestu ośmiu procent. W każdym kolejnym pokoleniu zrodzonym z zapłodnienia naturalnego wskaźnik ten spadał dalej na łeb, na szyję. Gdy doszło do piątej generacji, żadne z potomstwa nie przeżyło dłużej niż dwie godziny. Tyle o czwartym łańcuchu klonów. Najgorsze było klonowanie czwórek. Piąty łańcuch klonów wykazał już bardzo poważne odstępstwa od normy. Wszystkie osobniki były bezpłodne. Nie sporządzono danych o żywotności: szóstego łańcucha klonów nie było. Nie przeżył ani jeden.

– Ślepy zaułek – podsumował Walt. Wskazał na stertę czasopism i przeglądów naukowych. – Łudziłem się, że to wszystko już nieaktualne, że są może nowsze metody albo odkryto błąd w obliczeniach. A więc to trzecia generacja jest punktem zwrotnym?

Dawid wzruszył ramionami.

– Możliwe, że mam nieaktualne informacje. Wiem, że Vlastic przerwał badania rok temu, ale Semple i Frerrer ciągle w tym siedzą, a przynajmniej siedzieli w ubiegłym miesiącu. Mogą mieć coś nowszego niż ja. Myślisz o zwierzętach?

– Naturalnie. Słyszałeś plotki? Podobno kiepsko się rozmnażają. Nie podaje się żadnych liczb, ale w końcu mamy własne bydło i trzodę: została ledwo połowa.

– Coś słyszałem. Dane, zdementowane, zdaje się, przez Ministerstwo Informacji.

– To jest prawda – rzekł z powagą Walt.

– Wobec tego muszą już nad tym pracować – zareagował Dawid. – Ktoś na pewno już nad tym pracuje.

– Jeśli nawet tak, to nie raczył nam o tym powiedzieć odparł Walt. Zaśmiał się gorzko i wstał.

– Jak ci się udaje zdobywać materiały na ten szpital? – zainteresował się Dawid.

– Na razie jakoś to idzie. Śpieszymy się naturalnie, jakby jutro miał nastąpić koniec świata. I na razie nie martwimy się o kosza. Przyślą nam tu rzeczy, z którymi w ogóle nie potrafimy się obchodzić, ale pomyślałem sobie, że lepiej zamówić wszystko, co mi wpadnie do głowy, niż po roku odkryć, że coś naprawdę niezbędnego jest nie do zdobycia.

Dawid podszedł do okna i wyjrzał na farmę: zieleń panowała już niepodzielnie, wydawało się, że wiosna ustąpi miejsca latu bez żadnych zakłóceń, a na polach wszędzie lśniące, jedwabiście zielone zboże. Jak co roku.

– Pokaż mi zamówienia na wyposażenie laboratorium i to, co już dostarczono – powiedział. – A

potem zobaczymy, czy uda mi się wydębić pozwolenie wyjazdu na wybrzeże. Pogadam z Semplem, spotkałem go parę razy. Jeżeli w ogóle ktokolwiek coś robi, to tylko oni.

– Nad czym pracuje teraz Selnick?

– Nad niczym. Utracił stypendium, jego studentom kazano pakować manatki. – Dawid uśmiechnął się znacząco do stryja. – Spójrz tam, na wzgórze: widać magnolię, której lada chwila wystrzelą pąki. Parę kwiatków już się pokazało.

Rozdział 3

Dawid czuł zmęczenie w kościach, bolały go wszystkie mięśnie, a w głowie mu dudniło. Przez dziewięć dni podróżował bez wytchnienia: wybrzeże, Harvard, Waszyngton teraz zaś chciał już tylko spać, nawet gdyby tymczasem świat miał stanąć w miejscu. Z Waszyngtonu do Richmond przejechał pociągiem, a tam, nie mogąc wynająć samochodów ani – gdyby go nawet wynajął – kupić benzyny, ukradł rower i nim właśnie przebył resztę drogi. Nigdy nie przypuszczał, że nogi potrafią aż tak potwornie boleć.

– Pewien jesteś, że nie będą ich chcieli słuchać w Waszyngtonie? – zapytał dziadek Sumner.

– Nikt nie lubi złych proroków – odparł Dawid. To właśnie Selnick był takim złym prorokiem. Wedle pobieżnych informacji, których udzielił Dawidowi, rząd zmuszony był już uznać powagę nadciągającej katastrofy, ale zamiast przedsięwziąć daleko idące środki dla jej odwrócenia, lub choćby złagodzenia, wolał roztaczać przed ludźmi enigmatyczną wizję wielkiej odnowy, która miała nastąpić jesienią. Jeśli wierzyć Selnickowi, przez nadchodzące pół roku ci, którzy mają zdrowy rozsądek i pieniądze, wykupią wszystko, co się da, aby się zabezpieczyć na przyszłość, gdyż po tym okresie łaski nie pozostanie już nic do kupienia.

– Selnick uważa, że powinniśmy wystąpić z ofertą zakupu jego aparatury. Uczelnia podskoczy z radości na wieść, że może się jej natychmiast pozbyć. Tanio. – Dawid, się zaśmiał. – Tanio. Jakies ćwierć miliona.

– Wystosuj ofertę – zarządził krótko dziadek Sumner. A Walt przytaknął z namysłem.

Dawid wstał niepewnie i pokręcił głową. Pomachał im na do widzenia i udał się do łóżka.

Ludzie wciąż jeszcze chodzili do pracy. Fabryki nadal produkowały, choć mniej niż dawniej i żadnych artykułów luksusowych, ale przechodziły na węgiel tak szybko, jak tylko się dało. Dawid rozmyślał o zaciemnionych miastach, o ławicach rdzewiejących ciężarówek, o gnijącej na polach kukurydzy i pszenicy. I o komisjach priorytetowych, które się kłóciły, walczyły, agitowały za tą czy inną sprawą. Minęło sporo czasu, zanim rozdygotane mięśnie Dawida pozwoliły mu się rozluźnić, a jeszcze więcej, nim niespokojna wyobraźnia dała mu zasnąć.

Budowa szpitala postępowała nieprawdopodobnie szybko. Pracowano na dwie zmiany, znowu w myśl zasady "cena nie gra roli". Zapieczętowane skrzynie i kartony z aparaturą laboratoryjną stały w długim baraku, wybudowanym z myślą o przechowaniu urządzeń do czasu, gdy będą potrzebne. Dawid rozpoczął pracę w prowizorycznym laboratorium, usiłując odtworzyć badania Frerrera i Semple'a. A w pierwszych dniach lipca na farmę zjechał Harry Vlasic. Vlasic był niski, gruby, krótkowzrostowy i porywczy. Dawid odnosił się do niego z takim samym lękiem i szacunkiem, jakim początkujący student fizyki mógłby obdarzać Einsteina.

– Dobra – oświadczył Vlasic. – Zbiory kukurydzy się nie udały, tak jak przewidywano. Monokultura! Też coś! Uratują sześćdziesiąt procent pszenicy, ani grama więcej. A zimą – ha! – poczekajcie tylko do zimy. No, gdzie ta jaskinia?

Zaprowadzili go do wlotu jaskini, oddalonej od szpitala o niespełna sto metrów. W środku zapalili latarki. W swej głównej części jaskinia mierzyła ponad półtora kilometra długości, a było też kilka odnóg, prowadzących do mniejszych komnat. Jednym z korytarzyków płynęła czarna, bezgłośna rzeka. Czysta, źródłana woda. Vlasic bez przerwy kiwał głową. Nawet po wyjściu z jaskini.

– Niezłe to jest – powiedział. – Powinno się udać. Laboratoria w środku, przejście podziemne ze szpitala, izolacja przed skażeniem – całkiem niezłe.

Tego lata i w początkach jesieni pracowali po szesnaście godzin na dobę. W październiku przez kraj przeszła pierwsza fala grypy, poważniejsza w skutkach niż epidemia z lat 1917-1918. W

listopadzie zanotowano przypadki nowej choroby; tu i ówdzie szeptano, że to dżuma, ale Ministerstwo Informacji orzekło, że chodzi o grypę. Dziadek Sumner zmarł w listopadzie. Dopiero wówczas Dawid dowiedział się, że on i Walt są jedynymi spadkobiercami majątku znacznie przewyższającego wszystko, o czym marzył. I był to majątek w gotówce. W ciągu ostatnich dwóch lat dziadek Sumner spieniżył wszystko, co mógł.

W grudniu zaczęła się zjeżdżać rodzina, która opuściła wieś, miasteczka i miasta rozrzucone po całej dolinie, aby zamieszkać w szpitalu i przyległych budynkach. Racjonowanie wszelkich dóbr, czarny rynek, inflacja i grabieże zamieniły miasta w pola walki. A rząd zamroził aktywa wszystkich przedsiębiorstw: niczego nie można było kupić ani sprzedać bez zezwolenia. Wojsko zajmowało budynki, a pracownicy rządowi nadzorowali wprowadzony powszechnie system racjonowania zakupów.

Rodzina zwoziła z sobą żywy inwentarz. Wuj Jeremy Streit przywiózł cztery ciężarówki towarów żelaznych. Eddie Beauchamp przyjechał z kompletnym wyposażeniem gabinetu dentystycznego. Ojciec Dawida pozwoził ile mógł ze swego domu towarowego. Członkowie rodziny trudnili się różnymi zawodami, toteż zebrano godziwe zapasy z każdej niemal gałęzi handlu i rzemiosła, jaką można sobie wyobrazić.

Odkąd zabrakło radia i telewizji, rząd przestał radzić sobie z rosnącą paniką. Stan wyjątkowy ogłoszono dwudziestego ósmego grudnia. O sześć miesięcy za późno.

Gdy nadeszły wiosenne deszcze, nie było już przy życiu ani jednego dziecka poniżej ośmiu lat, a z trzystu dziewiętnastu osób, które przywędrowały w górę doliny, pozostało dwieście jeden. W miastach żniwo było znacznie obfitsze.

* * *

Dawid przyglądał się płodowi świni, na którym właśnie miał przeprowadzić sekcję. Zwierzątko było pomarszczone i wyschnięte, miało zbyt miękkie kości, gruczoły limfatyczne powiększone, twarde. Dlaczego? Dlaczego czwarta generacja nie chciała się rozwijać? Harry Vlasic zbliżył się na moment, aby popatrzeć, po czym odszedł, pochylając głowę w zamyśleniu. Nawet on nie potrafi znaleźć wyjaśnienia pomyślał Dawid niemal z satysfakcją.

Tej nocy Dawid, Walt i Vlasic spotkali się, żeby omówić wszystko jeszcze raz. Mieli dość żywego inwentarza, aby dzięki klonowaniu i naturalnemu rozmnażaniu trzeciej generacji wyżywić jakoś te dwieście osób. Mogli klonować do czterystu zwierząt na raz. Kurczęta, świnię, bydło. Jeśli jednak wszystkie zwierzęta staną się bezpłodne, co wydawało się pewne, zapas żywności trzeba by uznać za ograniczony,

Obserwując obu starszych mężczyzn, Dawid uświadomił sobie, że celowo omijają oni drugie zasadnicze pytanie: jeśli i ludzie staną się bezpłodni, jak długo będzie im potrzebne ciągłe uzupełnianie zapasów żywności?

– Powinniśmy wyizolować grupę bezpłodnych myszy, sklonować je i zbadać nawrót płodności w każdej nowej generacji klonów – powiedział Dawid.

Vlasic zmarszczył brwi i potrząsnął głową.

– Gdybyśmy mieli ze dwunastu studentów, mogłoby się to udać – powiedział cierpko.

– Musimy to sprawdzić – oponował Dawid, czując nagły przypływ gorąca. – Zachowujecie się obaj tak, jakby chodziło o plan na kilkuletni stan wyjątkowy. A jeśli będzie inaczej? Cokolwiek powoduje bezpłodność, dotknęło już wszystkie zwierzęta. Musimy to sprawdzić.

Walt spojrzał przelotnie na Dawida i rzekł:

– Nie mamy ani czasu, ani warunków na przeprowadzenie takich badań.

– Bzdura – odparł Dawid beznamiętnie. – Produkujemy dość elektryczności, mamy nawet nadwyżki mocy. Mamy też sprzęt, któregośmy jeszcze nawet nie rozpakowali...

– A kto by go obsługiwał?

– Ja. zajmę się tym w ramach czasu wolnego.

– Jakiego znów czasu wolnego?

– Znajdę go.

Wpatrywał się w Walta tak długo, aż stryj przyzwalająco wzruszył ramionami.

W czerwcu Dawid miał już wstępne odpowiedzi.

– W łańcuchu A4 – oznajmił – wskaźnik płodności wynosi dwadzieścia pięć procent.

Vlasic od trzech czy czterech tygodni pilnie obserwował prace Dawida i nie był zdziwiony jego oświadczeniem. Za to Walt popatrzył na Dawida z niedowierzaniem.

– Pewien jesteś? – wyszeptał po chwili.

– Czwarta generacja klonów bezpłodnych myszy wykazywała anomalie typowe dla wszystkich klonów tego pokolenia – tłumaczył Dawid, z trudem panując nad zmęczeniem. – Zarazem jednak osiągnęła dwadzieścia pięć procent płodności. Potomstwo żyje krócej, ale jest w nim więcej osobników płodnych. Taka tendencja utrzymuje się aż do szóstego pokolenia, którego płodność osiąga już dziewięćdziesiąt cztery procent, a zdolność do życia znów zaczyna zwyczajować, potem zaś stopniowo się normalizuje.

Dawid miał to wszystko na wykresach, które teraz oglądał Walt. A, A1, A2, A3, A4 i ich potomstwo z reprodukcji naturalnej – a, a1, a2, a3... Po A4 nie było już kolejnego łańcucha klonów: ani jeden osobnik nie osiągnął dojrzałości.

Dawid usiadł głębiej w fotelu, przymknął oczy i pomyślał o łóżku, kocu po samą szyję i czarnym, czarnym śnie.

– Organizmy wyższe wyginą, jeśli nie będą się rozmnażały drogą naturalną. A zdolność do takiego rozmnażania się powraca. Coś tam w środku odzyskuje pamięć i samo się zabliznia – powiedział sennym głosem.

– Zostaniesz wielkim człowiekiem, jak cię zaczną drukować – rzekł Vlasic, kładąc dłoń na ramieniu Dawida. Potem przeniósł się na miejsce koło Walta, aby mu wskazać szczegóły, które Walt mógł przeoczyć.

– Fantastyczna robota – powiedział cicho, a oczy mu błyszczały, gdy przerzucał kartki. – Fantastyczna. – Potem znów spojrzał na Dawida. – Zdajesz sobie, naturalnie, sprawę ze znaczenia swojej pracy?

Dawid otworzył oczy i napotkał wzrok Vlasic. Skinął głową. Walt w zdumieniu spoglądał to na jednego, to na drugiego. Dawid wstał i przeciągnął się. – Muszę się przespać – powiedział na odchodnym.

Sen długo jednak nie przychodził. Dawid miał w szpitalu pojedynczy pokój, udało mu się bardziej niż innym, którzy spali przeważnie w pokojach dwuosobowych. Szpital mieścił ponad dwieście łóżek, ale pojedynczych pokoi było w nim niewiele. Znaczenie – rozmyślał. Był go świadom od samego początku, chociaż nie od razu przyznał się do tego nawet przed samym sobą; jeszcze i teraz nie był gotów mówić na ten temat. Nie było to nic pewnego. Trzy z kobiet w końcu zaszły w ciążę, po półtorarocznym okresie bezpłodności. Margaret miała rodzić lada dzień: na razie dziecko kopało i było w świetnej formie. Jeszcze pięć tygodni – pomyślał. Jeszcze pięć tygodni i może nigdy nie będzie musiał rozmawiać o znaczeniu swoich badań.

Ale Margaret nie czekała aż pięciu tygodni. W dwa tygodnie później urodziła martwe dziecko.

W następnym tygodniu Zelda poroniła, a May straciła ciążę w kilka dni po tym. Tego lata deszcze nie pozwoliły im zasiać nic prócz warzyw w tarasowym ogrodzie.

Walt zaczął poddawać mężczyzn testom na płodność, po czym doniósł Dawidowi i Vlasticowi, że ani jeden mężczyzna w dolinie nie pozostał płodny.

– A zatem – rzekł cicho Vlastic – rozumiemy teraz znaczenie pracy Dawida.

Rozdział 4

Zima nadeszła wcześniej, w strugach lejącego nieustannie lodowatego deszczu. W laboratoriach trwały wzmożone prace, a Dawid odkrył nagle, że błogosławi dziadka za odkupienie aparatury Selnicka, którą nadesłano wraz ze szczegółową instrukcją przygotowywania sztucznych łożysk i niemal ukończonym opracowaniem programów komputerowych dla produkcji syntetycznych płynów owodniowych. Kiedy Dawid udał się na rozmowę z Selnickim, Selnick upierał się jak wariat, pomyślał wówczas Dawid – aby zabrali wszystko albo nic.

– Przekonasz się – nalegał z tajemniczą miną. – Sam się przekonasz.

W tydzień później Selnick się powiesił. Aparatura była już w drodze do doliny Virginia.

Pracowali i spali w laboratorium, wychodząc tylko na posiłki. Zimowe deszcze ustąpiły miejsca deszczom wiosennym, a powietrze wypełnił nowy rodzaj ciszy.

Dawid wychodził właśnie ze stołówki, pochłonięty myślami o pracy w laboratorium, kiedy poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia. Obok stała matka. Nie widywał jej od tygodni i przeszedłby szybko dalej z pośpiesznym "cześć", gdyby go nie zatrzymała. Wyglądała dziwnie, nieporadnie. Odwrócił się do okna i czekał, aż uwolni jego ramię.

– Celia wraca do domu – powiedziała cicho. – Twierdzi, że czuje się dobrze.

Dawida zmroziło. Z natężeniem wlepił niewidzące spojrzenie w okno.

– Gdzie ona teraz jest? – Kiedy zdawało mu się już, że w ogóle nie otrzyma odpowiedzi, gwałtownie odwrócił się do matki. – Gdzie ona jest?

– Miami – odparła w końcu, kiedy przebiegła wzrokiem obie kartki listu. – Wysłany z Miami, tak mi się zdaje. Ponad dwa tygodnie temu. Ma datę dwudziesty ósmy maja. Nasza poczta w ogóle do niej nie docierała.

Wcisnęła list w dłoń Dawida. Łzy napłynęły mu do oczu, a matka, nie bacząc na to, odeszła.

Dopiero po jej wyjściu ze stołówki Dawid zabrał się do czytania. "Byłam jakiś czas w Kolumbii, prawie osiem miesięcy, i złapałam tam jakieś świństwo, o którym nikt nic nie potrafi powiedzieć". Pismo było chwiejne i niepewne. A więc nie czuła się dobrze. Dawid poszukał Walta.

– Muszę wyjść jej naprzeciw. Nie może dostać się w łapy tej bandy u Wistonów.

– Wiesz, że nie powinieneś teraz wychodzić.

– Tu nie chodzi o to, co powinienem, a czego nie. Ja m u s z ę pójść.

Walt przyglądał mu się przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

– Jak się dostaniesz tam i z powrotem? Benzyny nie ma. Wiesz, że używamy jej tylko w rolnictwie.

– Wiem – odparł niecierpliwie Dawid. – Wezmę Mike'a i wózek. Z Mikiem mogę się trzymać bocznych dróg. Domyślił się, że Walt, podobnie jak on sam, oblicza, ile to wszystko potrwa. Poczł, że twarz mu tężeje, a ręce zaciskają się w pięści. Walt bez słowa skinął głową.

– Wyjadę rano, jak tylko się rozwidni. – Walt zgodził się. – Dziękuję – rzekł nieoczekiwanie Dawid. Był wdzięczny Waltowi za to, że się nie pokłócili, że nie powiedzieli sobie tego, co każdy z nich dobrze wiedział: nie można przewidzieć, jak długo przyjdzie mu czekać na Celię, nie można przewidzieć, czy ona w ogóle dotrze do farmy.

Jakieś pięć kilometrów od domu Wistonów Dawid odczepił wózek i ukrył go w gęstych zaroślach. Zatarł ślady w miejscu, gdzie zjechał z polnej drogi, po czym wprowadził Mike'a do lasu. Powietrze było parne i ciężkie od nadciągającego deszczu; od lewej strony dobiegł Dawida ryk Krętego Strumienia, który szturmował własne brzegi. Ziemia była gąbczasta i Dawid stąpał ostrożnie, nie chcąc utknąć po kolana w zdradliwym błocku. Farma Wistonów bywała ustawicznie zalewana

przez powódzie; dziadek Wiston utrzymywał, że to wzbogaca glebę, nie chcąc ganić natury za jej okresowe wybryki.

– Pan Bóg nie życzył sobie, żeby ten kawałek ziemi rodził rok po roku – mawiał. – Przychodzi czas, że ziemia, , tak jak człowiek, potrzebuje odpoczynku. Pozwolimy jej odpocząć w tym roku, a jak podeschnie, damy trochę koniczyny.

Dawid ruszył w górę, prowadząc Mike'a, który od czasu I do czasu wydawał ciche rzenie.

– Tylko do wzgórza, staruszkę – powiedział cicho Dawid. – Potem możesz sobie odpoczywać i skubać trawkę na łące, póki ona nie przyjdzie.

Dziadek Wiston zaprowadził Dawida na wzgórze tylko raz, kiedy chłopiec miał dwanaście lat. Dawid pamiętał tamten dzień, upalny i nieruchomy jak dzisiejszy. Dziadek Wiston był wtedy krzepki i silny. Na wzgórzu zatrzymał się i dotknął masywnej narośli na pniu białego dębu.

– To drzewo, Dawidzie, widziało w dolinie Indian i pierwszych osadników, I mojego pradziadka, kiedy się tu pojawił. Ta nasz przyjaciel. Zna wszystkie rodzinne sekrety.

– Czy to miejsce na górze to też twoja własność, dziadku?

– Do tego drzewa, synku. Po drugiej stronie są już państwowe tereny leśne, ale to drzewo rośnie jeszcze na naszym gruncie. Także i twoim, Dawidzie. Któregoś dnia przyjdiesz tu, położysz dłoń na pniu tego drzewa i będziesz wiedział, że to twój przyjaciel, tak Jak i dla mnie było ono przyjacielem przez całe życie. Boże, dopomóż nam wszystkim, Jeśli ktoś kiedyś przyłoży do tego drzewa ostrze topora.

Tego dnia zeszli w dół po przeciwnej stronie wzgórza, a potem wspinali się na powrót – tym razem było dalej i bardziej stromo – aż dziadek zatrzymał się raz jeszcze z ręką na ramieniu Dawida.

– Tak właśnie wyglądała ta ziemia milion lat temu. Czas przesunął się nagle dla chłopca – milion lat, sto milionów lat, wszystko to była ta sama odległa przeszłość i Dawid ujrzał w wyobraźni pochod gigantycznych gadów. Poczul cuchnący oddech tyranozaura. Pod wysokimi drzewami panował chłód i mgielka, a niżej rosły młode drzewka. Rozpościerały gałęzie, jakby chciały uchwycić każdy zbłąkany promyk słońca, któremu udało się przedrzeć przez wysoki baldachim. Tam, gdzie słońce znalazło sobie drogę: unosiła się złocista i łagodna poświata – było to słońce z innej epoki. W jeszcze głębszym cieniu rosły krzewy, a u ich stóp pleniły się mchy i porosty, wątrobniki i paprocie. Łukowato wystające z ziemi korzenie drzew odziane były w aksamitną szmaragdową roślinność.

Dawid potknął się i łapiąc równowagę oparł się o olbrzymi dąb, z którym łączyły go tajemnicze więzy. Na chwilę przyłgnął policzkiem do chropawej kory, po czym, odsunawszy się nieco, spojrział w górę między przepyszne gałęzie, gęsto przesłaniające niebo. W razie burzy drzewo ochroni go przed zasadniczą siłą ulewy, ale potrzebował jeszcze ochrony przed drobnymi kropelkami, które przedrą się przez liście, aby cicho opaść na chłonną ziemię.

Zanim przystąpił do budowy szałas, dokładnie przyjrzał się farmie przez lornetkę. Za domem znajdował się ogród, uprawiany przez pięcioro ludzi: nie można było stwierdzić, czy są to mężczyźni, czy kobiety. Długowłosi, w dzinsach, na bosaka, zwinni. Nie miało to, znaczenia. Dawid zauważył, że ogród nie daje jeszcze plonów, że roślinki są nieliczne i słabe. Obserwował pole rozciągające się na wschód. Coś się tam zmieniło, ale nie był pewny, na czym ta zmiana polega. Nagle uświadomił sobie, że na polu rośnie kukurydza. Dziadek Wiston zawsze sadił tam na przemian pszenicę, lucernę i soję. Niżej położone pola były zalane, a pole północne zarosło trawą i chwastami. Wolno przesunął oko lornetki wzdłuż budynków. Doliczył się siedemnastu osób. Ani jednego dziecka poniżej ośmiu lat. Ani śladu Celi; nic też nie wskazywało na to, by zachwaszczona droga była ostatnio uczęszczana. Bez wątplenia, zamieszkałym tu ludziom było najzupełniej obojętne, czy ich drogę zarośnie zielsko,

czy też nie.

Dawid wznosił szałas przy pniu dębu, skąd, położywszy się, mógł obserwować farmę. Dach sporządził z gałęzi Jedliny, toteż gdy w pół godziny później nadciągnęła burza, na Dawida nie spadła ani kropla deszczu. Między grządkami ogródka w dole rwały strumyki, a dziedziniec farmy wydawał się z daleka srebrzysty i lśniący, choć Dawid wiedział, że z blisko byłaby to po prostu mulista kałuża głębokości kilkunastu centymetrów. Ziemia w dolinie nie była już zdolna wchłonąć więcej wody. Jej nadmiar spływał do Krętego Strumienia, który wzbierał coraz bardziej, grożąc północnemu polu i wystawionej na zagładę kukurydzy.

Trzeciego dnia woda zaczęła atakować kukurydziane pole i Dawid z litością patrzył na ludzi, którzy zebrali się bezradnie nie opodal. Ogród uprawiano nadal, lecz zbiory zapowiadały się bardzo mizernie. Do tej chwili Dawid naliczył dwadzieścia dwie osoby; pomyślał, że to chyba wszyscy. Podczas burzy, która tego popołudnia chłostała dolinę, usłyszał rzenie Mike'a, wyczołgał się więc z szałasu i wstał. Pasący się pod stokiem Mike nie mógł zbyt ucierpieć od deszczu, wiatr także do niego nie docierał. A jednak rżał raz po raz. Ostrożnie, w jednej ręce dzierżąc broń, drugą zaś osłaniając oczy przed siekącym deszczem, Dawid wychynął zza drzewa. Jakaś postać niepewnie wdrapywała się na wzgórze: głowę miała nisko pochyloną, często przystawała, ale zaraz ruszała dalej, nie patrząc w górę, prawdopodobnie oślepiąca deszczem. Dawid wrzucił strzelbę do szałasu i pobiegł na spotkanie.

– Celio! – wołał. – Celio!

Zatrzymała się i uniosła głowę. Deszcz spływał jej po policzkach i przyklepał włosy do czoła. Zrzuciła ciężący jej plecak i podbiegła ku Dawidowi, który, dopiero gdy ją pochwycił i przytulił z całej siły, uświadomił sobie, że oboje płaczą: .

W szałasie ściągnął z Celii mokre ubranie i wytarł ją do sucha, po czym opatulił w jedną z własnych koszul. Dziewczyna miała sine usta, skórę zaś niemal przezroczystą – nienaturalnie bladą.

– Wiedziałam, że tu będziesz – powiedziała. Oczy miała ogromne, ciemnobłękitne, bardziej błękitne niż pamiętał, a może bardziej błękitne przez kontrast z bledością skóry. Dawniej zawsze była opalona.

– Wiedziałem, że tu przyjdiesz – powiedział Dawid.

– Jadłaś coś!

Pokręciła głową.

– Nie wierzyłam, że tu jest aż tak źle. Myślałam, że to wroga propaganda. Wszyscy myśleli, że to propaganda.

Pokiwał głową i zapalił pod kocherem. Celia siedziała owinięta w jego kraciastą koszulę i patrzyła, jak Dawid otwiera i podgrzewa puszkę z gulaszem:

– Kim są ci ludzie na dole?

– Dzicy osadnicy. Babcia i dziadek Wiston umarli w zeszłym roku. Zjawiła się ta banda. Ciotce Hildzie i wujowi Eddiemu dali do wyboru: przyłączyć się do nich albo wynocha. Wanda nie miała żadnego wyboru. Zatrzymali ją i tyle.

Ze wzrokiem utkwionym w dolinę, Celia kiwała głową.

– Nie wiedziałam, że jest aż tak źle. Nie wierzyłam w to. – Nie patrząc na Dawida, zadała pytanie: – A moja matka, ojciec?

– Nie żyją, Celio. Oboje na grypę. Tej zimy.

– Nie dostawałam żadnych listów – powiedziała. – Prawie dwa lata. Kazali nam, widzisz, opuścić Brazylię. Ale nie było komunikacji z krajem. Pojechaliśmy do Kolumbii. Obiecali, że po trzech miesiącach wyekspediują nas do domu. A potem przyszli któreś nocy, późno, tuż przed

świttem, i kazali nam się wynosić. Były jakieś zamieszki.

Dawid potakiwał ruchem głowy, chociaż wpatrzona w farmę Celia i tak nie mogła tego widzieć. Chciał jej powiedzieć, żeby opłakiwała rodziców, żeby się wyszłochała, a wtedy on mógłby wziąć ją w ramiona i spróbować pocieszyć. Ona jednak wciąż siedziała bez ruchu i mówiła martwym głosem.

– Szli na nas, na Amerykanów. Winili nas za to, że musimy głodować. Oni naprawdę wierzą, że tutaj nadal jest wszystko w porządku. Ja też tak myślałam. Nikt nie wierzył nawet jednemu doniesieniu. No i te bandy na nas szły. Odplynęliśmy małą łódką. Dziewiętnaście osób. Strzelali do nas, kiedy zanadto zbliżyliśmy się do Kuby.

Dawid dotknął jej ramienia, a ona wzdrygnęła się i zadrżała.

– Celio, odwróć się teraz i jedz. Już nie mów. Później. Później zdążysz o wszystkim opowiedzieć.

Spojrzała na niego i wolno potrząsnęła głową.

– Nigdy więcej. Już nigdy a tym nie wspomnę, Dawidzie. Chciałam po prostu, żebyś wiedział, że nic nie mogłam zrobić. Chciałam wracać do domu, ale nie było jak.

Już nie była taka sina z zimna i Dawid z ulgą spostrzegł, że zabiera się do jedzenia. Była głodna. Zaparzył kawę, swoją ostatnią rację kawy.

– Chcesz, żebym ci opowiedział, co się tutaj działo? Potrząsnęła głową.

– Jeszcze nie. Widziałam Miami i te tłumy ludzi, pragnących się stamtąd wydostać. Ludzie całymi dniami wyczekują w kolejkach, stoją w pociągach. Miami jest ewakuowane. Kto pada martwy, zostaje tam, gdzie upadł. – Zadrżała gwałtownie. – Nie mów mi na razie nic więcej.

Burza minęła i w nocnym powietrzu zapanował chłód. Skulili się pod kocem i siedzieli bez słowa, popijając gorącą, czarną kawę. Gdy filiżanka zaczęła drżeć w dłoniach Celi, Dawid zabrał ją i łagodnie pchnął dziewczynę na przygotowane przez siebie legowisko.

– Kocham cię, Celio – powiedział cicho. – Zawsze cię kochałem.

– I ja cię kocham, Dawidzie. Zawsze. – Oczy miała zamknięte, a na tle bladych policzków jej rzęsy zdawały się bardzo czarne. Dawid pochylił się i pocałował ją w czoło, opatulił kocem i długo patrzył, jak śpi, póki sam nie położył się obok i także nie zasnął.

W nocy Celia zerwała się z krzykiem, a Dawid tulił ją, póki się całkiem nie uspokoiła. Nie przebudziła się zupełnie, toteż słowa, które wypowiadała, były całkiem niezrozumiałe.

Następnego ranka pożegnali dąb i ruszyli w kierunku farmy Sumnerów. Celia jechała na Mike'u, póki nie dotarli do wózka; drżała z wyczerpania, a wargi znów jej posiniały, chociaż dzień był już upalny. Wózek był zbyt mały, by mogła się położyć, więc Dawid wymościł drewniane siedzenie z tyłu swoim śpiworem i kocem, aby mogła przynajmniej oprzeć głowę i odpocząć na mniej wyboistych odcinkach drogi. Gdy Dawid okrywał jej nogi drugą, zdjętą z siebie koszulą, uśmiechnęła się do niego z wysiłkiem.

– To nie z zimna – powiedziała, jakby stwierdzając oczywisty fakt. – Myślę, że ten cholerny wirus jakoś atakuje serce. Nikt nie wie, co to jest. Wszystkie objawy związane są z układem krążenia.

– Bardzo źle się czułaś? Kiedy to się zaczęło?

– Jakies półtora roku temu. Tuż przed tym, jak kazali nam wyjechać z Brazylii. To ogarnęło całe Rio. Właśnie tam nas przewieźli, kiedy stwierdzili, że też jesteśmy chorzy. Niewiele osób przeżyło. Z tych, którzy zachorowali później prawie nikt. Wirus stawał się z czasem coraz złośliwszy.

Dawid pokiwał głową.

– To samo tutaj. Prawie sześćdziesiąt procent przypadków śmiertelnych, a teraz, myślę, doszło już do osiemdziesięciu.

Zapadła długa cisza i Dawid pomyślał, że Celia pewnie zasnęła. Droga była dwiema koleinami, nienakładającymi stopniowo pod krzewiącym się poszyciem. Trawy nie było jedynie w tych miejscach, gdzie deszcze splukały ziemię, pozostawiając nagie kamienie.

Mike posuwał się statecznie, a Dawid go nie poganiał.

– Dawidzie, ilu ludzi pozostało w północnym krańcu doliny?

– Teraz około stu dziesięciu – odparł. Dwóch na trzech nie żyje – dodał w myśli, ale nie powiedział tego głośno.

– A szpital? Zbudowali go?

– Szpital jest. Kieruje nim Walt.

– Dawidzie, póki powozisz i nie możesz na mnie patrzeć, opowiedz mi, jak tu jest. Co się dzieje, kto żyje, kto umarł, wszystko.

Kiedy w wiele godzin później zatrzymali się na obiad, Celia zapytała:

– Chcesz się teraz kochać, zanim znowu spadnie deszcz? Położyli się, pod kępą żółtych topoli, których liście cały czas szeleściły, chociaż nie czuło się wiatru. Wśród szumu drzew ich własne głosy przeszły w szept. Była szczupła i blada, a przecież tyle miała wewnątrz ciepła i życia; jej ciało wznosiło się ku ciału Dawida, a piersi szukały jego dotyku, pocałunku. Czuli jej palce we włosach, na plecach; wbijały mu się w boki, z początku silne, potem rozluźnione i drżące, wreszcie zwinięte w pięści, które zaciskały się i otwierały spazmatycznie. Poczuli, że rozdrapuje mu plecy, ale było to gdzieś strasznie daleko. Wreszcie nie było już nic prócz szelestu liści i przeciągłych, głębokich westchnień.

– Kocham cię już ponad dwadzieścia lat, wiedziałaś o tym? – zapytał po bardzo długiej chwili.

Roześmiała się.

– Pamiętasz, jak przeze mnie złamałeś rękę?

Potem, już w wozie, dobiegł go z tyłu jej cichy, smutny głos.

– Koniec z nami, prawda, Dawidzie? Z tobą, ze mną, ze wszystkimi?

Do cholery z Waltem – pomyślał – do cholery z obietnicami, do cholery z tajemnicą. I opowiedział jej o klonach, rosnących pod masywem góry, w laboratorium na dnie jaskini.

Rozdział 5

W tydzień po przybyciu na farmę Celia podjęła pracę w laboratorium.

– Tylko w ten sposób mogę cię choć trochę widywać powiedziała zaniepokojonemu tą decyzją Dawidowi. – Obiecałam Waltowi, że na początek będę pracować tylko cztery godziny dziennie. Zgoda?

Następnego ranka Dawid odprowadził ją do laboratorium. Nowe wejście do jaskini ukryte było w szpitalnej kotłowni, w podziemiach. Stalowe drzwi osadzono w wapiennej skale, która rozciągała się pod całą okolicą. Ledwie przez nie przeszli, zrobiło się zimno i Dawid otulił ramiona Celi płaszczem.

– Zawsze je tutaj trzymamy – powiedział, zdejmując drugi płaszcz z wieszaka. – Dwa razy mieliśmy tu inspektorów rządowych. Gdyby zobaczyli wtedy, że schodząc do piwnicy wkładamy płaszcze, mogliby to uznać za podejrzane. Ci inspektorzy zresztą więcej nie przyjadą.

Korytarz o gładkiej posadzce był niewyraźnie oświetlony. Kończył się następną parą stalowych drzwi, oddalonych od wejścia o jakieś sto dwadzieścia metrów. Te z kolei otwierały się na pierwszą komorę jaskini, dużą, wysoko sklepioną komnatę, która wyglądała w zasadzie tak, jak ją zastali: pełna stalaktytów i stalagmitów, z tym, że teraz wstawiono tu mnóstwo łóżek polowych, turystycznych stolików i ławek, oraz rząd blatów do przyrządzania potraw i stoły do jedzenia.

– To nasze schronienie na okres "gorących" deszczy wyjaśnił Dawid, prowadząc Celię pośpiesznie przez dudniącą echami komnatę. Drugi korytarz był węższy i trudniejszy do przejścia. Na jego końcu mieściła się pracownia doświadczeń ze zwierzętami.

Jedną ze ścian wyburzono, aby wmontować komputer groteskowo niestosowny na tle bladuróżowego trawertynu. W środkowej części pomieszczenia znajdowały się zbiorniki, cysterny i rurki, wszystkie z nierdzewnej stali i szkła. Po obu stronach biegły rzędy pojemników z embrionami zwierząt. Przez kilka chwil Celia wpatrywała się w to wszystko bez ruchu, po czym odwróciła się i z niepokojem przyjrzała Dawidowi.

– Ile macie pojemników?

– Wystarczająco dużo, aby sklonować sześćset zwierząt różnej wielkości – odparł. – Wiele przenieśliśmy do laboratorium po drugiej stronie, a i z tych, które mamy tutaj, nie wykorzystujemy wszystkich. Boimy się wyczerpać zapasy chemikaliów, a jak dotąd nikt nie wymyślił jeszcze substancji zastępczych, które można by uzyskać z tego, co tu mamy do dyspozycji.

Od strony pojemników nadszedł Eddie Beauchamp, notując jakieś liczby w księdze laboratorium. Uśmiechnął się szeroko do Dawida i Celi,

– Z wizytą do ubogich? – zapytał.

Porównawszy własne wyniki z tarczą na pojemniku, przekręcił ją nieco i poszedł wzdłuż szeregu, sprawdzając pozostałe tarcze i zatrzymując się od czasu do czasu dla dokonania niewielkiej poprawki.

Celia spojrzała na Dawida pytająco, a on potrząsnął głową. Eddie nie wiedział, co się robi w drugim laboratorium. Minęli ustawione w rzędy pojemniki, wszystkie zapieczętowane, tak że tylko drgające od czasu do czasu wskazówki i umieszczone z boku tarcze wskazywały na obecność czegoś wewnątrz. Wrócili na korytarz. Dawid poprowadził Celię przez kolejne drzwi i krótki korytarzyk do drupiego laboratorium, tym razem zabezpieczonego zamkiem, do którego Dawid miał klucz.

Na ich widok Walt podniósł wzrok, skinął głową i odwrócił się z powrotem do biurka, przy którym pracował. Właściciel nawet nie spojrzał w ich stronę. Sara uśmiechnęła się mijając ich pośpiesznie; siadła przed konsolą komputera i zaczęła stukać w klawisze. Druga z kobiet w pokoju

zdawała się w ogóle nie dostrzegać, że ktoś wszedł. Hilda. Ciotka Celi. Dawid spojrział na Celię, lecz ona wpatrywała się osłupiała w pojemniki, których przednie ściany były tu ze szkła. Każdy pojemnik wypełniała jasna ciecz tak niewyraźnie żółta, że jej kolor wydawał się wręcz złudzeniem. Wewnątrz unosiły się woreczki, nie większe od drobnych piątek. Delikatne, przezroczyste kanaliki łączyły woreczki z górnymi częściami pojemników, od których odchodziły rurki zamocowane do pokrytego tarczami urządzenia z nierdzewnej stali.

Celia przeszła powoli między rzędami pojemników. Zatrzymała się raz pośrodku i przez dłuższy czas pozostawała w bezruchu. Dawid wziął ją za rękę. Dziewczyna lekko drżała.

– Dobrze się czujesz?

Skinęła potakująco.

– Ja... to szok tak je zobaczyć. Ja... może nie całkiem w to wierzyłam. – Jej twarz pokryła się warstewką potu.

– Lepiej zdejmij teraz płaszcz – poradził Dawid. – Musimy tu utrzymywać wysoką temperaturę. Okazało się, że aby im było dość ciepło, my sami musimy się przegrzewać. Oto cena eksperymentu – dodał z lekkim uśmiechem.

– Całe to oświetlenie, ciepło, komputer – to zżera masę energii. Potraficie jej aż tyle wytwarzać?

Kiwnął głową.

– Jutro ci to pokażę. Jak wszystko, co tu robimy, system zasilania też ma swoje słabe punkty. Potrafimy zgenerować zapas mocy na sześć godzin, nie więcej, a więc po sześciu godzinach generator musi być z powrotem włączony. I tyle.

– Sześć godzin to mnóstwo czasu. Człowiekowi wystarczy zaledwie sześć minut bez powietrza, aby umrzeć. – Trzymając ręce założone z tyłu Celia zbliżyła się do połyskliwej tablicy rozdzielczej w końcu sali. – To nie jest komputer prawda? Co to takiego?

– Końcówka komputera. Komputer nadzoruje doprowadzanie pożywienia i tlenu oraz odprowadzanie toksyn. Sala ze zwierzętami znajduje się za tą ścianą. Tamte pojemniki są również podłączone do komputera. Inny zestaw systemów programowych, ale aparatura ta sama.

– Przeszli salę osesków zwierzęcych, a następnie przez dział płodów ludzkich. Dalej było jeszcze prosekorium, kilka białych gabinetów dla naukowców, magazyny. W każdej sali, poza tą, w której hodowano klony ludzkie, pracowali ludzie.

– Żadne z nich nie miało przedtem w ręku palnika Bunsana ani probówki, a jednak z dnia na dzień stali się naukowcami i technikami – powiedział Dawid. – I dzięki Bogu, bo inaczej nic by z tego nie wyszło. Nie wiem, co my w ich mniemaniu tutaj robimy – oni nie zadają pytań. Po prostu robią swoje.

Walt przydzielił Celię do pracy pod kierunkiem Vlasica. Ilekroć Dawid odnajdywał ją wzrokiem w sali laboratorium, czuł spazm radości. Celia wydłużyła swój dzień pracy do sześciu godzin. Gdy po czternastu czy szesnastu godzinach Dawid padał wykończony na łóżko, przychodziła, żeby go przytulić i kochać.

W sierpniu Avery Handley doniósł, że jego krótkofalówka odebrała z Richmond ostrzeżenie przed bandą włóczęgów, która posuwa się w górę doliny.

– Są groźni – oznajmił ponuro. – Zagarnęli dom Phillottów, splądrowali go i puścili z dymem.

Po tym ostrzeżeniu dniem i nocą trzymano warty. W tym samym tygodniu Avery doniósł, że na Środkowym Wschodzie wybuchła wojna. W oficjalnych komunikatach radiowych o niczym podobnym nie wspomniano: radio nadawało tylko muzykę, kazania i programy rozrywkowe. Telewizja skończyła się już na samym początku kryzysu energetycznego.

– Ktoś nacisnął guzik – powiedział Avery. – Nie wiem kto, ale to pewne. Mój człowiek twierdzi też, że w rejonie Morza Śródziemnego znów szerzy się epidemia.

We wrześniu odparli pierwszy atak. W październiku uzyskali wiadomość, że banda zbiera się do kolejnego ataku, tym razem w sile od trzydziestu do czterdziestu ludzi.

– Nie możemy walczyć z nimi bez końca – zawyrokował Walt. – Na pewno wiedzą, że mamy tu żywność. Tym razem otoczą nas ze wszystkich, stron. Wiedzą, że mamy się na baczności.

– Trzeba by wysadzić tamę – zawyrokował Clarence. – Oczekać, aż wejdą w górną dolinę, i splukać ich stamtąd.

Zebranie odbywało się w stołówce, w obecności wszystkich mieszkańców kolonii. Dłoń Celi zaciśnęła się na palcach Dawida, ale dziewczyna nie zaprotestowała. Nie oponował nikt.

– Będą próbowali zdobyć młyn – ciągnął Clarence. – Pewnie myślą, że tam jest zboże albo co.

Dwunastu mężczyzn zgłosiło się do trzymania warty przy młynie. Sześciu innych miało założyć ładunek wybuchowy pod tamą, trzynaście kilometrów w górę rzeki. Pozostali utworzyli grupę zwiadowczą.

Dawid i Celia wyszli z zebrania przed końcem. Dawid zgłaszał się do wszystkiego, ale za każdym razem otrzymywał odmowę. Nie należał do tych, bez których kolonia mogłaby się obejść. Deszcze znów były "gorące" i wszyscy nocowali w jaskini. Dawid, Celia, Walt, Vlasic, inni pracownicy laboratoriów – wszyscy spali na polowych łóżkach. W małym gabinecie Dawid i Celia szeptali ~ przed snem trzymając się za ręce. Rozmawiali o swoim dzieciństwie.

Długo jeszcze po zaśnięciu Celi Dawid wpatrywał się w ciemności, nie wypuszczając z dłoni ręki dziewczyny. Celia była coraz szczuplejsza, ale gdy kilka dni wcześniej Dawid usiłował namówić ją, by zostawiła pracę i poszła odpocząć; Walt powiedział: "Daj jej spokój". Celia poruszyła się nerwowo, a Dawid ukląkł przy jej polówce i mocno przytulił dziewczynę do siebie. Przez chwilę czuł dzikie łopotanie jej serca. Dopiero gdy całkiem się uspokoiła, rozluźnił uścisk i z zamkniętymi oczami usiadł na kamiennej podłodze: Jeszcze później usłyszał kroki Walta i skrzypienie jego łóżka w gabinecie za ścianą. Poczł sztywnienie w kościach, więc w końcu wrócił na własne posłanie i zapadł w sen.

Następnego ranka zaczęło się przenoszenie wszystkiego na wyżej położone tereny. Wiadomo było, że przy wysadzaniu tamy zniszczeniu ulegną trzy domy mieszkalne, stodoła przy drodze, a także i sama droga. Nie można było trwonić niczego, toteż deska po desce przenosiło się stodoła na wzgórze i układało w stos. W dwa dni później dano sygnał i tama została wysadzona.

Dawid i Celia stali w pokoju no piętrze szpitala i patrzyli, jak ściana wody z rykiem rzuca się w dolinę. Przypominało to start odrzutowca albo tłum kibiców, rozwścieczony decyzją sędziego, albo pociąg ekspresowy bez hamulców. Był to ryk niepodobny do niczego, co Dawid wcześniej słyszał, czy też raczej podobny do wszystkich znanych mu odgłosów, które zlały się teraz w trzęsący budynkiem łoskot. Kilkumetrowa ściana wody runęła w dolinę, pędząc coraz szybciej, druzgocąc, niwecząc wszystko na swej drodze.

Gdy ryk ucichł i wysoka woda się ustała, pełna wirów i gęsta od porwanych szczątków, Celia spytała cicho:

– Czy to było warto, Dawidzie?

Mocniej objął jej ramiona.

– Musieliśmy tak zrobić – odparł.

– Wiem. Tylko czasem to się wydaje straszliwie bezsensowne. My wszyscy jesteśmy przecież martwi. Walczymy na czele frontu, ale jesteśmy martwi. Tak samo martwi, jak muszą być w tej chwili tamci ludzie.

– Nasz plan zaczyna już działać, kochanie. I ty dobrze o tym wiesz. Sama nad tym pracujesz.

Trzydzieści nowych istnień !

Pokręciła głową.

– Trzydzieści następnych trupów. Pamiętasz szkółkę niedzielną? Zabierali mnie tam co tydzień. Ty też chodziłeś?

Skinął głową na potwierdzenie.

– A środowe lekcje religii? Wciąż o nich teraz myślę: i zastanawiam się, czy to, mimo wszystko, nie palec Boży. Nic na to nie poradzę. Ciągłe się nad tym zastanawiam. A przecież zostałam ateistką. – Zaśmiała się i nagle zakręciła w kółko. – Chodźmy do łóżka, w tej chwili. Tu, w szpitalu. Weźmiemy sobie jakiś wystawny pokój, apartament...

Wyciągnął ku niej ręce, ale nagły gwałtowny podmuch wiatru cisnął w okno strugę deszczu. Nastąpiło to znenacka, bez uprzedzenia – po prostu nagłe oberwanie chmury. Celia wstrząsnęła się.

– Wola boska – powiedziała bezbarwnym głosem. – Musimy wracać do jaskini, prawda?

Minęli pusty szpital, długi, niewyraźnie oświetlony korytarz, wielką komnatę, w której ludzie usiłowali poukładać się wygodnie na polówkach i ławach, kilka mniejszych korytarzyków, aż wreszcie dotarli do gabinetu laboratorium.

– Ilu ludzi zabiliśmy? – zapytała Celia wychodząc z dzinsów. Odwróciła się, żeby poskładać ubranie w nogach łóżka. Jej pośladki były prawie tak płaskie jak u dorastającego chłopca. Kiedy znów odwróciła się do Dawida, zdawało się, że napięta skóra nie wytrzyma naporu żeber. Patrzyła na niego przez chwilę, a potem podeszła i, stojąc przed nim nago, mocno przytuliła głowę siedzącego Dawida do swoich piersi. Na policzku poczuł jej łzy.

* * *

W listopadzie przyszły ostre mrozy, a zalana dolina oraz brak drogi i mostów chroniły szpital przed atakiem z zewnątrz, przynajmniej do wiosny. Ludzie znów opuścili jaskinię, praca w laboratorium posuwała się w dawnym, morderczym tempie. Embriony rozwijały się, rosły, gwałtownymi ruchami stóp i łokci przemieszczały się z miejsca na miejsce. Dawid pracował nad substytutami odczynników, którymi już zastępowano płyny owodniowe. Pracował dzień w dzień, tak długo, póki mgła nie zasnuła mu oczu albo dłonie nie odmówiły posłuszeństwa, albo też Walt nie kazał mu wynosić się z laboratorium. Celia pracowała teraz dłużej, nadal przestrzegając kilkugodzinnego odpoczynku w środku dnia, po którym wracała do pracowni i pozostawała tam niemal tak długo, jak Dawid.

Przeszedł obok jej krzesła i pocałował ją w czoło. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego, po czym wróciła do swoich liczb. Peter włączył wirówkę. Vlasic coś jeszcze poprawił przy ostatnim pojemniku z pożywieniem, które w stanie rozcieńczonym należało podać embrionom, po czym zawołał:

– Celia, możesz zacząć odliczać pisklaki?

– Chwileczkę – odparła. Zapisała coś, położyła ołówek na otwartej książce i wstała z krzesła.

Dawid był świadom jej obecności, tak jak zawsze, nawet jeśli własna praca całkowicie go pochłaniała. Czuł, że Celia wstaje, że chwilę stoi bez ruchu, a kiedy drżącym, zdradzającym niedowierzanie głosem wymówiła: "Dawid, Dawid" – on już zrywał się na nogi. Pochwycił ją, gdy osuwała się na ziemię.

Oczy miała otwarte, spojrzenie było niemal pytające, pytało o coś, na co on nie potrafił odpowiedzieć, na co ona sama nie czekała odpowiedzi. Wstrząsnął nią dreszcz i przymknęła oczy, a

choć powieki jej drgały, więcej ich nie otworzyła.

Rozdział 6

Walt przyjrzał się Dawidowi i wzruszył ramionami.

– Wyglądasz jak półtora nieszczęścia – powiedział. Dawid nie zareagował. Wiedział, że wygląda jak półtora nieszczęścia. Czuł się jak półtora nieszczęścia. Patrzył na Walta, jakby obserwował go z wielkiej odległości.

– Dawid, weźmiesz się wreszcie w garść, czy nie? Tak po prostu się poddałeś? – Nie czekał na odpowiedź. Usiadłszy na jedynym w maleńkim pokoiku krzesle, pochylił się do przodu, podparł brodę rękami i wbił wzrok w podłogę.

– Musimy im wszystko powiedzieć. Sara twierdzi, że będą kłopoty. Ja też tak sądzę.

Dawid stał przy oknie, wpatrując się w ponury krajobraz namalowany w barwach szarości, czerni i błota. Padało, ale deszcz był już czysty. Rzeka wyglądała jak szary, wirujący potwór, posępne odbicie posępnego nieba. Dawid ledwie ją dostrzegał ze swego okna na górze.

– Mogą próbować wdrzeć się do laboratorium – ciągnął Walt. – Bóg jeden wie, co może im wpaść do głowy.

Dawid ani drgnął. Dalej wpatrywał się w zasępione niebo. – Do jasnej cholery! Masz się natychmiast odwrócić i słuchać, co do ciebie mówię, ty dupo wołowa! Myślisz, że pozwolę, żeby ta cała robota, cały plan, poszły na marne przez jedno bezmyślne posunięcie?! Myślisz, że nie zatłukę każdego, kto spróbuje to teraz zahamować?! – Walt zerwał się z krzesła w ataku furii, szarpnięciem odwrócił Dawida do siebie i wrzeszczał mu prosto w twarz. – Myślisz, że ci pozwolę tak tu siedzieć i zdychać?! Jeszcze nie dzisiaj. Gównu mnie obchodzi, co z sobą zrobisz za tydzień, ale dzisiaj jesteś mi potrzebny i jak mi Bóg miły, pójdziesz tam ze mną i tyle!

– Wszystko mi jedno – powiedział cicho Dawid.

– Zaraz przestaniesz ci być wszystko jedno! Bo te dzieciaki lada chwila powyskakują z worków, a te dzieciaki to Jest nasza jedyna nadzieja i ty o, tym dobrze wiesz. Nasze geny, twoje, moje, Celi, te geny to jest jedyne co stoi między nami a zagładą. I ja nie pozwolę, Dawid! Zabraniam ci!

Dawid czuł jedynie śmiertelne znużenie.

– Wszyscy jesteśmy martwi. Dzisiaj czy jutro... Po co to sztucznie przedłużać? Cena jest zbyt wysoka, aby łakomić się na rok czy dwa.

– Żadna cena nie jest za wysoka!

Twarz Walta w oczach Dawida poczęła nabierać ostrości. Walt był blady, miał spopieliałe usta, zapadnięte oczy. W policzku pojawił się tik, którego Dawid nigdy przedtem nie zaobserwował.

– Po co zmieniać plan i mówić im już teraz, przed czasem?

– Bo już wcale nie jest przed czasem, – Walt z całej siły tarł oczy. – Coś poszło nie tak, jak należy. Nie wiem co. Coś tam źle funkcjonuje. Wygląda na to, że będziemy mieli pełne ręce wcześniaków.

Wbrew samemu sobie, Dawid przeprowadził pośpieszną kalkulację.

– To dwudziesty szósty tydzień – powiedział. – Nie jesteśmy w stanie odebrać tylu wcześniaków.

– Wiem o tym: – Walt znowu usiadł, ale tym razem oparł głowę z tyłu i przymknął oczy. – Nie mamy wielkiego wyboru – powiedział. – Wczoraj straciliśmy jedno, dzisiaj troje. Musimy je stamtąd wydostać i potraktować jak wcześniaki.

Dawid wolno pokiwał głową.

– Które? – zapytał, chociaż już wiedział. Walt podał mu imiona i Dawid znów kiwnął głową. Wiedział, że to nie jego, nie Walta, nie Celi. – Jakich są plany? – zapytał w końcu siadając na

krawędzi łóżka.

– Muszę się przespać – odparł Walt. – Potem zebranie, zapowiedziane na siódmą. Po zebraniu szukamy salę dla armii wcześniaków. Jak tylko skończymy, zaczynamy je odbierać. To będzie rano. Potrzebne nam pielęgniarki, z sześć albo więcej – ile uda się znaleźć. Sara twierdzi, że Margaret by się do tego nadawała. Ja nie jestem przekonany.

Dawid też nie był co do tego przekonany. Czteroletni synek Margaret był jedną z pierwszych ofiar epidemii, drugie dziecko urodziła martwe. A jednak Dawid ufał doświadczeniu Sary.

– Myślę, że same między sobą wyznaczą pielęgniarki; powiedzą im, co robić, i przypilnują, żeby wszystko, było jak należy.

Walt coś wymamrotał i jedno ręką opadła mu z oparcia krzesła. Poderwał się gwałtownie.

– No dobra, Walt. Kładź się do mojego łóżka – powiedział, Dawid prawie niechętnie. – Ja zejść do laboratorium, rozkręcę tam co trzeba. Przyjdę po ciebie o wpół do siódmej.

Walt nie protestował, tylko zwałił się na łóżko nie zadając sobie nawet trudu zdjęcia butów. Dawid ściągnął mu je. Skarpetki Walta składały się właściwie z samych dziur, ale pewnie grzały mu nogi w kostce. Dawid nie ruszył ich, naciągnął na Walta koc i poszedł do laboratorium.

O siódmej, gdy Walt wstał, by wygłosić oświadczenie, stołówka była pełna ludzi. Walt pozwolił najpierw Avery'emu dokonać przeglądu coraz szerszej liczby wiadomości o epidemii, głodzie, chorobach, samoistnych poronieniach, martwo urodzonych dzieciach i – bezpłodności. Na całym świecie było tak samo. Słuchali obojętnie, nie mogło ich już obejść nic, co działo się poza tą niewielką częścią świata. Avery skończył i wrócił na miejsce.

Dawid ze zdumieniem skonstatował, że Walt jest mały. Zawsze uważał go za dość postawnego mężczyznę, ale w rzeczywistości Walt wcale taki nie był. Miał zaledwie metr siedemdziesiąt dwa, a teraz był jeszcze do tego strasznie chudy i zasuszony, jak kur do walk kogucich, wyzbyty wszelkiego nadmiaru ciała, poza tym, co konieczne do przeprowadzenia ostatniej potyczki. Walt przyjrzał się zebranym i rzekł, ważąc słowa:

– Nikt z zebranych tu na sali nie jest głodny. Pokonaliśmy epidemię. Deszcze splukują płyny radioaktywne, a zapasy żywności wystarczą nam na całe lata, nawet jeśli wiosną nie uda nam się niczego zasiać. Mamy ludzi zdolnych wykonać właściwie każdą pracę. – Przerwał i znów popatrzył po twarzach, z lewa na prawo i z powrotem, nie śpiesząc się. Uwaga zebranych skupiała się na nim bez reszty. – Nie mamy tylko – podjął, tym razem tonem dobitnym i bezwzględny – kobiety, która może zająć w ciężę, ani mężczyzny, który mógłby zapłodnić zdolną do rodzenia kobietę.

Przez salę przeszedł szmer przypominający zbiorowe westchnienie, ale nie odezwał się nikt.

– Wiecie, skąd bierzemy mięso – ciągnął Walt. – Wiecie, że bydło i kurczęta są w porządku. Jutro, panie i panowie, będziemy mieli nasze własne dzieci, zrodzone w ten sam sposób.

Przez chwilę panowała kompletna cisza i bezruch, a potem sala wybuchła. Clarence poderwał się na równe nogi i wrzeszczał na Walta. Vernon starał się przedrzeć z końca sali, ale między nim a Waltem stał zbyt gęsty tłum. Jakaś kobieta uczepia się ramienia Walta, ściągając go niemal w dół i krzycząc mu spazmatycznie prosto w twarz. Wal wyrwał się i wskoczył na stół.

– Dostyc! Odpowiem na wszystkie pytania, ale w tych warunkach nikogo z was nie słyszę.

Przez trzy następne godziny ludzie zadawali pytania, spierali się, modlili, zawiązywali stronnictwa, przeformowywali je w wyniku różnicy zdań w mniejsze grupki. O dziesiątej Walt ponownie zajął miejsce na stole i zawołał:

– Zawieszamy dyskusję do jutro, do godziny siódmej wieczorem. Teraz będzie kawa i coś do jedzenia.

Zeskoczył ze stołu i wyszedł, zanim ktokolwiek zdołał go dopaść, po czym obaj z Dawidem

pośpieszyli do wlotu jaskini i zamknęli za sobą masywne drzwi.

– Clarence był ohydny – mamrotał Walt. – Bydlak. Dawid na ogół zmuszał się do pamiętania, że jego ojciec, Walt i Clarence są braćmi, ale mimo wszystko traktował Clarence'a inaczej, jak obcego faceta z tłustym brzuchem i furą pieniędzy, który oczekiwał bezwzględnego posłuszeństwa od całego świata.

– Mogą się zjednoczyć – powiedział po chwili Walt. – Mogą utworzyć komitet protestacyjny przeciwko tej robocie szatana. Musimy być na to przygotowani.

Dawid potakująco skinął głową. Liczyli na to, że uda im się odwlec moment oświadczenia do czasu, gdy będą mieli żywe dzieci, ludzkie niemowlęta, które śmieją się, gaworzą i żarłocznie chłepcą pokarm z butelek. Tymczasem będą mieli do pokazania salę pełną wcześniaków, bynajmniej nie przypominających ludzi, mających w sobie tyleż człowieczeństwa, co przedwcześnie urodzone ciele.

Całą noc szykowali żłobek. Sara zaangażowała do pracy Margaret, Hildę, Lucy i sześć innych kobiet, które ubrano w fartuchy i maski pielęgniarek. Któraś z nich upuściła basen, a trzy inne wydały jednogłośny pisk. Dawid zaklął pod nosem. Uspokoją się, jak dostaną dzieciaki – powiedział sobie.

Bezkrwawe narodziny rozpoczęły się o piątej czterdzieści pięć, a o dwunastej trzydzieści było już dwadzieścia pięć noworodków. Cztery umarły w pierwszej godzinie życia, jeden w trzy godziny później, reszta jakoś się trzymała. W pojemniku pozostawiono jedynie płód przyszłej Celi, o dziewięć tygodni młodszy od reszty.

Pierwszym gościem, którego Walt, wpuścił do żłobka, był Clarence i odtąd nie było już mowy o pozbyciu się nieludzkich potworków.

Odbyło się przyjęcie, padały propozycje imion dla dzieci, z których drogą losowania wybrano jedenaście imion żeńskich i dziesięć męskich. W księdze rejestracyjnej wszystkie dzieci oznaczono jako grupę R-1: Repopulacja 1. Ale tak dla Dawida, jak i dla Walta byli to W-1, D-1, a wkrótce i C-1..

Natychmiast znalazło się dość pielęgniarek obu płci, a w ciągu następnych miesięcy nie zabrakło rąk do pracy przy licznych obowiązkach, z którymi bardzo niewielu miało wcześniej do czynienia. Walt zrzędził, że każdy chce być od razu lekarzem albo biologiem. Więcej teraz sypiał i zmarszczki przemęczenia na twarzy zaczęły mu się wygładzać. Często serwował Dawidowi kuksańca i, odholowawszy go z dziecinnego pokoju, przepędzał do własnego gabinetu na terenie szpitala, gdzie pilnował, aby Dawid położył się spać na całą noc. Któregoś wieczora, gdy ramię w ramię szli do swoich pokoi, Walt zapytał:

– Rozumiesz już, o co mi chodziło, kiedy mówiłem, że tylko to się liczy, prawda?

Dawid rozumiał. Ilekroć spojrzał na maleńką, różową, nową Celię, rozumiał to jeszcze lepiej.

Rozdział 7

To był błąd – myślał Dawid obserwując chłopców z okna gabinetu Walta. – Te dzieci to żywe wspomnienia, nic ponadto. Clarence; już teraz nazbyt puciołowaty, za trzy, cztery lata będzie grubasem. Mały Walt w skupieniu marszczy czoło nad zadaniem, którego nie zapisze, póki nie będzie mógł od razu dopisać rozwiązania. Robert, niemal za ładny, ale mimo to zdecydowanie męski, zawsze próbuje być najsprawniejszy, chce najwyżej skoczyć, najszybciej przebiec, najmocniej uderzyć. I D-4, on sam... Odwrócił się i zagłębił w rozmyślaniach nad przyszłością chłopców. Wujowie, ojcowie, dziadkowie – wszyscy w jednym wieku. Znow rozboleła go głowa.

– Są nieludcy, prawda? – rzekł z goryczą do Walta. – Przychodzą i odchodzą, a my nic o nich nie wiemy. Co myślą? Dlaczego są tacy nierozłączni?

– Pamiętasz taki stary frazes "konflikt pokoleń"? Zdaję się, że to jest właśnie to. – Walt wyglądał bardzo staro. Był zmęczony i nie usiłował już tego ukrywać. Podniósł wzrok na Dawida i rzekł cicho: – Może się nas boją?

Dawid potakująco skinął głową. Myślał już o tym.

– Wiem, czemu Hilda to zrobiła – powiedział. – Z początku nie mogłem zrozumieć, ale teraz już wiem. – Hilda zadusiła dziewczynkę, która z dnia na dzień coraz bardziej ją przypominała.

– Ja też. – Walt przyciągnął do siebie notes, który odsunął na widok wchodzącego Dawida. – Trochę to niesamowite brodzić w tłumie, w którym każdy jest tobą, na różnych etapach dorastania. Oni rzeczywiście trzymają się razem. – Walt z powrotem zabrał się do pisania, a Dawid

Niesamowite – pomyślał i ominął laboratorium, do którego pierwotnie się wybierał. Niech przekłete embriony robią swoje bez niego. Wiedział, że nie ma ochoty tam wchodzić, bo na pewno zastałby D-1 lub D-2 przy pracy. To łańcuch D-4 dowiedzie słuszności lub braku słuszności eksperymentu. Jeśli nie uda się "czwórkom", wówczas, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie uda się i "piątkom", a co dalej? Błąd. Och, pomyłka, proszę pana. Najmocniej przepraszam.

Wspiął się na górującą nad jaskinią skałę za szpitalem i usiadł na chłodnym, gładkim wapiennym występie. Chłopcy odchwaszczali drugie pole. Praca w zespole szła im dobrze, rzadko przerywali ją rozmową, za to bardzo często wybuchali spontanicznym śmiechem. Od strony rzeki pojawił się sznureczek dziewcząt z koszykami jagód. Czarne jagody i proch strzelniczy – pomyślał zniecka Dawid i przypomniały mu się minione obchody Czwartego Lipca, pełne plam po jagodach, fajerwerków i siarki na pchły. No i ptaków. Drozdów, świergotków, słowików, gili.

Zobaczył trzy Celie, wdzięcznie rozkołysane pod ciężarem koszy – od największej do najmniejszej. Dawid zmitygował się: tak nie wolno myśleć. To nie były Celie, żadna z nich nie nosiła tego imienia. Nazywały się Mary, Ann i coś tam jeszcze. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć imienia trzeciej, ale to i tak nie miało znaczenia. Każda z nich była Celią. Ta w środku mogła go zaledwie wczoraj zepchnąć ze stogu; z tą po prawej mógł turlać się po błocie w zaciętej walce.

Kiedyś, przed laty, Dawid miał sen, w którym Celia-3 przyszła do niego nieśmiało i poprosiła, aby ją kochał. Posiadł ją w tym śnie, a potem przez wiele jeszcze tygodni kochał ją i kochał, i kochał w swoich snach. Budził się płacząc z tęsknoty za prawdziwą Celią. W końcu nie mógł już tego znieść. Odszukał Celię-3 i jąkając się zapytał, czy zechce do niego pójść – ona zaś cofnęła się pośpiesznie, niechętnie, z lękiem wypisanym na gładkiej twarzy zbyt wyraźnie, aby mogła udawać, że go nie czuje.

– Wybacz, Dawidzie. Zaskoczyłeś mnie.

Panowały wśród nich swobodne obyczaje, wolna miłość była wręcz zalecana. Nikt nie był w stanie przewidzieć, ile dziewcząt i chłopców uniknie bezpłodności jakie będą proporcje płci. Walt

mógł testować mężczyzn, ale ponieważ do badania płodności kobiet potrzebne były króliki, których nie mieli – orzekł, że najlepszym sprawdzianem będzie tu ciąża. Dzieci mieszały razem i wolność obyczajów traktowały jak rzecz normalną. Ale tylko między sobą. Unikały starszych. Słuchając dziewczyny, która wciąż się od niego odsuwała, Dawid uczył się pieczenia pod powiekami.

Odwrócił się i wyszedł gwałtownie. Przez lata dzielące tamto wydarzenie od chwili obecnej nie odezwał się do Celi-3 ani słowem. Czasem zdawało mu się, że dziewczyna obserwuje go bacznie – obrzucał ją wówczas tępym spojrzeniem i pośpiesznie się oddalał.

C-1 traktował jak własne dziecko. Patrzył, jak rośnie, jak uczy się chodzić, mówić, jeść łyżeczką. To była jego córeczka, jego i Celi. Z C-2 było bardzo podobnie. Bliźniaczka C-1, identyczna, choć nieco mniejsza. Ale C-3 była inna. Nie – poprawił się – to on sam inaczej na nią patrzył. Widział w niej Celię – i to go bolało.

Zmarzył na tej skale. Uświadomił sobie, że słońce, dawno już zaszło, a na dole rozblęskły światła. Sceneria była sympatyczna, przypominała dawne pocztówki z cyklu "życia na wsi": duży dworek z rozjarzonymi oknami, czerni, stodoły, bliżej – szpital i budynek dla personelu z wesołym, żółtym światłem w oknach. Z ociąganiem schodził w dolinę. Przegapił kolację, ale nie chciało mu się jeść.

– Dawid! – wołał go jeden z najmłodszych chłopców "piątka": Dawid nie wiedział, z kogo chłopiec jest wyklonowany; niektórych mieszkańców doliny nie spotkał nigdy w tak młodym wieku. Zatrzymał się, a chłopiec minął go biegiem, krzycząc: – Doktor Walt cię prosi!

Walt był w swoim gabinecie na terenie szpitala. Na biurku i stole rozłożył karty choroby czwartego łańcucha klonów.

– Skończyłem – oznajmił. – Naturalnie, będziesz musiał sprawdzić.

Dawid rzucił okiem na ostatnie rubryki kart. H-4 i D-4.

– Powiedziałaś już tym chłopcom?

– Wszystkim powiedziałem. Oni to rozumieją. – Walt tarł oczy, – Nie mają przed sobą tajemnic – dodał. – Wiedzą, co trzeba, o cyklu menstruacyjnym u dziewcząt i o konieczności przeprowadzania obliczeń. Jeśli którakolwiek z dziewcząt może zajść w ciążę, oni do tego doprowadzą. – Spojrzał na Dawida i z cieniem goryczy dodał: – Od tej chwili wszystko jest w ich rękach.

– Co to znaczy?

– W-1 włączył kopię moich obliczeń do swoich notatek. Będzie się nią posługiwał.

Dawid pokiwał głową. Znowu rugowano starszych. Niebawem już do niczego nie będą potrzebni – dodatkowe gęby do wyżywienia, nic poza tym. Usiadł i przez dłuższy czas pozostawali z Waltem w pełnej zrozumienia ciszy.

Następnego dnia w klasie nic nie sugerowało zmiany. Żadnego parzenia – pomyślał cynicznie Dawid. Godzili się na łączenie ich w pary równie obojętnie jak bydło. Jeśli dwaj płodni chłopcy budzili w ogóle czyjąkolwiek zazdrość, zazdrość ta musiała być głęboko skrywana. Zrobił niespodziewany sprawdzian i przechadzał się po klasie, podczas gdy oni ślęczeli nad zadaniami. Zaliczą wszyscy – Dawid był tego pewien. Nie tylko zaliczą, lecz odpowiedzą znakomicie. Mieli właściwą motywację. Jako nastolatki uczyli się rzeczy, których on sam nie wiedział mając lat dwadzieścia kilka. W programie nie było nic zbędnego, nic, co rozpraszałoby uwagę. Praca w klasie, w polu, w kuchni, w laboratorium. Pracowali na zmianę, bez przerwy; stanowili pierwsze prawdziwie bezklasowe społeczeństwo. Uświadomił sobie, że kończą pisać klasówkę, i przywołał myśli do porządku. Dał chłopcom godzinę, a oni kończyli w czterdzieści minut. "Piątka" pisały trochę dłużej – były w końcu o dwa lata młodsze od "czwórek".

Po lekcji dwaj najstarsi D udali się do laboratorium, a Dawid podążył za nimi. Rozprawiali nad czymś z powagą, póki się do nich nie zbliżył. Wytrzymał piętnaście minut pracy w milczeniu, po

czym opuścił laboratorium. Za drzwiami przystanął i ponownie dobiegł go szmer cichych głosów. Wściekły udał się w drugą stronę korytarza.

W gabinecie Walta wybuchnął gniewem.

– Do jasnej cholery, oni coś knują! Czuję to przez skórę.

Walt przyjrzał mu się z obojętnym namysłem obserwatora. Dawid był wobec niego bezradny. Nic nie potrafił pokazać palcem, niczemu nie potrafił przypisać konkretnego znaczenia, a jednak miał instynktowne przeczucie, które nie dawało się uciszyć.

– W porządku – poddał się niemal z rozpaczą. – Ale popatrz tylko, jak oni przyjęli wyniki twoich testów. Dlaczego chłopcy nie są o siebie zazdrośni? Dlaczego dziewczyny nie zalecają się do tych dwóch kogutów?

Walt pokręcił głową.

– Ja już nawet nie wiem, co oni robią w laboratorium – ciągnął Dawid. – A Harry'ego oddelegowali na stanowisko dozorca bydła. – Zgnębiony, przemierzał pokój wzdłuż i wszerz. – Wypierają nas.

– Liczyliśmy się z tym, że to kiedyś nastąpi – przypomniał mu łagodnie Walt.

– Ale jest tylko siedemnaście "piątek", "czwórek" osiemnaście. Znajdzie się wśród nich sześcioro, może siedmioro płodnych. Z obniżoną średnią długości życia. Ze zwiększonym prawdopodobieństwem wad wrodzonych. Czy oni o tym nie wiedzą?

– Uspokój się, Dawidzie. Wiedzą doskonale. Ale to jest ich życie. Wierz mi, oni wiedzą. – Walt wstał i objął Dawida ramieniem. – Zrobiliśmy swoje, Dawidzie. To wszystko dokonało się dzięki nam. Nawet jeśli tylko trzy dziewczęta są płodne, mogą w sumie urodzić do trzydziściorga dzieci. A w następnym pokoleniu wskaźnik płodności pójdzie w górę. Myśmy swoje zrobili, Dawidzie. A oni, jeśli chcą, niech ciągną to dalej.

Nim skończyło się lato, dwie dziewczyny z czwartego łańcucha były w ciąży. W dolinie odbył się festyn, nie mniej huczny niż obchody Czwartego Lipca zachowane w pamięci starszych. Gdy jabłka kraśniały na drzewach, Walt był już tak chory, że nie opuszczał pokoju. Kolejne dwie dziewczyny zaszły w ciążę; jedną z nich była „piątka”. Dawid całe godziny przesiadywał z Waltem. Nie ciągnęło go już wcale do laboratorium, a na zajęciach w klasie, gdzie "jedyńki" stopniowo przejmowały obowiązki wykładowców, czuł się niepotrzebny.

– Niewykluczone, że będziesz musiał odebrać te dzieci już no wiosną – rzekł Walt z ironicznym uśmiechem. – Trzeba by rozpocząć lekcje położnictwa. Walt-3, zdaje się, już gotowy.

– Poradzimy sobie – odparł Dawid. – Nic się nie martw. Mam nadzieję, że przy tym będziesz.

– Kto wie. Kto wie. – Walt, na chwilę przymknął oczy i, nie otwierając ich, powiedział: – Miałeś rację co do nich, Dawidzie. Oni coś knują.

Dawid pochylił się ku niemu i mimowolnie zniżył głos.

– Co o tym wiesz!

Walt otworzył oczy i nieznacznie pokręcił głową.

– Mniej więcej tyle, co ty, kiedy przyszedłeś z tym do mnie po raz pierwszy na początku lata. Nic poza tym. Dowiedz się, co oni robią w laboratorium. Dowiedz się też, jak są traktowane ciężarne dziewczyny. To dwie ważne sprawy. I trzeba się śpieszyć. – Odwracając się od Dawida, dorzucił: – Mówił mi Harry, że opracowali nowy system imersyjno-podtrzymujący, który pozwala na wykluczenie sztucznego łożyska. Produkują ile się da. – Westchnął. – Harry'emu odbiło. Starość albo obłąd. W-1 nie potrafi mu pomóc.

Dawid wstał, ale zawahał się.

– Walt, sądzę, że już najwyższy czas, abyś mi powiedział. Co ci jest?

– Wynoś się stąd, do cholery – odpowiedział Walt, lecz jego głos stracił brzmienie, a siła, która powinna była wymieść Dawida z pokoju, gdzie się ulotniła. Przez moment Walt wyglądał bezradnie i bezbrinnie, zaraz jednak rozmyślnie zamknął oczy i tym razem jego głos zabrzmiał jak złowrogi pomruk. – Wyjdź. Jestem zmęczony. Muszę odpocząć.

Dawid długo szedł brzegiem rzeki. Już od tygodni, od miesięcy nawet, nie odwiedzał laboratorium. Nikt go tam nie potrzebował. Czuł, że zawadza. Przysiadł na zwalonym pniu i spróbował sobie wyobrazić, co oni myślą o ciężarnych dziewczętach. Na pewno je szanują. Nosicielki życia tak wśród nich nieliczne. Może Walt obawiał się powstania jakiejś nowej odmiany matriarchatu? Mogłoby do tego dojść. Dyskutowali nad tym problemem przed laty, w końcu jednak odsunęli go jako jedną z rzeczy, na które nie mieli wpływu. Mogłaby się zrodzić nowa religia, ale nawet gdyby starsi wiedzieli, że się na to zanosi, nie byłiby w stanie nic uczynić. Co w końcu mieliby robić? Rzucił gałązki na gładką taflę wody, płynącą tej spokojnej, zimnej nocy bez jednej bodaj zmarszczki – i wiedział, że na niczym mu nie zależy.

Podniósł się ciężko i ruszył dalej, czując nagle, że jest mu zimno. Zimy były coraz srozsze, zaczynały się wcześniej, trwały dłużej i przynosiły więcej śniegu niż dawne zimy jego dzieciństwa. Ledwie człowiek przestał wzbogacać powietrze dymami i spalinami, atmosfera powróciła do stanu sprzed lat: zimy i lata były wilgotniejsze, niebo bardziej gwiaździste niż w najodleglejszych wspomnieniach Dawida, a każdej kolejnej nocy gwiazd pojawiało się jeszcze więcej niż poprzedniej; w dzień niebo było nieskończenie błękitne, nocą zaś aksamitnie granatowe, z blaskiem gwiazd nie znanym dawniej człowiekowi.

Skrzydło szpitala, w którym pracowali teraz W-1 i W-2, jarzyło się od świateł i w jego stronę podążył Dawid. W pobliżu szpitala przyspieszył kroku: za dużo było tych świateł, a widział też na tle okien sylwetki poruszających się ludzi, zbyt wielu ludzi, starszych.

W hallu natknął się na Margaret. Łkała bezgłośnie, nie bacząc na łzy płynące krętymi strużkami po policzkach. Nie miała jeszcze pięćdziesięciu lat, ale wyglądała na więcej; Dawid z bólem pomyślał, że zaliczył ją do "starszych". Kiedy zaczęli tak o sobie mówić? Czy to dlatego, że chcieli się jakoś odróżnić, a żadne nie pozwoliło sobie na nazywanie tamtych po imieniu? Klony! – rzekł brutalnie sam do siebie. – Klony! Istoty nie w pełni ludzkie. Klony.

– Co się stało, Margaret? – Uczepiła się jego ramienia, ale nie mogła mówić. Ponad jej głową Dawid ujrzał bladego i roztrzęsionego Warrena. – Co się stało?

– Wypadek w młynie. Jeremy i Eddie nie żyją. Kilkoro młodych odniosło rany. Jak poważne – nie wiem. Są tam, w środku. – Wskazał palcem w kierunku bloku operacyjnego. – Clarence'a zostawili. Zwyczajnie: przeszli obok i zostawili go. Myśmy go przynieśli, ale nie wiem... – Potrząsnął głową. – Zostawili go i tyle. Wzięli tylko swoich.

Dawid pobiegł korytarzem do gabinetu pierwszej pomocy. Sara zajmowała się Clarencem, a kilkoro starszych przechodziło to w przód, to w tył, ustępując jej z drogi.

Dawid odetchnął z ulgą. Sara od lat pracowała z Waltem: Była w tej roli najlepsza, zaraz po lekarzu. Zrzucił kurtkę i podszedł do niej.

– W czym mógłbym pomóc?

– Kręgosłup – powiedziała z napięciem. Była bardzo blada, ale pewnymi dłońmi tamponowała podłużną ranę w boku Clarence'a, po czym założyła na nią grubego opatrunek. – Tu trzeba szyć. Ale boję się, że to kręgosłup jest naprawdę groźny.

– Złamanie?

– Tak mi się zdaje. Obrażenia wewnętrzne.

– Gdzie, do cholery, podziewają się W-1 i W-2?

– Są ze swoimi. Mają, zdaje się, dwoje rannych. – Po dożyło dłoń Dawida na opatrunku. – Przytrzymaj to mocno przez chwilę. – Przycisnęła stetoskop do piersi Clarence'a, spojrzała mu w oczy i prostując się powiedziała: – Nic więcej nie mogę tu zrobić.

– Zaszuj tę ranę. Pójdę po W-1.

Dawid ruszył korytarzem, nie widząc starszych, którzy usuwali mu się z drogi. Przed drzwiami sali operacyjnej zatrzymało go trzech młodych mężczyzn. Poznał H-3 i zwrócił się do niego:

– Mamy tam człowieka, który prawdopodobnie umiera. Gdzie jest W-2?

– Kto? – zapytał H-3 z miną niewiniątka.

Dawid nie od razu przypomniał sobie imię. Patrzył w twarz chłopaka i czuł, że dłonie zaciskają mu się w pięści.

– Doskonale wiesz, o kogo mi chodzi. Potrzebny nam lekarz, a tam za drzwiami siedzi jeden albo dwóch. Jednego z nich chcę wywołać.

Uświadomił sobie jakiś ruch za plecami, a odwróciwszy się, zobaczył, że nadchodzi jeszcze czwórka: dwie dziewczyny i dwóch chłopców. Uniwersalni – pomyślał. Każde może robić to, co drugie.

– Poproście go tu do mnie – zażądał. Zobaczył, że jednym z nowo przybyłych jest Cl-2, i jeszcze surowszym tonem dodał: – Chodzi o Clarence'a. Sara twierdzi, że ma pęknięty kręgosłup.

Wyraz twarzy Cl-2 nie zmienił się ani na jotę. Cała czwórka zbliżyła się do Dawida. Otoczyli go, a za jego plecami H-3 oznajmił:

– Powiem im, Dawidzie, jak tylko skończą.

Dawid zrozumiał, że nic nie zdoła zrobić. Absolutnie nic.

Rozdział 8

Patrzył w ich gładkie, młode twarze, tak dobrze znajome żywe wspomnienia tych, których niegdyś znał. Jakby przechadzał się po własnej przeszłości, widział starych i starzejących się kuzynów nagle odmłodzonych, ale odmłodzonych z jakimś uszczerbkiem. Twarze znajome – a jednak obce, znane i niepoznawalne zarazem. Za plecami H-3 rozwarły się drzwi i W-1 wyszedł z sali operacyjnej, jeszcze w fartuchu i masce chirurgicznej, która dyndała mu teraz pod brodą.

– Teraz mogę iść – oznajmił, na co grupka się rozstała. W-1 nie zważał już na Dawida, skwitowawszy jego obecność jednym spojrzeniem.

Dawid pośpieszył za nim do gabinetu pierwszej pomocy. Obserwował, jak W-1 sprawnymi dłońmi obmacuje ciało Clarencea, sprawdza odruchy, z wprawą dotyka rdzenia pacierzowego.

– Będę operował – zdecydował z tą samą pewnością siebie. Gestem polecił S-1 i W-2, aby przenieśli Clarencea na salę operacyjną, a sam wyszedł.

Na widok W-1 Sara usunęła się na bok, a teraz odwróciła się powoli i zaczęła zsuwać rękawiczki, w których miała szyć ranę Clarencea. Warren przypatrywał się dwóm chłopcom, którzy okryli chorego i przytroczyli go dla bezpieczeństwa do ruchomego łóżka, po czym wywieźli z pokoju w drugi koniec korytarza. Sara skrupulatnie porządkowała gabinet. Nikt się nie odzywał. Kiedy skończyła, rozejrzała się niepewnie w poszukiwaniu następnego zajęcia.

– Mogłabyś zabrać stąd Margaret i położyć ją do łóżka? – zapytał Dawid, a Sara spojrzała na niego z wdzięcznością i skinęła głową. Kiedy wyszła, Dawid zwrócił się do Warrena.

– Ktoś powinien się zająć ciałami, umyć je, przygotować do pogrzebu.

– Jasne, jasne – przyznał apatycznie Warren. – Pójdę po Averyego i Sama. Zajmiemy się tym. Zaraz po nich pójdę i weźmiemy się za to. Ja... Dawid, co myśmy zrobili! – W tym miejscu jego apatyczny, martwy głos przeszedł niemal w skowyt. – Kim oni są?

– O co ci chodzi?

– Kiedy się zdarzył ten wypadek, byłem w pobliżu młyna: Urządziliśmy sobie z Averym mały piknik. Avery właśnie kończył robotę w tamtej okolicy. To ta zbutwiała część podłogi – wiesz, ten kawałek, gdzie rok czy dwa lata temu mieliśmy kłaść nowe deski. Coś się stało i puściła. I nagle znikąd – pojawiły się tam te dzieciaki. Na pewno nikt nie zdążył po nie pobiec, zawołać nawet. Żadnego sygnału a oni już na miejscu. Złapali tych dwoje swoich i pędem do szpitala, jakby im się portki paliły. Znikąd.

Na twarzy Warrena malowało się przerażenie, a kiedy Dawid po prostu wzruszył ramionami, Warren bez przekonania pokręcił głową i wyszedł z gabinetu, rzucając wpierw pośpieszne, ukradkowe spojrzenie w głąb korytarza, jakby chciał się upewnić, czy tamci go wypuszczą.

Gdy Dawid wszedł do poczekalni, zastał tam jeszcze kilkoro starszych. Lucy i Vernon siedzieli przy oknie, wpatrzeni w czarną noc. Od śmierci swojej żony Clarence zamieszkał z Lucy. Nie łączył ich romans; byli po prostu parą przyjaciół, którzy już w dzieciństwie zżyli się jak brat z siostrą, a teraz oboje potrzebowali oparcia. Lucy, pełniąc na zmianę role siostry, matki i córki; chuchała i dmuchała na Clarencea, obszywała go i spełniała wszystkie jego zachcianki. Co by z sobą poczęła, gdyby teraz umarł? Dawid podszedł (ujął jej zimną dłoń. Lucy była bardzo szczupła, miała czarne włosy, jeszcze bez śladu siwizny i ciemnobłękitne oczy, które kiedyś, dawno, dawno temu, iskrzyły się ciągłym rozbawieniem.

– Idź do domu; Lucy. Ja tu poczekam i przyjdę do ciebie, jak tylko czegoś się dowiemy. Słowo honoru. Wpatrywała się w niego niewidzącym spojrzeniem. Dawid, bezradny, zwrócił się do Vernona. Brat Vernona zginął w wypadku, nie pozostawało tu nic do powiedzenia, nie można było

pomóc.

– Daj jej spokój – powiedział Vernon. – Ona musi czekać.

Dawid usiadł, nie puszczać dłoni Lucy. Po krótkiej chwili Lucy łagodnie. oswobodziła dłoń i zwarła ją z drugą, aż knykcie obu pobiegały. Nikt z młodych nie przyszedł do poczekalni. Dawid zastanawiał się, gdzie mogą czekać na wieści o stanie zdrowia swoich. A może nigdzie nie musieli czekać, może po prostu wiedzieli? Ze złością odrzucił tę myśl – nie wierzył w nią, ale nie mógł się jej pozbyć. Dużo później do poczekalni wszedł W-1 i, nie adresując swych słów właściwie do nikogo, oznajmił:

– On odpoczywa. Obudzi się dopiero jutro po południu. Idźcie do domu.

Lucy wstała:

– Pozwól mi przy nim zostać. Może będzie czegoś potrzebował, może nastąpi jakaś gwałtowna zmiana...

– Nie jest sam – odparł W-1. Odwrócił się do drzwi, przystanął, spojrzął za siebie i rzekł do Vernona: – Przykro mi z powodu twojego brata. – Po czym wyszedł.

Lucy stała niezdecydowana, póki Vernon nie ujął jej za ramię.

– Odprowadzę cię do domu – powiedział, na co ona skinęła głową. Dawid patrzył, jak odchodzą we dwoje. Zgasił światło w poczekalni i wolno poszedł korytarzem, nie mając żadnych planów, nie myśląc o pójściu do domu czy gdziekolwiek. Znalazł się nagle przed drzwiami gabinetu, z którego korzystał W-1, i zapukał. V-1 otworzył drzwi. Dawid pomyślał, że W-1 wygląda na zmęczonego, ale nie był pewien, czy może tym tłumaczyć swoje zaskoczenie. Oczywiście, ma prawo być zmęczony. Trzy operacje. Wyglądał jak młody Walt, zbyt wyczerpany, zbyt jeszcze napięty, aby natychmiast położyć się spać, ale i nazbyt zmęczony, by rozładować napięcie spacerem.

– Mogę wejść? – zapytał niepewnie Dawid. W-1 kiwnął głową i, usuwając się na bok, wpuścił Dawida do środka. Dawid był w jego gabinecie po raz pierwszy.

– Clarence nie będzie żył – oznajmił W-1, a jego głos, który dobiegł Dawida od tyłu, gdyż W-1 był nadal przy drzwiach, tak bardzo przypominał głos Walta, że Dawid poczuł dreszcz czegoś, co mogło być lękiem, czy też raczej – jak sam siebie próbował przekonać – kolejnym zaskoczeniem.

– Zrobiłem, co mogłem – powiedział W-1. Obszedł biurko i zasiadł w fotelu.

Siedział spokojnie, wolny od neurotycznych odruchów, które cechowały Walta: żadnego bębnienia palcami, które w przypadku Walta było częścią rozmowy, równie ważną jak słowa. Żadnego pociągania za koniuszki uszu, pocierania nosa. Walt, któremu czegoś brakowało, w którym było coś martwego. W-1 siedział bez ruchu, z twarzą ściągniętą zmęczeniem, czekając cierpliwie, by Dawid zaczął mówić. Jak dorosły, który czeka na wypowiedź nieśmiałego dziecka.

– Skąd wasi ludzie dowiedzieli się o wypadku? – zapytał Dawid. – Nikt z nas jeszcze wtedy o nim nie słyszał. W-1 wzruszył ramionami. Dawał do zrozumienia, że uważa pytanie za nieistotne preludium dla zabicia czasu.

– Wiedzieliśmy, i tyle.

– Co robicie teraz w laboratorium? – pytał dalej Dawid, wychwytyjąc we własnym tonie nutkę napięcia. Coś sprawiło, że czuł się natrętem, jego pytania brzmiały jak czcza pogawędka.

– Doskonalimy metody – odparł W-1. – Nic nadzwyczajnego.

I coś poza tym – pomyślał Dawid, ale nie nalegał.

– Aparatura jeszcze parę lat będzie w idealnym stanie powiedział. – A metody, aczkolwiek może nie najdoskonalsze z możliwych, są dostatecznie wydajne. Po co wprowadzać zmiany teraz, kiedy wszystko właśnie zaczęło się sprawdzać? – Przez moment zdawało mu się, że dostrzegł błysk zdziwienia w oczach W-1, ale moment ów minął zbyt szybko i już po chwili gładka maska znów

przestała cokolwiek wyrażać.

– Pamiętasz, Dawidzie, jak dawno temu wasza kobieta zabiła jedno z nas? Hilda zamordowała dziecko, które było do niej podobne. My wszyscy odczuliśmy tamtą śmierć. I uświadomiliśmy sobie, że wy jesteście oddzielni. Jesteśmy inni niż wy, Dawidzie. Myślę, że sam to podejrzewałeś, teraz wyznaję ci prawdę otwarcie. – W-1 wstał. – I nie cofniemy się już do waszego poziomu.

Dawid również wstał, nogi miał jak z waty.

– O czym ty właściwie mówisz?

– Rozmnażanie drogą płciową to nie jest jedyne wyjście.

Fakt, że organizmy wyższe ewoluowały w tym kierunku, wcale nie oznacza, że jest to kierunek najwłaściwszy. Ilekroć jakiś gatunek wymierał, jego miejsce zajmował inny, wyższy.

– Klonowanie to jedna z najbardziej błędnych dróg w kierunku wykształcenia wyższego gatunku – powiedział powoli Dawid. – Tłamsi różnorodność, dobrze o tym wiesz. – Słabość ogarniająca nogi przenosiła się coraz wyżej, drżały mu ręce. Chwycił się brzegu biurka.

– Zakładając, że różnorodność jest cechą pozytywną. Być może nie jest – odparł W-1. – Słono płacicie za indywidualność.

– Pozostaje jeszcze degeneracja i wyginięcie gatunku mówił Dawid. – Znaleźliście już na to receptę? – Pragnął zakończyć tę rozmowę, uciec ze sterylne go gabinetu, nie widzieć już tej gładkiej, niemożliwej do rozszyfrowania twarzy o świdrującym spojrzeniu, które zdawało się przenikać jego myśli i uczucia.

– Jeszcze nie – odparł W-1. – Ale póki jej szukamy, możemy się oprzeć na osobnikach płodnych. – Wysunął się zza biurka i podszedł do drzwi. – Muszę odwiedzić swoich pacjentów – rzekł wypuszczając Dawida z gabinetu.

– Jeszcze chwila – zatrzymał się Dawid. – Czy możesz mi powiedzieć, co jest z Waltem?

– Nie wiesz? – W-1 pokręcił głową. – Ciągłe zapominam, że wy się sobie nie zwierzacie. On ma raka. Nie do operowania. Są przerzuty. Walt dogorywa, Dawidzie. Myślałem, że wiesz.

Przez co najmniej godzinę Dawid wałęsał się bez celu, aż w końcu trafił do własnego pokoju, wyczerpany, lecz daleki jeszcze od chęci położenia się spać. Do świtu przesiedział w oknie, po czym udał się do pokoju Walta. Gdy Walt się obudził, Dawid zrelacjonował mu teorię W-1.

– Będą używać płodnych jedynie do uzupełniania zapasu klonów – powiedział. – Istoty ludzkie zostaną wśród nich pariasami. Zniszczą to, co tworzyliśmy z takim trudem.

– Nie dopuść do tego, Dawidzie. Na litość boską, nie wolno do tego dopuścić! – Walt wyglądał bardzo źle. Był tak słaby, że nie mógł usiąść. – Vlasic zwariował, więc żadna z niego pomoc. Musisz ich jakoś powstrzymać. Chcą pójść po linii najmniejszego oporu, chcą się wycofać i to teraz, kiedy wiemy już, że wszystko pójdzie jak należy.

Dawid nie był pewien, czy dobrze zrobił mówiąc to wszystko Waltowi. Koniec z tajemnicami – pomyślał. – Koniec.

– Jakoś ich powstrzymam – obiecał. – Nie wiem jeszcze jak i kiedy, ale to już niedługo.

Jakaś "czwórka" przyniosła Waltowi śniadanie, a Dawid wrócił do siebie. Położył się i przespał niespokojnie kilka godzin, po czym wziął prysznic i udał się do wejścia do jaskini, gdzie zatrzymała go jakaś "dwójka".

– Przykro mi, Dawidzie – powiedział chłopiec – ale Jonathan twierdzi, że musisz wypocząć i nie wolno ci na razie pracować.

Dawid odwrócił się i odszedł bez słowa. Jonathan. W-1. Postanowili zamknąć mu dostęp do laboratorium – wolno im. Przewidzieli to razem z Waltem: jaskinia była nie do zdobycia. Pomyślał o starszych: było ich teraz czterdzieścioro czworo, w tym dwoje śmiertelnie chorych. Wśród

pozostałych jeden niespełna rozumu. A więc czterdzieści jeden osób, w tym dwadzieścia dziewięć kobiet. Jedenastu sprawnych mężczyzn. Dziewięćdziesiąt cztery klony.

Całymi dniami wyczekiwał pojawienia się Harryego Vlasica, ale już od tygodni nikt go nie widywał, a Vernon przypuszczał, że Vlasic przeniósł się na stałe do laboratorium. Tam właśnie przyjmował wszystkie posiłki. Dawid zrezygnował z czekania na niego, odszukał w stołówce D-1 i zaproponował mu pomoc w laboratorium.

– Lenistwo zanadto mi dokucza – wyjaśnił. – Przyzwyczailem się pracować dwanaście godzin na dobę albo i więcej.

– Powinieneś sobie odpocząć, korzystając z tego, że inni zdejmują z ciebie ciężar obowiązków

– rzekł z ujmującym uśmiechem D-1. – Nie martw się o robotę, Dawidzie. Wszystko idzie jak należy.

– D-1 zamierzał odejść, ale Dawid chwycił go za ramię.

– Dlaczego nie chcecie mnie tam wpuścić? Nie docenicie postronnej oceny.

D-1 uwolnił ramię i, nie pozbywając się uśmiechu, odparł:

– Ty chcesz wszystko zniszczyć. W imię ludzkości, naturalnie. Ale i tak nie możemy ci na to pozwolić.

Dawid zwolnił uścisk. Patrzył, jak młody człowiek, który mógłby być nim samym, podchodzi do barku i zaczyna sobie nakładać dania na tacę.

– Pracuję nad pewnym planem – skłamał Waltowi, tak jak miał to jeszcze robić przez długie tygodnie. Walt słabł z dnia na dzień, miewał teraz silne bóle.

Ojciec Dawida prawie cały czas spędzał z Waltem. Posiwiął i postarzał się, ale zachował dobrą kondycję fizyczną. Mówił Waltowi o dzieciństwie, które razem spędzali, o nadchodzącym sezonie łowieckim, o recesji, która – jak się spodziewał – pomniejszy jego wpływy, o swojej żonie, zmarłej przed piętnastu laty. Był pogodny i zadowolony z życia, a Walt cieszył się chyba jego obecnością.

W marcu W-1 posłał po Dawida. Czekał w swoim gabinecie.

– Chodzi o Walta – powiedział. – Nie powinniśmy przedłużać jego cierpień. Niczym sobie na to nie zasłużył. – Próbuje doczekać narodzin dzieci – rzekł Dawid. – Chce mieć pewność.

– To już nie ma żadnego znaczenia – wyjaśnił cierpliwie W-1. – A tymczasem on cierpi.

Dawid przyjrzał mu się z nienawiścią i pomyślał, że nie byłby w stanie podjąć podobnej decyzji.

Przez kilka jeszcze chwil W-1 patrzył na niego badawczo, po czym zaproponował:

– A więc my podejmiemy decyzję.

Następnego ranka okazało się, że Walt zmarł we śnie.

Rozdział 9

Przyszła pora zieleni. Najpierw wierzby rozsnuły pośród smukłych gałązek lekką jak mgiełka arabską zieloność. Forsycje i krzewy możeszowe okryły się kwiatem, znacząc szare tło jasnymi plamami żółci i czerwieni. Wiosenne roztopy na północy i obfite marcowe deszcze sprawiły, że rzeka przybrała, lecz tylko do spodziewanego stanu. Nie była w tym roku niebezpieczna, nie niosła zagrożenia. Po raz pierwszy od września powietrze było balsamiczne i łagodne, pachniało mokrym lasem i żyzną ziemią. Dawid siedział na zboczu, skąd widać było farmę, i liczył oznaki wiosny. Na polu pasły się cielaki, które wyglądały jak wszystkie wiosenne cielaki od wiek wieków: chudonogie, pokraczne, nierozgarnięte. Na polach nie rozpoczęto jeszcze pracy, za to ; ogród cały się zielenił: seledynowa sałata, niebieskozielona kalarepa, zielone halabardy cebuli, ciemnozielone głowy kapusty. Najnowsze skrzydło szpitala, nie otynkowane jeszcze i surowe w porównaniu z wykończonymi ceglanymi: budynkami, było już wykorzystane; Dawid dostrzegł nawet w oknach kilkoro młodych ludzi ślęczących nad książkami. Mieli najlepszych wykładowców – spośród siebie samych – a także najlepszych studentów. Od siebie nawzajem uczyli się z zadziwiającą łatwością, znacznie łatwiej, niż przedtem od starszych.

Wychodzące ze szkoły grupki nie mieszały się ze sobą: czworo z jednego zestawu, troje z drugiego, dwoje z trzeciego. Odnalazł wzrokiem trzy Celie. Już nie potrafił ich rozróżnić: wszystkie były teraz dorosłe i identyczne. Przyglądał im się nie czując pożądania; nie kierowała nim nienawiść ani też miłość. Dziewczęta zniknęły w drzwiach stodoły, a Dawid przeniósł wzrok ponad farmę, ku wzgórzom po drugiej stronie doliny. Wzgórza stały we mgle, nie widać było ostrych krawędzi. Wyglądały łagodnie i zapraszająco. Już niedługo – pomyślał. – Już niedługo. Nim zakwitną magnolie.

W noc narodzin pierwszego dziecka odbyła się kolejna uroczystość. Starsi rozmawiali między sobą, śmieli się nawzajem ze swoich dowcipów, popijali wino. Klony zostawiły ich i świętowały w drugim końcu sali. Kiedy Vernon wziął gitarę i rozpoczęły się tańce, Dawid wymknął się na zewnątrz. Przez kilka minut wałęsał się po szpitalu, jak gdyby bez celu, a kiedy upewnił się, że nikt go nie śledzi, pobiegł w kierunku młyna i generatora. Sześć godzin – myślał. – Sześć godzin bez dopływu prądu i wszystko, co znajduje się w laboratorium, ulegnie zniszczeniu.

Do młyna zbliżał się ostrożnie, mając nadzieję, że wartka woda strumienia zagłuszy jego kroki. Budynek był bardzo duży, trzypiętrowy, okna znajdowały się trzy metry nad ziemią, na poziomie pomieszczeń biurowych. Parter wypełniała maszyna. Na tyłach budynku pagórek wznosił się gwałtownie, tak że Dawid zdołał dosięgnąć poziomu okien, podciągnawszy się na stromy występ, gdzie jedną ręką opierał się dla równowagi o ścianę, drugą zaś, wolną, sprawdzał okna. Znalazł wreszcie jedno, które, popchnięte, lekko podjechało w górę, i po chwili był już we wnętrzu ciemnego pokoju. Zamknął okno, po czym stąpając powoli z rozpostartymi rękami, aby w razie czego ominąć przeszkodę, przeszedł przez cały pokój do drzwi i nieznacznie je uchylił. Młyn pozostawał pod stałym nadzorem. Dawid miał nadzieję, że ci, którzy dziś pełnili dyżur, będą na dole, przy maszynach. Biura i korytarz tworzyły otwarte półpiętro nad słabo oświetloną studnią. Hall, pełen groteskowych cieni, sprawiał niesamowite wrażenie: głębokie zatoki ciemności sąsiadowały z miejscami, w których każdy, kto w odpowiednim momencie spojrzełby w górę, musiałby dostrzec Dawida jak na dłoni. Nogle Dawid zeszywniał. Usłyszał głosy.

Zsunął buty i szerzej uchylił drzwi. Głosy były donośne, dobiegały z dołu. Bezszelestnie, trzymając się blisko ściany, Dawid podbiegł w stronę dyspozytorni. Był tuż – tuż, kiedy w całym budynku rozbrzły światła. Rozległy się krzyki i tupot stóp po schodach. Dawid jednym susem dopadł drzwi, otworzył je szarpnięciem i zatrzasnął za sobą. Nie miały zamknięcia. Udało mu się ruszyć

szafę z aktami o parę centymetrów, ale w końcu dał jej spokój i podniósł za nogi metalowy taboret. Uniósł go wysoko i z rozmachem cisnął w główną deskę rozdzielczą. W tej samej chwili poczuł miazdzący ból w plecach, potknął się i upadł do przodu, dokładnie w chwili, gdy światła zgasty.

* * *

Z wysiłkiem otworzył oczy. Przez chwilę nie widział nic, tylko blask; potem rozpoznał rysy młodej dziewczyny. Czytała książkę. Była nią całkowicie pochłonięta. Dorota? To jego kuzynka Dorota. Spróbował się unieść, a ona podniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego.

– Dorota? Co ty tu robisz? – Nie był w stanie ruszyć się z łóżka. Po drugiej stronie pokoju otworzyły się drzwi i wszedł Walt, też bardzo młody, bez zmarszczek, z ładnymi, kasztanowatymi włosami w nieładzie. Dawida zaczęła boleć głowa, a sięgnąwszy w górę natrafił na bandaż, które zachodziły mu niemal na oczy. Pamięć z wolna wracała. Dawid przymknął powieki, chcąc ją odegnąć, pragnąc, aby ci dwoje znów byli Dorotą i Waltem.

– Jak się czujesz? – spytał W-1. Dawid poczuł chłód jego palców na przegubie dłoni. – Nic ci nie będzie. Lekki wstrząs mózgu. Ale poharatany jesteś paskudnie. Przez jakiś czas będzie nieźle bolało.

Nie otwierając oczu, Dawid zapytał:

– Dużo zniszczyłem?

– Bardzo niewiele – odparł W-1.

W dwa dni później zaproszono Dawida na zebranie w stołówce. Z opatrunku na głowie został już tylko pasek plastra. Bolało go ramię. Do stołówki szedł powoli, pod eskortą dwóch klonów. D-1 podniósł się i wskazał Dawidowi krzesło z przodu sali. Dawid przyjął je w milczeniu i usiadł, czekając na dalszy rozwój wypadków. D-1 stał w dalszym ciągu.

– Pamiętasz, Dawidzie, naszą szkolną dyskusję o instynktach? – zapytał D-1. – Zgodziliśmy się w końcu, że coś takiego jak instynkt prawdopodobnie w ogóle nie istnieje, że można mówić jedynie o uwarunkowanych reakcjach na określone bodźce. A jednak my zmieniliśmy zdanie. Twierdzimy teraz zgodnie, że ciągle działa instynkt zachowania własnego gatunku. Zachowanie gatunku to instynkt bardzo silny, to, jeśli wolisz, przymus wewnętrzny. – Spojrzał na Dawida i spytał: – Co mamy teraz z tobą począć?

– Nie bądź durniem – rzucił ostro Dawid. – Wy nie jesteście odrębnym gatunkiem.

D-1 nie odpowiedział. Nikt się nie poruszył. Obserwowali Dawida w milczeniu, inteligentni, obojętni.

Dawid wstał, odsuwając krzesło do tyłu.

– No to pozwólcie mi pracować. Daję wam słowo honoru, że niczego już nie spróbuję zniszczyć.

D-1 pokręcił głową.

– Rozważaliśmy takie wyjście. Zgodziliśmy się jednak, że twój instynkt zachowania gatunku zapanuje nad słowem honoru. Tak samo byłoby i z nami.

Dawid poczuł, że dłonie zaciskają mu się w pięści. Rozprostował palce, zmusił je do rozluźnienia.

– A więc musicie mnie zabić.

– Rozmawialiśmy i o tym – rzekł ponuro D-1. – Nie chcemy tego robić. Zbyt wiele wam zawdzięczamy. Kiedyś wzniesiemy pomniki – twój, Walta, Harryego. Notowaliśmy skrupulatnie wszystkie wasze dla nas zasługi. Nasza wdzięczność i sympatia dla ciebie nie pozwoliłyby nam cię

zabić.

Dawid rozejrzał się po sali, wyławiając wzrokiem znajome twarze. Dorota. Walt. Vernon. Margaret. Celia. Wszyscy spotykali jego wzrok bez drgnienia powieki. Niektórzy uśmiechali się niewyraźnie.

– No to wy mi powiedzcie, co będzie – zrezygnował w końcu Dawid.

– Musisz odejść – oświadczył D-1. – Przez cztery dni będziesz eskortowany w dół rzeki. Czekają na ciebie wózek wyładowany żywnością, nasionami, jest i trochę narzędzi. Dolina jest żyzna, nasiona dobrej klasy. Pora roku sprzyja zakładaniu ogrodów.

Jednym z trzech towarzyszących Dawidowi klonów był W-2. Nie rozmawiali z sobą. Chłopcy na zmianę ciągnęli wózek z zapasami. Dawid nie kwapił się do pomocy. Zostawili go u schyłku dnia, po drugiej stronie rzeki, naprzeciwko farmy Sumnerów. Zanim W-2 dogonił swoich towarzyszy, którzy się nieco oddalili, zwrócił się do Dawida:

– Kazali ci coś powiedzieć. Jedna z tych dziewczyn, na które ty mówisz Celia, zaszła w ciążę. Zapłodnił ją jeden z chłopców, których nazywasz Dawidami. Chcieli, żebyś o tym wiedział. – Co powiedział, odwrócił się i podążył za tamtymi. Szybko zniknęli pomiędzy drzewami.

Tej nocy Dawid spał tam, gdzie go zostawili, a rankiem ruszył dalej na południe, porzucając wózek, z którego zabrał tylko zapas jedzenia na kilka następnych dni. Przystanął jedynie raz, aby popatrzeć na młodziutkie drzewko klonu, ukryte pomiędzy sosnami. Delikatnie dotknął miękkich zielonych listków. Szóstego dnia dotarł na farmę Wistonów i w pamięci odżył mu dzień, w którym czekał tam na Celię. Biały dąb, jego przyjaciel, był wciąż taki sam, może trochę większy – Dawid nie miał pewności. Przez okryte świeżymi, jaskrawozielonymi liśćmi gałęzie nie było widać nieba. Dawid sporządził szałas przy pniu i tę noc przespał pod drzewem, rano zaś uroczyście pożegnał dąb i rozpoczął wspinaczkę na okalające farmę wzgórze. Dom nadal stał w miejscu, nie było już jednak ani stodoły, ani innych zabudowań, zniesionych z powierzchni ziemi przez potop, który urządzili swoim wrogom mieszkańcy doliny – tak strasznie dawno temu.

Dotarł do wiekowej puszczy, gdzie przez pewien czas obserwował, jak jakiś latający owad leniwie porusza skrzydełkami, i przypomniały mu się słowa dziadka, że tutaj nawet owady są prymitywne – powolniejsze niż ich kuzyni na wyższym szczeblu rozwoju, bardziej wrażliwe na upały i susze.

Pod drzewami panowała wilgotna mgiełka i chłód. Owad przysiadł na liściu; w złocistym blasku słońca sam wydawał się złoty. Przez moment zdawało się Dawidowi, że słyszy ptasi tryl, śpiew drozda. Moment ów był zbyt krótki. Dawid z niedowierzaniem pokręcił głową. Pobożne życzenie – i tyle.

W wiekowej puszczy, w puszczy – kryjówce, drzewa o nienaruszonych genach stały w pogotowiu, oczekując dnia, w którym warunki znów pozwolą im ruszyć w dół. Dawid wyciągnął się na ziemi pod wielkimi konarami i zasnął, a w chłodnej, mglistej krainie jego snu spacerowały jaszczurki i słodko śpiewał ptak.

Rozdział 10

Lipcowy opar unosił się nad doliną zacierając kształty, pola stały w rozmigotanym od upału powietrzu. Świat nie miał ostrych konturów. Doliną szedł łagodny i ciepły wiatr. Wybijała kukurydza była wyższa od człowieka. Złocistobrązowe źdźbła pszenicy odpowiadały na każde tchnienie wiatru: natychmiast całe pole zaczynało falować, jakby to jedna istota napinało i rozluźniała mięśnie, rozładowując w ten sposób nagromadzone napięcie. Tuż za łanami zbóż grunt załamywał się i spadał na łeb, na szyję ku gładkiej, nieruchomej rzece. Rzeka była krystalicznie czysta, ale filtrowane przez opary światło sprawiło, że z drugiego piętra woda wydawała się rdzawa i zastygła jak metal, który niszczał na złomowisku.

Molly wpatrywała się w rzekę, próbując w wyobraźni odtworzyć jej wędrówkę przez wzgórza. Bezwiednie przeniosła wzrok w drugą stronę, ku przystani i łodzi, ale drzewa nie pozwalały ich dostrzec z drugiego piętra szpitala. Twarz i szyję Molly pokrywała warstewka potu. Molly uniosła włosy znad karku.

– Denerwujesz się? – Miriam objęła ją w pasie.

Molly na sekundę oparła głowę o policzek Miriam i zaraz się wyprostowała.

– Chyba tak.

– Ja na pewno – powiedziała Miriam.

– Ja też – dodała Marta, która również podeszła do okna i ujęła Molly pod ramię. – żałuję, że to właśnie nas wybrali.

Molly skinęła głową.

– To nie potrwa zbyt długo:

Było jej gorąco od bliskości ciała Marty i odwróciła się od okna. Pokój powstał dzięki usunięciu ścian działowych w trzech sąsiadujących z sobą salach szpitalnych; był długi, wąski i miał sześć okien, z których żadne nie było tego popołudnia nawet uchylone. Pod ścianą stało rzędem sześć wąskich, białych, bezwzględnie funkcjonalnych łóżek,

– Teraz was uczeszę! – zawołała Melissa z drugiego końca pokoju. Przez ostatnie pół godziny zajmowała się czesaniem i zaplataniem własnych włosów, a teraz odwróciła się do pozostałych dziewcząt jak na pokazie. W krótkiej białej tunice z czerwoną szarfą i w plecionych słomianych sandałach wyglądała chłodno i ślicznie. Włosy miała upięte do góry, a wpleciona w nie czerwona wstążka dobrze harmonizowała z ciemnymi zwojami warkoczy. Siostry Miriam cechowała fantazja i zmysł artystyczny. Były dyktatorkami mody. Najnowsza kreacja Melissy jeszcze w tym samym tygodniu ulegnie skopiowaniu przez inne siostry.

Marta roześmiała się zachwycona i usiadła patrząc, jak wprawne palce Melissy zaczynają układać jej włosy. W godzinę później, kiedy parami opuściły pokój, posuwały się jak jedna istota i były do siebie tak podobne, jak kłosa zboża.

W auli zaczynały się już gromadzić i inne grupki. Siostry Luiza śmiały się i machały; minęli je biegiem bracia Ralf, którzy na swe długie włosy przywdziali indiańskim zwyczajem plecione opaski; siostry Nora usunęły się z drogi, przepuszczając grupę Miriam. Były bardzo przejęte i pełne szacunku. Molly uśmiechnęła się do nich i spostrzegła, że jej siostry także się uśmiechają: były jednakowo dumne.

Gdy weszły na szerszą ścieżkę, prowadzącą ku schodom auli, dostrzegły kilka reproduktorek, które zerkały na nie spoza różanego żywopłotu. Głowy natychmiast się pochowały, a siostry jak na komendę odwróciły wzrok, nie zważając na nie i z miejsca puszczając rzecz w niepamięć. Idą bracia Barry – pomyślała Molly usiłując odszukać wśród nich Bena. Sześć małych Klar podbiegło i

zatrzymało się gwałtownie, śledząc wzrokiem siostry Miriam, póki te nie weszły na schody i nie zniknęły w drzwiach.

Przyjęcie odbywało się w nowej auli, gdzie na miejsce krzesel wstawiono stoły uginające się pod delikatesami, jakie podawano tylko w dni dorocznych świąt: Dzień Pierw. szych Narodzin. Rocznicę Założenia, Dzień Powodzi... Spojrzawszy w otwarte drzwi po przeciwnej stronie auli, Molly oniemiała: całą ścieżkę prowadzącą do rzeki zdobiły łojowe pochodnie i łuki z sosnowych gałęzi. Po uczcie miała się odbyć druga uroczystość, tym razem na przystani. Tymczasem aulę wypełniała muzyka, bracia i siostry tańczyli w końcu sali, a dzieci uwijały się między nimi, zajęte własnymi zabawami, opartymi no im tylko znanych regułach. Molly uśmiechnęło się na widok swoich młodszych siostrzyczek szykujących się do gry w berka. Dziesięć lat temu mogło to być ona sama, Miri, Melissa, Meg, Marta. A Miriam, której one jak zwykle umknęły spod kontroli, Jest na pewno gdzieś indziej – załamuje w rozpaczy ręce albo tupie ze złości, że jej siostry znowu nie zachowują się jak należy. Miriam była o dwa lata starsza od reszty, swą odpowiedzialność nosiła jak ciężkie brzemię.

Kobiety ubrane były w białe tuniki z odświętnymi szortami i tylko siostry Susan wirując w tańcu zamiatały podłogę spódnicami: to brały się za ręce, to znów rozdzielały. Jak kwiat, który otwiera i zamyka swój kielich. Mężczyźni nosili tuniki dłuższe i prostsze, przepasane sznurami, z których zwisały skórzane sakiewki ozdobione emblematami poszczególnych rodzin. Tu widniała głowa jelenia, ówdzie zwinięta żmija, ptak w locie, wysoka sosna...

Bracia Jeremy opracowali skomplikowany taniec. nic tak efektowny Jak taniec kwiatów, za to wymagający skupienia i żelaznej kondycji. Byli już mokrzy od potu, gdy Molly zbliżyła się do kręgu obserwatorów. Braci Jeremy było sześciu. a sam Jeremy był zaledwie o dwa lata starszy od pozostałych – nie różnili się między sobą ani na jotę. W pomieszeniu wijących się ciał Molly nie potrafiła odnaleźć Jeda. który miał być jednym z jej towarzyszy podróży przez metaliczną rzekę.

Melodia zmieniła się i Molly wraz z siostrami wyszło na parkiet. Zmierzch przeszedł w noc, rozbłysły światła elektryczne – żarówki, osłonięte na czas uroczystości błękitnymi, żółtymi, czerwonymi i zielonymi lampionami. Muzyka przybrała na sile, coraz więcej osób wirowało w tańcu, podczas gdy inne grupki braci i siostr zajęły miejsca przy biesiadnych stołach. Mali bracia Kirby rozplakali się jak na komendę i ktoś zabrał ich z sali, aby położyć łóżek. Małe siostrzyczki Miriam siedziały teraz pod ścianą cichutkie jak myszki, zajadając ciastka palcami: wszystkie wzięły sobie różowe ciasto z różowym kremem, który kleił im się do palców, do policzków, do bródek. Były mokre od potu, a w miejscach, gdzie ocierały buzie dłońmi, widniały smugi brudu. Jedna z dziewczynek była boso.

– Jak one wyglądają! – oburzyła się Miri.

– Wyrosną z tego – odparła Miriam, a Molly poczuła przez sekundę ukłucie czegoś, czego nie potrafiła nazwać. Po chwili siostry Miriam rzuciły się wszystkie naraz do stołu, kłócąc się o wybór potraw. W końcu wszystkie miały na talerzach te same przysmaki: kebaby jagnięce, paszteciki z parówkami, koreczki z patatów polewane miodem, zieloną fasolę w strąkach, lśniąca od winnego sosu, maleńkie ciasteczka na gorąco.

Molly raz jeszcze spojrzała pod ścianę, na ślaniające się ze zmęczenia małe siostrzyczki. Już po różowych ciastkach z kremem – pomyślała smutno. Jedna z siostrzyczek posłała jej wstydlawy uśmiech, a Molly odwzajemniła go, po czym wraz z siostrami poszła szukać miejsca do siedzenia, aby bankietować dalej i czekać finałowej uroczystości.

Roger, najstarszy ze wszystkich, pełnił rolę mistrza ceremonii.

– Wznoszę toast – oświadczył – za pomyślność naszych braci i naszej siostry, którzy o świcie

wyruszą na poszukiwanie, a szukać będą nie nowych ziem do podbicia, nie przygód dla wykazania się odwagą, nie złota i srebra, lecz najcenniejszego ze skarbów: informacji, na którą wszyscy czekamy, która pozwoli nam rozkwitnąć tysiącem, milionem kwiatów! Jutro opuszczą nas jako bracia i siostra za miesiąc zaś powrócą, aby nas nauczać! Jed! Ben! Harvey! Tomasz! Lewis! Molly! Wystąpcie i pozwólcie, że wzniesiemy toast za was i za ten najcenniejszy dar, jaki przyniesiecie nam, swojej rodzinie!

Przeciskając się przez tłum, który teraz wiwatował na stojąco, Molly czuła, że rumieniec radości pali jej policzki. Weszła na podium dołączając do pozostałej piątki i wraz z mi czekała, aż umilkną okrzyki i brawa. Zobaczyła, że jej małe siostrzyczki stoją na krzesłach i klaszczą bez opamiętania; buzie miały czerwone i umorusane. Będą płakać – pomyślała Molly. Było to dla nich zbyt wielkie przeżycie.

A teraz – Roger podjął mowę – dla każdego z was mały upominek. /Molly dostała nieprzemakalną torbę na szkicowniki, pióra i ołówki. Po raz pierwszy w życiu miała coś, czego nie dzieliła z siostrami, coś zupełnie własnego. Poczwała wzbierające łzy i nie słyszała już dalszego ciągu przemówienia, nie widziała innych prezentów – opamiętała się dopiero, gdy prowadzono ich na przystań, gdzie czekała ostatnia niespodzianka: pororzec łopocący na maszcie niewielkiej łódki, która miała ich zabrać do Waszyngtonu. Pororzec był koloru lipcowego nieba, tak intensywnie i czysto błękitny, że za dnia doskonale zlewał się z firmamentem, pośrodku zaś iskrzyła się srebrem ukośna strzała błyskawicy. Nad dziobem łodzi rozpięty był baldachim, także błękitno – srebrny.

Wzniesiono jeszcze jeden toast winem, od którego Molly szumiało i kręciło się w głowie, potem jeszcze jeden, aż na koniec Roger oznajmił ze śmiechem:

– Przyjęcie jeszcze nie skończone, ale nasi dzielni odkrywcy udadzą się teraz na spoczynek. – Jed próbował się sprzeciwić, ale Roger zaśmiał się ponownie. – Nie masz wyboru, mój bracie. Dosypaliśmy wam coś do ostatnich kieliszków; za godzinę będziecie spać jak susły, żeby na starcie wyprawy każde było świeżutkie i wypoczęte: Proponuję, aby siostry i bracia zabrali teraz swoich bohaterów do domu i dopilnowali, żeby grzecznie poszli spać.

Przy gromkim akompaniamencie śmiechu bracia i siostry złowili wreszcie swoich podróżników. Molly bez przekonania opierała się siostronom, które pół prowadziły, pół niosły ją do pokoju.

– Przepakuję twoje rzeczy – zaofiarowała się Miriam, obracając w rękach nową torbę siostry. – Jaka śliczna. Patrz – cała wytłaczana...

Rozebrały Molly i wyszczotkowały jej włosy. Miri głaskała ją po plecach i masowała ramiona, a Melissa, wyjmując wstążkę z jej włosów, pieściła kark siostry ledwie wyczuwalnymi pocałunkami.

Molly poczuła, że ogarnia ją miły bezwład. Wobec szykujących ją do łóżka sióstr zdobyła się jedynie na uśmiech i westchnienie. Po chwili dwie z nich rozwinęły na podłodze matę i stanęły obok patrząc, jak pozostałe siostry prowadzą ku niej Molly. Wszystkie śmiały się z jej chwiejnego chodu, z tego, że niemal pada na kolana i za wszelką cenę próbuje trzymać oczy otwarte. Na macie nie szczędziły jej pieszczot, póki całkiem nie zapadła w sen. Wówczas przenieśli ją na łóżko i okryły cienkim letnim kocem, a Miri pochylała się i delikatnie ucałowała jej powieki.

Rozdział 11

Nim minęła pierwsza godzina podróży, życie na łodzi stało się rutyną. Okrzyki żegnających poginęły w przestrzeni; pozostała jedynie spokojna rzeka, nieme lasy i pola i miarowy plusk wiosła.

Po tygodniu treningu cała szóstka była świetnie zaprawiona do roboty, współdziałało im się doskonale. Lewis, projektant łodzi, trzymał straż na dziobie i wypatrywał niespodziewanych przeszkód. Trzej z braci i Molly wiosłowali na pierwszej zmianie, a Ben siedział za Lewisem.

Z przodu, tam gdzie umieścili zwinięty teraz baldachim, łódź miała nadbudówkę. Oslonięta była także ta część rufy, w której mieściły się cztery koje. Wykorzystano każdy centymetr powierzchni, głównie na żywność, zapasowe ubrania, medykamenty i nienagannie poskładane wodoszczelne sakwy, do których podróżnicy mieli ładować dokumenty, mapy i w ogóle wszystko, co ich zdaniem mogło przedstawiać jakąkolwiek wartość. /Molly wiosłowała i obserwowała linię brzegu. Opuścili już znaną sobie partię doliny z polami uprawnymi; krajobraz ulegał zmianie. Dolina to się zwężała, to znów poszerzała, po lewej stronie wznosiły się strome urwiska, po prawej na stokach wzgórz rosły lasy. Drzewa stały nieruchomo, ciszę poranka zakłócał jedynie plusk wiosła.

Patrząc, jak wiosło zanurza się w przejrzystej wodzie, Molly pomyślała, że jej siostry pełnią w tym tygodniu dyżur w kuchni. Wspólne żarty, wspólne zajęcia. Może już zaczęły za nią tęsknić... Wiosłowała miarowo, unosiła wiosło, patrzyła, jak na nowo zanurza się w wodzie.

– Uwaga, skała! Godzina dziesiąta, dwadzieścia metrów! – zawołał Lewis.

Sprawnie zmienili kurs, omijając przeszkodę szerokim łukiem.

– Godzina dziewiąta, dwadzieścia metrów!

Tomasz, który siedział przed Molly, miał szerokie bary i włosy koloru słomy, równie jak słoma proste. Lekki wietrzyk podwiewał je do góry, po czym włosy bardzo długo opadały. Mięśnie Tomasza pracowały płynnie, jego skóra lśniła od potu. Molly pomyślała, że byłby z niego świetny model do studium muskulatury. Tomasz odwrócił się i powiedział coś do Harveya, który siedział po przeciwnej burcie, po czym obaj zanieśli się śmiechem.

Słońce wznosiło się coraz wyżej, w twarze bił im żar, niesiony pędem powietrza powodowanym przez ruch łodzi, która sunęła powoli, lecz miarowo, gładko. Molly czuła wilgoć potu nad górną wargą. Wkrótce będą musieli się zatrzymać i rozpostrzeć baldachim. Zwiększy to opór powietrza, ale zdecydowali, że i tak korzyści przeważą stratę... wyprawę zorganizowano z uwzględnieniem maksimum bezpieczeństwa i wygody jej uczestników – było to ważniejsze niż pośpiech.

Przed wyprawą zbadano rzekę aż do miejsca, gdzie łączyła się z Shenandoah. Tuż za skałami zaczynał się długi spadek, wiodący do tamtej, bardziej rozlewistej i nieznannej wody. Po południu Molly miała opuścić miejsce przy wiosłach i podjąć swe właściwe zadanie: prowadzenie rysunkowego dziennika wyprawy, w którym miały się również znaleźć wszelkie niezbędne korekcje mapy.

Spróbowali postawić żagiel, ale wiatr w dolinie był kapryśny, zdecydowali więc, że próbę żagla odłożą na później, może do czasu, aż znajdą się na Potomacu. Zatrzymali się, aby rozwinąć baldachim i odpocząć, po czym wrócili do wiosła – wszyscy prócz Molly, która usiadła osobno, ze szkicownikiem i planami rzeki pod ręką. Dłonie miała zeszytywniałe i cieszyła się, że może trochę posiedzieć bez ruchu. W końcu wzięła się za szkicowanie.

Tego samego popołudnia dotarli do pierwszych bystrzy, które przepłynęli bez przeszkód. Weszli na wody Shenandoah i zwrócili się na północ. Kiedy przyszła pora odpoczynku, wszyscy usiedli w milczeniu i nawet Jed stracił ochotę na śmiechy i żarty.

Spali w łodzi, która łagodnie sunęła po wodzie. Molly myślała o siostrach, które po zwinięciu i odłożeniu maty śpią teraz w swych wąskich, białych łóżkach. Z trudem powstrzymała łzy samotności. Silny wiatr poruszał wierzchołkami drzew, a Molly wydało się, że słyszy ich szepty. Za pragnęła wyciągnąć rękę i dotknąć któregoś z braci, wszystko jedno którego. Westchnęła i usłyszała, że ktoś wyszeptał jej imię. Jed. Wśliznął się do jej wąskiej koi i usnęli objęci mocno.

Następnej nocy wszyscy połączyli się w pary i pocieszali wzajemnie, zanim każde zdołało zasnąć.

Rankiem zatrzymały ich zniecała bystrza i wodospad. – Tego wcale nie ma na mapie – oświadczyła Molly Lewisowi, z którym razem stała na brzegu. Rzeka była rozlewista i spokojna, dolinę, w której rosło niegdyś zboże i kukurydza, porastały krzewy i karłowate drzewa. Jeszcze dalej strome zbocza podchodziły tuż do rzeki, która stawiała się tym miejscu węższa, głębsza i bardziej wartka. Już po wydrukowaniu mapy, którą się posługiwali, jedno ze zboczy musiało ulec wstrząsowi i rozpaść się na masywne głazy i drobne skalne okruchy, które tworzyły teraz na rzece gigantyczny zator, ciągnący się aż po horyzont. Woda wystąpiła z brzegów, zalewając dolinę na całej szerokości. Przed sobą słyszeli grzmot wodospadu.

– Jesteśmy chyba w pobliżu miejsca, gdzie północna odnoga Shenandoah zlewa się z południową – oświadczyła Molly. Odwróciła się, aby sprawdzić położenie zboczy. – Jeszcze ze trzy kilometry, to tam. – Wskazała palcem wysokie urwisko.

Lewis skinął głową.

– Musimy się cofnąć aż do miejsca, w którym uda się wyciągnąć łódź na brzeg. Przeprowadzimy się łądem.

Molly spojrzała na mapę.

– Patrz, tu jest droga. Zbliży się tam, wcześniej, prawie do samej rzeki, omija kilka wzgórz – to jakieś pięć kilometrów – i znowu skręca nad rzekę. Udałoby się chyba obejść wodospady. Po drugiej stronie między nami a północną odnogą nie ma nic: żadnej drogi, żadnej ścieżki, nic zupełnie.

Lewis zarządził obiad. Po posiłku i odpoczynku zawrócili łódź i popłynęli pod prąd, trzymając się blisko brzegu i wypatrując śladu drogi. Nurt był w tym miejscu wartki; po raz pierwszy uświadomili sobie, jak ciężko będzie walczyć z prądem przez całą drogę do domu.

Molly wypatrzyła przerwę między wzgórzami, którą biegła stara droga. Znaleźli miejsce, gdzie można było wyciągnąć łódź na brzeg i przysposobić ją do podróży łądem. Mieli z sobą koła, osie i topory do ścinania drzew na budowę platformy. Czterech braci wzięło się za rozpakowywanie niezbędnych rzeczy.

Wydobyli porządnie poskładane grube spodnie, buty i koszule z długimi rękawami, mające chronić nie tyle przed zimnem, co przed ostrymi gałęziami krzewów, gdyż na czas podróży nie spodziewano się chłódów. Molly i Lewis przebrali się pośpiesznie i ruszyli na poszukiwanie najdogodniejszego przejścia do drogi przez płataninę krzewów.

Molly pomyślała nagle, że tej nocy będą musieli spać w lesie – i przeniknął ją dreszcz. Czowała, że jej siostry zaniepokojone odrywają wzrok od tego, co akurat robią, wymieniają spojrzenia i z ociąganiem wracają do przerwanej pracy, w niewyjaśniony sposób dotknięte tym samym lękiem, który ją właśnie ogarnął. Gdyby nie była tak daleko, zbiegłyby się do niej, gnane niepokonanym choć niewytłumaczalnym – impulsem bycia razem.

Molly i Lewis musieli kilkakrotnie zawracać, nim znaleźli przesmyk, którym można było przeciągnąć łódkę do drogi. Gdy powrócili nad rzekę – platforma była już gotowa, a łódź przytwierdzona do niej jak należy. Nad niewielkim ogniskiem grzała się woda na herbatę. Wszyscy mieli już na sobie długie spodnie i buty.

– Nie ma czasu na postoje – rzekł z irytacją Lewis. Do zmierzchu pozostały najwyżej cztery godziny, a trzeba przedtem dotrzeć do drogi i rozbić obóz.

– My możemy ruszać – powiedział cicho Ben – ale Molly napije się tu herbaty i zje kawałek sera. Jest zmęczona, powinna odpocząć. – Ben był lekarzem. Lewis wzruszył tylko ramionami.

Molly patrzyła, jak zaprzęgają się do platformy. W dłoniach trzymała kubek z herbatą i kawałek sera barwy zleżalej kości słoniowej. U jej stóp dogasał ogień. Odsunęła się od niego; w grubych spodniach i koszuli było jej za gorąco. Chłopcy zaczęli holować łódź: czterech ciągnęło, a Tomasz popychał z tyłu. Obejrzał się na Molly z szerokim uśmiechem, a zaraz potem łódź przetoczyła się przez głaz, złapała równowagę i gładko pojechała w górę na lewo.

Molly przeniosła się z herbatą i serem nad samą rzekę, ściągnęła, buty i zanurzyła stopy w letniej wodzie. Wiedziała, że żadne z nich nie uczestniczyło w wyprawie przypadkowo, i wcale nie czuła się piątym kołem u wozu. Jedyne siostry Miriam potrafiły dokładnie zapamiętać i odwzorować to, co widziały. Rozwijano tę ich wrodzoną skłonność od najwcześniejszego dzieciństwa. Szkoda, że były takie drobne; Molly pojechała na wyprawę tylko dzięki swojej szczególnej umiejętności, a nie, jak bracia, z racji wyjątkowej tężyzny czy innych zalet. Co do tego jednak, że jest równie jak pozostali niezbędna, nikt nie miał najmniejszych wątpliwości.

Molly rozebrała się, żeby popływać. Woda czesła jej włosy, obmywała skórę, koila zmęczenie. Kiedy Molly wyszła na brzeg, ognisko już dogasało. Zgasiła je do końca, posługując się w tym celu kubkiem po herbacie, ubrała się i ruszyła śladem pozostawionym przez braci i ciężką łódź.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, poczuła, że jest śledzona. Stała nasłuchując, próbując dojrzeć coś między drzewami, ale absolutną ciszę puszczy zakłócał jedynie dobiegający z wysoka, stłumiony szelest liści. Molly obejrzała się zniecierpliwiona. Nic. Gwałtownie nabrała w płuca powietrza i podjęła marsz na nowo. To nie strach – oświadczyła sobie kategorycznie i przyśpieszyła kroku. Nie było się czego bać. W lesie nie było żadnych zwierząt. Przetrwały tylko owady zdolne żyć pod ziemią – mrówki, termyty... Próbowała zatrzymać myśl na mrówkach – to one przejęły teraz funkcje zapyłania – zorientowała się jednak, że wciąż popatruje w górę, na rozkołysane drzewa.

Upał był niemiłosierny. Molly zdawało się, że drzewa osaczają ją coraz ciaśniej. To dlatego, że po raz pierwszy w życiu została sama, tłumaczyła sobie. Naprawdę sama poza zasięgiem dłoni, poza możliwością kontaktu z innymi. To samotność gnała ją teraz przez zniszczone przejściami chłopców, powyrywane z korzeniami poszycie. Dlatego właśnie – pomyślała – ludzie w dawnych czasach tracili rozum: wariowali, bo byli samotni, bo nigdy nie zaznali dobrodziejstwa posiadania braci i sióstr, którzy są jak jedno – dzielą te same myśli, te same tęsknoty, marzenia, radości.

Biegła, łapiąc powietrze wielkimi haustami, póki nie zmusiła się, żeby stanąć i pooddychać głęboko przez kilka minut. Oparta o drzewo, czekała, aż puls wróci do normy, po czym ruszyła szybkim krokiem, powstrzymując się od biegu. Lęk minął jednak dopiero w chwili, gdy ujrzała braci.

Tej nocy rozbili obóz pośrodku zapuszczonej szosy w głębi lasu. Drzewa sklepiały się nad nimi nie przepuszczając ani skrawka nieba, a w powodzi napierającej ze wszystkich stron ciemności, niewielkie ognisko wydawało się słabiutkie i blade. Molly leżała sztywno wyprostowana, próbując złowić uchem jakikolwiek odgłos, jakikolwiek dźwięk, który powiedziałby im, że nie są sami na świecie – że ona, Molly, nie została na świecie sama. Wokół panowała martwa cisza.

Następnego dnia po południu Molly narysowała portrety braci. Siedziała na uboczu, ciesząc się słońcem i wodą, która nabrała gładkości i głębi. Myślała o braciach, o tym, jak bardzo różnią się między sobą, i nieświadomie zaczęła rysować ich tak, jak nigdy przedtem nie rysowała – jak nigdy przedtem nie widziała.

Podobał jej się Tomasz. Mięśnie miał podłużne i gładkie, a wysokie, sterczące kości policzkowe dzieliły jego twarz na równe płaszczyzny. Molly naszkicowała portret Tomasza samymi prostymi liniami, które kazały się domyślać kształtu policzków, ostrości wąskiego nosa, sterczącego podbródka. Tomasz wyglądał młodo, młodziej niż siostry Miriam, choć one miały po dziewiętnaście lat, a on – dwadzieścia jeden.

Przymknąwszy oczy, przywołała w pamięci postać Lewisa. Bardzo wysoki, ponad metr osiemdziesiąt. Potężny. Molly narysowała coś na kształt skalnej bryły, z podłużną głową i z twarzą, która – okrągła, pyzata na pozór, z wyjątkiem wydatnego nosa, pozbawiona rusztowania kości – zdawała się rozpływać poza własne kontury. Nos nie bardzo jej się podobał. Przymknęła oczy i po chwili starła go gumką. Narysowała nowy, umieszczony nieco ekscentrycznie i lekko skrzywiony. W portrecie – Molly była tego świadoma było sporo przesady, ale właśnie dzięki temu przerysowaniu udało jej się oddać twarz Lewisa.

Harvey był wysoki i chudy. No i te wielkie stopy – pomyślała Molly, uśmiechając się do wyrastającej spod ołówka postaci., Dłonie duże, oczy całkiem okrągłe, jak kółka.

Od razu widać, że to niezdara, co o wszystko się potknie i każdą rzecz przewróci.

Jed był łatwy. Korpulentny, same krzywizny. Małe, wydelikaczone niemal ręce, filigranowy. Drobne rysy, zbyt ciasno skupione na twarzy.

Najtrudniejszy okazał się Ben. Przy niezłej budowie, głowę miał większą niż pozostali, nie był też tak pięknie umięśniony jak Tomasz. A jego twarz była po prostu twarzą żadnych cech szczególnych. Na portrecie Molly Ben miał silniej zarysowane brwi niż w rzeczywistości i lekko zezował, jak zawsze, gdy uważnie czegoś słuchał. Molly przyjrzała się rysunkowi przez zwężone powieki. Nieudany. Za ostry. Nazbyt zdecydowany, za wiele tu siły charakteru pomyślała. – Może za dziesięć lat Ben upodobni się do tego szkicu bardziej niż teraz.

– Skały! Godzina dwunasta, trzydzieści metrów! – krzyknął Lewis.

Molly, jak przyłapana na gorącym uczynku, przerzuciła kartkę szkicownika i wzięła się za rysowanie rzeki oraz czyhających na niej zasadzek.

Rozdział 12

Ben uaktualniał notatki medyczne. Lewis kończył zapis w dzienniku pokładowym. Tomasz siedział na rufie i wpatrywał się w pozostającą z tyłu rzekę. Już od trzech dni Ben obserwował jego zachowanie. Nie wiedział, czego się spodziewać, nie podobała mu się ta zmiana nastroju, której Tomasz nie usiłował już nawet maskować.

Ben pisał: "Rozłąka z braćmi i siostrami była dla nas wszystkich znacznie trudniejszym przeżyciem, niż się spodziewaliśmy. Uwaga: na kolejne wyprawy wysyłać, w miarę możliwości, pary rodzeństwa".

A co będzie – zastanawiał – się – jeśli Tomasz zachoruje! Nawet w szpitalu nie było warunków do zajmowania się chorymi umysłowo. Utrata zmysłów traktowana była jako zagrożenie społeczne, zagrożenie wobec braci i sióstr, którzy cierpieli na równi z chorym. Już wcześniej . rodzina postanowiła nie tolerować żadnych zagrożeń społecznych. Siostra lub brat dotknięci chorobą psychiczną, mieli być eliminowani. Takie było prawo – Ben powtórzył ta sobie z całą surowością. Rzeczywistość natomiast wyglądała tak, że ich mała społeczność nie mogła sobie pozwolić na utratę pary rąk. Co robić, jeśli rzeczywistość przeczy prawu?

Spojrząwszy przelotnie na Molly, Ben dopisał: "Uwaga: w wyprawie powinna uczestniczyć taka sama liczba kobiet, jak mężczyzn". Domyślał się, że Molly czuje się bardziej osamotniona niż którykolwiek z nich. Patrzył, jak dziewczyna pokrywa rysunkami kolejne kartki szkicowania, i zastanawiał się, czy rekompensuje sobie tym w jakiś sposób nieobecność sióstr. Może gdy Tomasz zajmie się wreszcie swoim właściwym zadaniem, przestanie godzinami wpatrywać się w przestrzeń i podskakiwać nerwowo na każde dotknięcie czy zawołanie.

– Trzeba będzie zastanowić się nad sprawą żywności przerwał mu rozmyślenia Lewis. – Przewidywaliśmy, że przebycie tego odcinka zajmie nam pięć dni, a zajęło osiem. Weźmiesz to na siebie, Ben?

Ben kiwnął głową.

– Jutro, jak przybijemy do brzegu, zrobię remanent. Możliwe, że trzeba będzie zmniejszyć racje. – Wiedział, że nie powinni tego robić. Zanotował: „Uwaga: uwzględnić podwójne zapotrzebowanie kaloryczne”.

Ręka Molly wysunęła się spod policzka i zwisała luźno z koi. Ben miał zamiar przespać się z nią tej nocy, ale nie był rozczarowany, że do tego nie doszło. Zanim byli zmęczeni, nawet na pocieszanie się seksem. Ben westchnął i odłożył notes. Z nieba znikaly resztki słońca. Słychać było tylko cichy plusk fali o burtę łodzi i miarowe oddechy z tylnej części kajuty. Ben odczekał, aż Tomasz zaśnie, i też się położył.

Molly śniła, że łódź się wywraca, a ona nie może wydostać się spod kadłuba i w panice szuka drogi do powietrza. Woda miała barwę jasnożółtą, od której skóra Molly także stawała się złota, i Molly wiedziała, że jeśli choć na chwilę przestanie się ruszać, zmieni się na zawsze w złoty posąg na dnie rzeki. Zaczęła płynąć ze zdwojoną energią, spragniona powietrza, obolała, omdlewająca, owładnięta śmiertelnym strachem. Nagle wyciągnęły się ku niej ręce, jej własne ręce, białe jak śnieg. Molly spróbowała je pochwycić, ale ręce, których były już teraz dziesiątki, łowiły nicość, dłonie otwierały się i zaciskały bez skutku. Ciągłe nie mogły na nią trafić i w końcu Molly zawołała: "Jestem tutaj!" Woda gwałtownie wdarła się do wnętrza jej ciała. Molly, porażona tym co się stało, zaczęła się topić i tylko jej mózg gotował się ze strachu, a usta składały się w słowa protestu, niezdolne je wykrzyczeć.

– Cicho, Molly, wszystko dobrze – cichy głos dotarł wreszcie do jej świadomości i Molly

otrząsnęła się gwałtownie ze snu. – Wszystko dobrze, Molly, nic ci nie jest.

Było bardzo ciemno.

– Ben? – szepnęła Molly.

– Tak, coś ci się śniło.

Zadrzała i odsunęła się, robiąc mu miejsce obok siebie. Miała dreszcze – odkąd znaleźli się na wodach Potomacu, noce były bardzo chłodne. Ben był ciepły, jedną ręką mocno obejmował jej zziębnięte ciało, a drugą delikatnie je pieścił.

Cicho, tak żeby nie obudzić innych, ich ciała połączyły się w zmysłowym uścisku, a potem Molly zasnęła po raz drugi, z całej siły przytulona do Bena.

Przez cały następny dzień napotykali coraz liczniejsze ślady zniszczeń: popalone, roztrzaskane przez burze domy. Przedmieścia zarastały stopniowo krzakami i drzewami. Unoszące się na powierzchni wody resztki dodatkowo utrudniały przeprawę, zatopione łodzie i zwalone mosty zamieniały rzekę w labirynt, którym ich łódź posuwała się naprzód w żółwym tempie. I tym razem nie mogło być mowy o postawieniu żagla.

Lewis i Molly stali razem na dziobie. Wypatrywali zatopionych przeszkód i wykrzykiwali ostrzeżenia – czasem oboje naraz; czasem tylko jedno, żadne jednak nie milkło na dłużej niż minutę.

Nagle Molly wskazała przed siebie i zawołała:

– Ryby! Tu są ryby!

Z pełnym zachwytem i zdziwieniem wpatrywali się wszyscy w ławicę ryb, pozwalając łodzi swobodnie dryfować, póki Lewis nie krzyknął:

– Przeszkoda! Godzina jedenasta, dziesięć metrów! Chwycili ostro za wiosła i ławica zniknęła, ale zły nastrój zdążył już prysnąć. Wiosłując, rozmawiali o sposobach łowienia ryb, o suszeniu ich na drogę powrotną, o poruszeniu, jakie wywoła w dolinie wiadomość, że ryby mimo wszystko przetrwały.

Najstraszniejsze nawet ruiny oglądane z rzeki były niczym wobec obrazu kompletnego zniszczenia, jaki napotkali na przedmieściach Waszyngtonu. Molly oglądała kiedyś w książkach zdjęcia zbombardowanych miast – Drezna, Hiroszimy. Była to dokładnie taka sama totalna zagłada: ulice zagrzebane pod rumowiskami, tu i ówdzie góry betonu porośnięte winnym pnączem, drzewa zakorzenione wysoko ponad ziemią, opasujące korzeniami zwały cegieł, płyty i bloki marmuru. Póki się dało – płynęli rzeką. Tym razem kataraktę tworzyły przeszkody wykonane ludzką ręką: rdzewiejące samochody, zdruzgotany most, cementarzysko autobusów...

– Wszystko na nic – wymamrotał Tomasz. – Wszystko to nie ma sensu.

– Może nie – zaproponował Lewis. – Muszą tu przecież być lochy, piwnice, składy ognioodporne... Może nie.

– Wszystko na nic – powtórzył Tomasz.

– Przybijemy do brzegu i spróbujemy się zorientować, gdzie właściwie jesteśmy – przerwał im Ben. Zapadał już zmierzch, nie można było nic robić do rana. – Zajmę się kolacją. Molly, potrafisz wydedukować coś z tych map?

Pokręciła przecząco głową. Oczy miała utkwione w koszmarną scenerię przed sobą. Kto to zrobił? Dlaczego? Wyglądało to tak, jakby ludzie uwzięli się, by zetrzeć w pył to miejsce, które tak strasznie ich zawiodło.

– Molly! – Głos Bena był tym razem bardziej stanowczy. – Zostało chyba jeszcze kilka punktów orientacyjnych. Otrząsnęła się i odwróciła gwałtownie tyłem do miasta.

Ben spojrzął na Tomasza, a potem na Harveya, który uważnie śledził rzekę.

– Zrobili to specjalnie – orzekł Harvey. – Pod koniec wszyscy musieli zwariować, opętała ich

żądza niszczenia.

– Kiedy już ustalimy, gdzie jesteśmy, poszukamy piwnic – powiedział Lewis. – Wszystko, co tu widzimy, to dzieło rozwścieczonych szaleńców. Zniszczyli na pewno tylko to, co było na powierzchni. Piwnice będą nietknięte.

Molly obracała się powoli wokół własnej osi, uważnie śledząc panoramę krajobrazu.

– Powinniśmy minąć jeszcze dwa mosty – powiedziała, a wówczas znajdziemy się chyba u stóp Wzgórza Kapitolu. To trzy, cztery kilometry.

– W porządku – odparł cicho Ben. – W porządku. Może w centrum miasta nie jest aż tak źle. Pomóż mi, Tomasz, dobrze?

Przez całą noc łódź miotła się, na wszystkie strony, członkowie załogi zaś, zmęczeni, lecz niezdolni zasnąć, przemierzali pokład bez wytchnienia, szukając u siebie nawzajem jakiegokolwiek pociechy.

Wszyscy wstali przed świtem. Zjedli coś w pośpiechu i z pierwszym brząskiem wyruszyli rumowiskiem w stronę centrum Waszyngtonu. Rzeczywiście; okazało się, że miasto jest tam mniej zniszczone niż na obrzeżach. Zaraz jednak uświadomili sobie, że zabudowa jest tu po prostu rzadsza; wolne przestrzenie stwarzały iluzję częściowej jedynie zagłady. Zaobserwowali też wyraźne ślady prób usunięcia części ruin.

– Rozdzielmy się parami – zarządził Lewis, na nowo obejmując rolę przywódcy. – Spotkamy się w tym samym miejscu o dwunastej w południe. Molly i Jed pójdą w tę stronę. Ben i Tomasz – w tamtą. My z Harveyem ruszymy tędy. – Za każdym razem wskazywał kierunek palcem, a reszta akceptowała jego decyzje kiwnięciem głowy. Molly ustaliła nazwy budynków, do których mieli się udać: Biuro Senatu, Poczta Główna, Urząd Komunalny...

– Byliśmy naiwni jak dzieci – rzekł nagle Tomasz do Bena, gdy zbliżali się do ruin budynku Poczty Głównej. Zdawało nam się, że przynajmniej kilka domów poczeka tu na nas z otwartymi drzwiami, a całą naszą robotą będzie wejść do środka, wyciągnąć parę szuflad i zgarnąć co potrzeba. A potem wracać do domu w glorii bohaterów. Idiotyczne, no nie?.

– Już zdążyliśmy poczynić spore odkrycia – odparł uspokajająco Ben.

– Tak, upewniliśmy się, że nie tędy droga – odparował Tomasz. – Do niczego nie dojdziemy.

Obeszli budynek dookoła. Przednie wejście było zablokowane, jedna boczna ściana całkowicie zwalona, wnętrza wypalone i osmalone sadzą.

Czwarty z kolei budynek, do którego próbowali się dostać, także przeszedł pożar, ale był tylko częściowo zniszczony. Znaleźli tam gabinety, biurka, akta.

– Papiery przemysłu drobnego! – obwieścił zniecierpliwiony Tomasz, odwracając się do Bena z wielkim przejęciem. Ben ze zwątpieniem pokręcił głową.

– No i co z tego?

– W którymś z poprzednich pokoi były książki telefoniczne. Gdzie to było? – Ben nadal stał zaintrygowany, więc Tomasz roześmiał się i wyjaśnił: – Książki telefoniczne! Tam znajdziemy spis magazynów, fabryk, składów!

Odnaleźli pokój, w którym kilka książek telefonicznych leżało jedna na drugiej na podłodze i Tomasz począł gorączkowo przeglądać pierwszą z brzegu. Ben podniósł drugą i już miał ją otworzyć, kiedy Tomasz go ostrzegł:

– Uważaj! Ten papier się rozsypuje. Wyjdźmy stąd. – Czy to coś da? – zapytał Ben, wskazując na książkę telefoniczną w rękach Tomasza.

– Tak, musimy tylko odnaleźć centralne biuro telekomunikacji. Może Molly to potrafi.

Poszukiwania cennych materiałów ciągnęły się przez całe popołudnie i dwa następne dni. Molly

uaktualniała mapę Waszyngtonu, nanosząc na nią budynki, w których znajdowało się coś godnego uwagi, zaznaczając budowle grożące niebezpieczeństwem i zalane partie miasta (wiele piwnic wypełniała woda o zgniłym zapachu). Narysowała mnóstwo szkieletów, o które wciąż się potykali. Rysowała je z równą obojętnością jak budynki i ulice.

Czwartego dnia odnaleźli centralne biuro telekomunikacji. Tomasz ulokował się w jednym z pokoi i zaczął wertować książki telefoniczne wschodnich miast, ostrożnie wyjmując kartki, które mogłyby przydać się później. Ben przestał się o niego martwić.

Piątego i szóstego dnia padało. Ciągła; szara ulewa zatapiała miejsca niżej położone, a w niektórych budynkach poziom wody wzrastał ponad piwnice. Gdyby deszcz utrzymywał się dużo dłużej, całe miasto stanęłoby w wodzie, jak to – sądząc z nieomylnych znaków – już nieraz się tu zdarzało. A jednak niebo wypogodziło się w końcu, z północy nadszedł wiatr i członkowie ekspedycji, trzęsąc się z zimna, wznowili poszukiwania.

Pochylona nad rysunkiem, Molly myślała: miliony ludzi, setki milionów ludzi, nikt się nie ostał. Narysowała ruinę pomnika Waszyngtona, zburzoną statwę Lincolna z zachowaną na piedestale częścią inskrypcji: "One nation indi..." Przeniosła na papier szkielet konstrukcji budynku Sądu ; Najwyższego...

Nie założyli obozowiska w mieście, lecz co wieczór wracali do łodzi. Nagromadzili zbyt wiele materiału, żeby wszystko wieźć do domu; codziennie opuszczali miasto obciążeni aktami, książkami, mapami, wykresami, a po wieczornym posiłku każde wertowało swoją porcję papierów, usiłując dokonać selekcji. Prowadzili wyczerpujące notatki o stanie budynków; które przeszukiwali, o ich zawartości, użyteczności znalezionych materiałów. Kolejna ekspedycja – będzie mogła z miejsca zabrać się do pracy.

Znajdowali szkielety, to na gruzach, to częściowo zagrzebane w ruinach, to znów wewnątrz domów. Jakże łatwo mijać je obojętnie – dziwił się Ben. – Obcy gatunek, wymarły, trudno. Idźmy dalej.

Dziewiątego dnia wieczorem dokonali ostatecznej selekcji rzeczy, które miały popłynąć łodzią. W częściowo zniszczonym budynku znaleźli nietknięty pokój, gdzie złożyli pozostałe materiały z myślą o następnej grupie.

Dziesiątego dnia ruszyli w drogę powrotną, wiosłując tym razem pod prąd. Ożywczy północno – zachodni wiatr dał w ogromny, pojedynczy żagiel, którego dotąd nie można było postawić. Lewis zamontował rumpel i wiatr zaczął pchać łódź w górę rzeki.

Szybciej, szybciej! – Molly bezgłośnie ponaglała łódkę. Stała na dziobie i wykrzykiwała ostrzeżenia, często jeszcze przed pojawieniem się przeszkody. Pamiętała, że w tym miejscu była kłoda, tam znów lokomotywa, zaporą z piachu... Po południu wiatr zmienił kierunek na północny i trzeba było zwinąć żagiel albo ryzykować zniesienie na brzeg. Radosne podniecenie zaczęło stopniowo ustępować zawziętej determinacji, a w końcu – bezmyślnej uporczywości. Kiedy stanęli na noc, dla wszystkich było jasne, że przepłynęli niewiele ponad połowę odcinka pokonanego na tym samym etapie podróży w drodze do Waszyngtonu.

Tej nocy Molly śniły się tańczące postacie. Biegło do ich uszcześliwiona, z rozpostartymi ramionami, ledwie muskając stopami ziemię w szalonym pędzie ku zjednoczeniu. Wtem powietrze zgęstniało i rozmigotało się; postacie były teraz zniekształcone, a gdy jedna z nich spojrzała na Molly, okazało się, że ma całkiem zmienione rysy, jedno oko wyżej niż drugie, wykrzywione usta. Molly przystanąła, wpatrzona w groteskowe oblicze. Jakaś siła ciągnęła ją jednak ku niemu przez zniekształcające wszystko, gęste powietrze. Molly próbowała się bronić, cofnąć, ale jej stopy skoczyły do przodu, ciało dążyło w ślad za nimi i Molly czuła, że stawiające opór powietrze

zasklepia się dusząco wokół niej. Karykatura jej własnej twarzy przybrała złośliwy grymas i postać wyciągnęła się w górę jak żmija, zwracając ramiona ku Molly. Molly ocknęła się gwałtownie i przez kilka chwil nie wiedziała, gdzie się znajduje. Ktoś krzychał.

Poznała głos Tomasza. Ben i Lewis szamotali się z nim, aż w końcu wynieśli chłopca z koi na dziób łodzi, tam gdzie złożony był baldachim. Harvey przeszedł na rufę i spokój stopniowo powrócił, ale Molly i tak bardzo długo nie mogła zasnąć.

Po dwóch dniach podróż stała się koszmarem. Porywisty wiatr był bardziej groźny niż pomocny, toteż zwinęli żagiel. Nurt był coraz bystrzejszy, woda mulista. W głębi lądu musiało padać znacznie bardziej niż w Waszyngtonie. Przejmujący chłód ustępował w południe, a wówczas ich grube ubrania stawały się za gorące. W porze obiadu zmieniali stroje na lżejsze, które z kolei okazywały się za lekkie o zachodzie słońca. Ciągłe było im albo za gorąco, albo za zimno.

* * *

Ben i Lewis oddalili się od pozostałych i ze wzniesienia nad rzeką obserwowali wschód słońca.

– Głodni są, stąd w dużej mierze te kłopoty – rzekł Ben. Lewis skinął głową. – No i Molly zaczął się okres, nikogo do siebie nie dopuszcza. Biedny Harvey, wczoraj w nocy o mało go nie zabiła.

– Nie o Harveya się martwię – powiedział Lewis.

– Wiem. Nie mam pojęcia, czy Tomasz da radę, czy nie. Dałem mu środek uspokajający. Codziennie głowię się, co z nim będzie nazajutrz.

– Nie możemy wieźć do domu balastu – rzekł ponuro Lewis. – Nawet najsurowsze racjonowanie nie oszczędzi nam kłopotów z żywnością. Zaaplikujesz mu środki uspokajające, ale jeść będzie musiał, a ktoś inny będzie musiał za niego wiosłować...

– Tomasz wraca razem z nami – przerwał mu Ben, niespodziewanie przejmując dowodzenie. – Będzie nam potrzebny do badań, nawet gdyby miał wracać w kaftanie bezpieczeństwa.

Na moment obaj ucichli.

– Wszystko przez tę rozłąkę, prawda? – Lewis spoglądał na południe, w kierunku domu. – Nikt czegoś takiego nie przewidział. Jesteśmy inni niż ci przed nami! Całą tę przeszłość, książki do historii – wszystko można wywalić na śmietnik. Tego nikt nie przewidział – powtórzył cicho. / – Jeśli wrócimy, trzeba będzie objaśnić jakoś reszcie, co się z nami dzieje z dala od swoich.

– Wrócimy na pewno – rzekł Ben. – I właśnie dlatego potrzebny mi będzie Tomasz. Kto to mógł przewidzieć? Dopiero teraz, widząc, jak dalece się od nich różnimy, będziemy bardziej ostrożni. Ciekawe, jakie odkryjemy kolejne najmniej spodziewane różnice?

Lewis podniósł się. – Wracamy?

– Ja za chwilę.

Patrzył, jak Lewis ześlizguje się ze skarpy i wchodzi na pokład łodzi, a potem ponownie przeniósł wzrok na niebo. Ludzie – pomyślał ze zdumieniem – wyprawiali się tam, w górę, a on nie mógł zrozumieć, po co. Pojedynczo i w małych grupkach zapuszczali się w głąb dzikich lądów, przemierzali rozległe morza, wspinali się na góry nie tknięte wcześniej ludzką stopą. A on nie potrafił zrozumieć, po co to wszystko robili. Co pchało ich, z dola od bliskich, ku samotnej zagładzie albo śmierci wśród obcych? A te zniszczone domy, które wraz z innymi oglądał po drodze – zaprojektowane, jak stara chałupa Sumnerów, w dolinie, na jedną, dwie, trzy osoby; domy, których nieliczni mieszkańcy celowo izolowali się od innych przedstawicieli swojego gatunku. Dlaczego?

W ich rodzinie izolacja była karą. Nieposłuszne dziecko, pozostawione samo w pokoju na dziesięć minut, wychodziło stamtąd skruszone, radykalnie wyleczone z buntu.

Izolacja była karą, jaką wyznaczyli Dawidowi. Lekarze znali wszystkie szczegóły zdarzeń ostatniego miesiąca, jaki Dawid spędził wśród nich. Gdy zaczął im zagrażać – odizolowali go no zawsze, uznając to za dostatecznie surową karę. A tamci ludzie z odległej przeszłości szukali odosobnienia... Ben nie potrafił tego zrozumieć.

Rozdział 13

Od dwóch dni lało. Wiatr osiągał prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i ciągle się wzmacniał.

– Trzeba wyciągnąć łódź na brzeg – zdecydował Lewis. Mimo wyłożenia całego pokładu natłuszczonymi płachtami, woda i tak sączyła się przez szczeliny, a od czasu do czasu fala przeskakiwała przez burty i wlewała się do łodzi. Coraz częściej coś tarło o dno albo z trzaskiem wbijało się w burty.

Molly pompowała wodę, odtwarzając w pamięci obraz rzeki za rufą. Od czasu gdy wiele godzin temu minęli jakieś nabrzeże, nie można było nigdzie bezpiecznie przycumować.

– Jeszcze z godzinę – rzekł Lewis, jakby odpowiadając jej myślom. – W godzinę powinniśmy dopłynąć do tego niskiego brzegu.

– Nie wolno nam się cofać! – zaprotestował Tomasz. – Nie wolno nam tu zostać! – warknął na niego Harvey. – przestań się wygłupiać! Rozniesie nas!

– Ja nie wracam!

– Co ty na to, Ben – zapytał Lewis.

Zbici w gromadkę, siedzieli na dziobie; w środkowej części łodzi Molly z pokorną rezygnacją obsługiwała pompę, próbując oszukać obolałe mięśnie. Łódź zadrżała pod kolejnym ciosem. Ben kiwnął głową.

– Tu nie damy rady. Ale cofanie się w dół rzeki też nie będzie zbyt zabawne.

– Do roboty – zarządził Lewis podnosząc się z miejsca. Wszyscy byli przemoczeni, zziębnięci i wystraszeni. W zasięgu ich wzroku kłębiły się wody Shenandoah przy ujściu do Potomacu, a wiry, które na pierwszym etapie podróży omal ich nie zatopiły, teraz groziły strzaskaniem łodzi. Dopóki trwała powódź, nie mogli zbliżyć się do Shenandoah.

– Tomasz; zmień Molly przy pompie. I pamiętaj: poza tą pompą nic cię nie obchodzi. Machaj uczciwie!

Molly podniosła się, ale nie przerwała pompowania, dopóki Tomasz nie usadowił się na jej miejscu, gotów przejąć pracę bez przerwy. Kiedy ruszyła w stronę ostatniego: wiosła, Lewis zatrzymał ją:

– Idź na oko.

Na powrót umocowali wiosła w dulkach. Deszcz zalewał ich strumieniami. Tomasz pompował coraz szybciej. Woda chlupała im wokół nóg, a łódź, ledwo ją odcumowali, runęła szusem na sam środek rzeki. Woda na pokładzie zakołysała się – w tył, w przód.

– Kłoda! Płynie szybko! Godzina ósma! – krzyknęła Molly.

Obrócili łódź, a ta wyskoczyła do przodu. Mknęli teraz w dół rzeki, łeb w łeb z kłoda, która płynęła po ich lewej stronie.

– Sterczący, pień! Godzina dwunasta! Dwadzieścia metrów! – Molly ledwo zdążyła wymówić wszystko na czas. Łódź szarpnęła w lewo i śmignęła obok pnia. Powódź wszystko odmieniła. Kiedy płynęli w tamtą stronę, ścięty pień drzewa tkwił na łądzie. Nurt rzeki był teraz bystrzejszy, trzeba było użyć wszystkich sił, aby utrzymać łódź pośrodku.

– Drzewo! Godzina pierwsza! Dwadzieścia metrów! Znowu spłynęli na bok, a wówczas kłoda, która nie odstępowała ich przez cały czas, fiknęła kozła i znalazła się niebezpiecznie blisko.

– Kłoda! Godzina dziewiąta! Trzy metry!

Płynęli w strugach oślepiającego deszczu, mijając w pędzie nowo ukształtowaną linię brzegową i idąc łeb w łeb z masywną kłoda, która wirowała i koziołkowała na wysokości burty. Nagle Molly

dostrzegła wyczekiwaną niszę i krzyknęła:

– Ziemia! Godzina druga, dwadzieścia metrów! Ostro wjechali w brzeg. Ciągnęli za sobą coś, czego nie dało się dostrzec przez mulistą wodę i co poderwało dziób łodzi na powrót ku rzece. Łódź zachybotała się gwałtownie, a woda chlusnęła przez burtę. Lewis i Ben wyskoczyli pośpiesznie i pociągnęli łódź do brzegu, brodząc po piersi w brunatnej, niespokojnej wodzie. Kiedy pod dnem zachrząścił żwir i kamienie, inni także wskoczyli do wody i chwyciwszy razem za liny, wyciągnęli łódź z rzeki, osadzili ją na piasku, przycumowali, zadowoleni, że choć na chwilę znaleźli się z dala od niebezpieczeństwa. Molly zdyszana położyła się w błocie, ale poderwał ją głos Lewisa:

– Musimy przeciągnąć ją wyżej. Rzeka szybko przybiera. Tej nocy jeszcze raz musieli zmieniać miejsce postoju łodzi. Lało bez przerwy. Rankiem deszcz ustał i zaświeciło słońce, a następnej nocy chwycił mróz.

Ben znów obciął racje żywnościowe. Burza kosztowała ich pięć dodatkowych dni, a po powrocie na bystrzejszą niż przedtem rzekę, posuwali się tak wolno; jak jeszcze nigdy.

Najgorzej z Tomaszem – myślał Ben. – Zamknął się w sobie, dał się wchłonąć depresji, z której nikt nie potrafił go wyciągnąć. Jed był w niewiele lepszym stanie. Z czasem zaczęły okazywać te same objawy, co Tomasz, co do tego nie mogło być złudzeń. Harvey był rozdrażniony; stał się ponury i wobec wszystkich podejrzliwy. Oskarżał Bena i Lewisa o to, że kradną mu jedzenie, i bacznie obserwował ich przy posiłkach. Molly zmizerniała i wyglądała, jakby coś ją dręczyło; wciąż odwracała wzrok na południe, ku domowi, i zdawało się, że nasłuchuje, nasłuchuje bez wytchnienia. Lewis nie chciał rezygnować z dyrygowania wyprawą, ale gdy przerywał pracę, jego duża twarz przybierała ten sam wyraz nasłuchiwanie, wypatrywania, wyczekiwania. Ben nie potrafił ocenić zmian, jakie zaszły w nim samym. Wiedział, że nie mógł ich uniknąć. Często gwałtownie podnosił wzrok, przekonany, że ktoś wyszeptał jego imię – i nie znajdował w pobliżu nikogo, kto akurat zwracałby na niego uwagę. Miewał też uczucie, że gdzieś blisko czai się niebezpieczeństwo, które zawisło nad nimi, każąc mu spoglądać w niebo, wpatrywać się w drzewa. Nigdy jednak niczego nie dostrzegał...

Nagle spróbował sobie przypomnieć, od kiedy zobojętniał im seks. Musiało się to zacząć jeszcze w Waszyngtonie albo tuż po opuszczeniu miasta. Doszedł do wniosku, że źle to na niego wpływa. Zbyt trudno przychodziło okłamywać się, że pozostali mężczyźni to bracia – nie było mowy o zaspokojeniu, radości. Już lepiej było z Molly, choćby dlatego, że obywało się bez fałszywych pozorów – ale i te próby nie dawały pełnego zadowolenia: dwoje ludzi próbujących zespolić się w jedno, nieświadomych wzajemnie swoich potrzeb i wymagań. A może to głód zabijał w nich pociąg fizyczny? Ben umieścił wszystkie te spostrzeżenia w notatkach.

Obserwującej go Molly zdawało się, że jakaś gruba, przejrzysta ściana oddziela ją od wszystkich żywych istot na ziemi. Nic nie mogło przebić się przez tę ścianę, nic nie potrafiło dotrzeć do Molly – myśl ta obudziła w niej kiedyś przerażenie, które nie dało się już całkiem uśpić, chociaż teraz przerodziło się głównie w zdumienie. Z każdym dniem zbliżali się do domu, a było to w przedziwny sposób wynikiem nie tyle ich własnych zmagania, co jakiejś neodpartej siły przyciągania. Musieli wrócić. Przyciąganie działało ze stałą mocą, wlokło ich z powrotem, tak jak oni wlekli ze sobą na brzeg łódź w obronie przed powodzią. Każde ich działanie było instynktowne. A strach? Molly nie знаła jego źródła, wiedziała jedynie, że fale strachu przelewają się przez nią zniemacka i że jest jej wtedy słabo i zimno. W takich chwilach czuła napinające się mięśnie twarzy i zdawała sobie sprawę, że serce skacze jej do gardła, zastyga, wali jak młot.

A czasem, kiedy długo siedziała przy wiosłach, działo się z nią jeszcze coś innego – i to niosło ulgę. Miewała wówczas dziwaczne przywidzenia, dziwne myśli, nieprzekładalne na słowa.

Rozglądając się w zdumieniu, dostrzegała obcość świata, bezużyteczność słów, którymi mogłaby go wyrazić. Tylko kolor był tu potrzebny; kolor, kreska i światło. Lęk usypiał, całą Molly wypełniał łagodny spokój. Stopniowo ów spokój ustępował zmęczeniu i uczuciu głodu, a wówczas Molly mogła drwić ze swoich wizji – drwić, a zarazem pragnąć gorąco, aby wszystko znów się powtórzyło.

Czasami, gdy stała na dziobie wypatrując przeszkód, czuła się sam na sam z rzeką, obdarzoną głosem i bezkresną mądrością. Głos ten przemawiał zbyt cicho, aby dało się rozróżnić słowa, ale jego kadencje brzmiały nieomylnie: to była mowa. Któregoś dnia Molly rozplakała się, nie mogąc zrozumieć, co mówi do niej rzeka. Ocknęła się na dotyk ręki Bena i spojrzała na niego błędnym wzrokiem.

– Też to słyszałeś? – zapytała głosem równie cichym, jak głos rzeki.

– Co takiego? – Ton Bena był zbyt rzeczowy, zbyt ostry. Molly odsunęła się od niego. – O czym ty mówisz?

– Nic. Nic. Jestem tylko zmęczona.

– Molly, ja niczego nie słyszałem! Ty też niczego nie słyszałaś! Zatrzymamy się, odpoczniemy, rozprostujemy nogi. Napijesz się herbaty.

– Dobrze – zgodziła się i przecisnęła obok niego. Zawahała się raz jeszcze. – Co myśmy słyszeli, Ben? To nie rzeka, prawda?

– Mówiłem ci, że nic nie słyszałem. – Odwrócił się od niej i w niewzruszonej pozie stanął na dziobie łodzi, aby poprowadzić wioślarzy do brzegu.

* * *

Kiedy minęli ostatnie zakole rzeki i wpłynęli między pola, mijali czterdziesty dziewiąty dzień ich rozłąki z braćmi i siostrami. Tomasz i Jed byli półprzytomni po silnych dawkach środków uspokajających. Pozostali wiosłowali z tęnym uporem, wygłodniali, zgaszeni, posłuszni rozkazowi silniejszemu niż żądanie ciała, aby się zatrzymać. Gdy podpłynęły małe łódki, a ręce pochwyciły liny, by doholować ich do przystani, oni nadal wpatrywali się przed siebie, nie wierząc jeszcze, że to już koniec, wciąż pogrążeni w powracającym śnie, gdzie wszystko to zdarzyło się już wiele razy.

Molly została postawiona na nogi i wyprowadzona na brzeg. Popatrzyła na twarze sióstr, widząc w nich tylko obce osoby. To także był powracający sen, koszmar. Zatoczyła się i z wdzięcznością poddała obezwładniającej czerni.

Gdy otworzyła oczy, pokój zalewało łagodne światło; był bardzo wczesny ranek, wypełniony chłodnym i rześkim powietrzem. Wszędzie stały kwiaty. Astry i chryzantemy, fiolety. żółcie, biele. Wielkie jak – talerze dalej były szokująco różowe, szkarłatne. Łóżko bardzo pewnie stało w miejscu, wokół niego nie pluskała woda, nie czuło się chybotania. Ani śladu woni potu i nieświeżych ubrań. Molly czuła się czysta, rozgrzana i sucha.

– Zdawało mi się, że cię słyszę – powiedział jakiś głos. Molly spojrzała na osobę siedzącą w nogach łóżka. To Miri albo Meg, a może... Nie była pewna, która to z sióstr.

– Marta zaraz przyniesie ci śniadanie – oznajmiła dziewczyna.

Miriam zbliżyła się do nich i przycupnęła na krawędzi łóżka Molly.

– Jak się teraz czujesz?

– Całkiem dobrze. Zaraz wstaję.

– Nie ma mowy. Najpierw śniadanie, potem masaż, manicure i wszystko, co pozwoli ci się lepiej poczuć. A jeśli po tym wszystkim nie zaśniesz na nowo i nadal będziesz miała ochotę wstawać – proszę bardzo. – Miriam roześmiała się czule, widząc jak Molly usiłuje się podnieść i znów opada

na poduszki.

– Spałaś przez dwa dni – powiedziała Miri, a może Meg, kimkolwiek była ta druga dziewczyna. – Barry zaglądał tu cztery razy. Powiedział, że powinnaś spać i jeść ile się da.

Molly przypomniała sobie mgliście podnoszenie, picie rosółu, kąpiel – ale obrazy te nie chciały się wyostriżyć.

– Co z innymi? – zapytała.

– W porządku – odparła Miriam kojącym głosem.

– A Tomasz?

– Jest w szpitalu, ale i jemu nic nie będzie.

Przez wiele dni pielęgnowały ją jak dziecko. Pęcherze na rękach zagoiły się, ból w plecach ustał. Molly częściowo odzyskała utraconą wagę.

A jednak zmieniałam się – myślała, obserwując się bacznie w ogromnym lustrze w końcu pokoju. Była szczupła i zwinna jak dawniej, to prawda. Przyjrzała się gładkiej twarzy Miri i pomyślała, że różnica leży jeszcze głębiej. Twarz Miri była pusta. Kiedy znikająca z niej mimika, kiedy Miri przestawała się śmiać albo mówić – nie pozostawało nic. Jej twarz była maską skrywającą nicość.

– Już nigdy nie spuścimy cię z oczu – wyszeptała Marta, zachodząc Molly od tyłu. Pozostałe odpowiedziały na to żarliwym echem.

– Myślałam o tobie całymi dniami, w każdej niemal sekundzie – wyznała Miri.

– A co wieczór, po lekcji, myślałyśmy o tobie wszystkie razem. Siadałyśmy w kółko na macie i oddawałyśmy się myślom o tobie – dodała Melissa.

– Zwłaszcza, kiedy zaczęło się tak okropnie dłużyć szepnęła Miri. – Tak bardzo się bałyśmy. Wołałyśmy cię bez przerwy, cicho, ale wszystkie razem. Wciąż wołałyśmy cię do domu.

– Słyszałam was – odparła Molly. Ton jej głosu był prawie niegrzeczny. Dostrzegła, że Miriam daje pozostałym siostronom znak głową, po czym zapadła cisza. – Wszyscy słyszeliśmy wasze wołania. To wy sprowadziliście nas do domu – dodała, z wysiłkiem łagodząc ton.

Siostry ani razu nie spytały o wyprawę, o Waszyngton o szkicowniki, które same rozpakowywały, a więc musiały przeglądać. Molly kilkakrotnie zaczynała mówić o rzece o ruinach – ale nic z tego nie wychodziło. Nie potrafił przekazać tego, co widziała i czuła: Wiedziała, że wkrótce przyjdzie jej usiąść nad szkicami i, używając ich jako brulionu, narysować w szczegółach wszystkie zanotowane obrazy od początku do końca. Ale mówić o tym nie chciała. Siostry za to opowiadały o dolinie, o tym, co się tu działo podczas siedmiodniowej nieobecności Molly. Nic się nie zmieniło – pomyślała Molly. Absolutnie nic. Wszystko było dokładnie takie, jak zawsze.

Aby przyspieszyć rekonwalescencję Molly, siostry zostały zwolnione z obowiązków. Całymi dniami gawędziły, plotkowały, wykonywały drobne prace, razem spacerowały i czytały, a w miarę jak Molly wracała do sił – baraszkowały wspólnie na macie pośrodku pokoju. Molly nie uczestniczyła w tych igraszkach. Dopiero pod koniec tygodnia, gdy wyciągnęły i rozpostarły matę, a Miriam napełniła szklaneczki bursztynowym winem, siostry, wzniosłszy toast za zdrowie Molly, pociągnęły ją z sobą na matę. Molly poczuła miły zawrót głowy i pytająco spojrziała na Miriam, która odpowiedziała jej uśmiechem.

Jakże piękne są moje siostry – myślała Molly – jakie mają Jedwabiste włosy, jaką gładką skórę; każde z tych ciał było bez zarzutu, doskonałe.

– Tak długo cię nie było – szeptała Miriam.

– Coś ze mnie zostało jeszcze tam, na rzece – poskarżyła się żałośnie bliska płaczu Molly.

– Sprowadź to więc do domu, kochanie. Wyciągnij rękę i zbierz z powrotem wszystkie części siebie.

I Molly z wolna sięgnęła po tę drugą część siebie – tę czujną, wiecznie nasłuchującą, która przyniosła jej ukojenie. To jej dziełem był oddzielający Molly od innych przezroczysty, twardy mur. Mur ten miał ją chronić – a teraz ona sama chce go zburzyć.

Czuła, że pędzi w dół rzeki, unosząc się nad wodą to wirującą, brunatną, mulistą i niebezpieczną, to znów gładką jak lustro, ciemnoturkusową, życzliwą, to nad białą pianą rozpryskujących się o głązy fal... Pędziła rzeką w pogoni za swoim drugim ja, chcąc je ujarzmić i na nowo zespolić się z siostrami. Nad jej głową pomrukiwały drzewa, a woda odpowiadała im szeptem z dołu; Molly była po środku, nie dotykała ani wody, ani drzew. Wiedziała, że gdy odnajdzie swoje drugie ja, będzie musiała je zabić, unicestwić – w przeciwnym bowiem razie szepty nigdy nie ustaną. Pomyślała o wielkim spokoju, którego już zaznała, o swoich wizjach.

– Jeszcze nie! – zawołała cicho i przystanąła w szalonym pędzie wzdłuż nurtu rzeki. Znow była w pokoju, otoczona siostrami. Jeszcze nie – powtórzyła w myślach. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do bacznie wpatrzonej w nią Miriam.

– Już wszystko dobrze!? – zapytała Miriam.

– Jak najlepiej – odparła Molly i przez chwilę zdawało jej się, że słyszy ciche echo tamtego głosu, nim ucichł bez śladu. Wyciągnęła ramiona i objawszy ciało Miriam, pociągnęła ją na matę. Pieściła plecy siostry, jej biodra. uda. – Jak najlepiej – powtórzyła szeptem.

Później, gdy siostry już spały, Molly drząc stała przy oknie i wpatrywała się w dolinę. Jesień przyszła bardzo wcześnie. Przychodziła coraz wcześniej z każdym rokiem. Ale w dużym pokoju było ciepło; chłód, który czuła Molly, nie brał się z pory roku ani z nocnego powietrza. Na wspomnienie zabawy na macie, łzy zakręciły się jej w oczach. Siostry się nie zmieniły. Dolina pozostała taka jak dawniej. A jednak było inaczej. Molly wiedziała, że coś w niej umarło i że narodziło się coś nowego, coś, co ją przerażało i odgradzało od innych bardziej niż wielkie odległości i rzeka.

Patrząc na niewyraźnie zarysowane sylwetki śpiących sióstr, zadała sobie pytanie, czy Miriam coś podejrzewa. Ciało Molly reagowało na pieszczoty, śmiała się i płakała wraz innymi, a jeśli nawet jakaś żywa i czujna część jej osoby nie brała w tym udziału, to i nie przeszkadzała.

Mogła to zrobić. Mogła zniszczyć tamto ja z pomocą Miriam i pozostałych sióstr. Pomyślała, że było to jej obowiązkiem – i znow przeszył ją dreszcz. Myślała chaotycznie: narodziło się w niej coś nowego, co przerażało a zarazem niesło nie znane dotąd ukojenie. To początki obłędu – pomyślała przerażona. Teraz straci kontrolę nad sobą, zacznie krzyczeć bez powodu, będzie próbowała zadać gwałt innym albo sobie samej. A może to oznaki bliskiej śmierci? To, co czuła, nie było jednak zwykłą nieobecnością bólu i lęku – był to spokój, jaki przychodzi po wielkim dokonaniu, po spełnieniu.

Wiedziała, że musi pozwolić wizjom znow się pojawić, że musi odnaleźć samotność, aby mogły ją całkiem wypełnić. Z rozpaczą pomyślała o siostrach, które nigdy nie przystaną na pozostawienie jej samej. Tylko razem stanowiły całość; nieobecność jednej sprawiała, że wszystkie stawały się niepełne. Wciąż będą ją wołać i wołać.

Rozdział 14

Było już po żniwach. Jabłka czerwonym ciężarem zwisały z gałęzi, klony płonęły jak pochodnie na tle bezkresnego, błękitnego nieba. Jawory i brzozy Lśniły złotem, a głęboka czerwień sumaka przechodziła w czerń. Rankiem każde źdźbło trawy miało otoczkę ze szronu, który błyszczał i skrzył się, póki nie stopiło go słońce. Barwy jesieni nigdy jeszcze nie miały takiej żarliwości – pomyślała Molly. – Co za niezwykle światło pod kopułą klonu! A ta blada poświata, otaczająca jawory!

– Molly? – Głos Miriam oderwał ją od okna i Molly odwróciła się z ociąganiem. – Co robisz, Molly?

– Nic. Zastanawiam się właśnie, za co się dzisiaj wziąć. Miriam zamilkła na chwilę.

– Długo to jeszcze potrwa? Brakuje nam ciebie.

– Chyba niedługo – rzekła Molly, kierując się ku drzwiom. Miriam poruszyła się nieznacznie, ale ruch ten wystarczył, aby osadzić Molly w miejscu.

– Jeszcze najwyżej dwa, trzy tygodnie – odpowiedziała pośpiesznie Molly, nie chcąc, by Miriam dotknęła jej ramienia.

Miriam skinęła głową. Chwila, w której mogła dotknąć Molly, przytulić ją – ulotniła się bez śladu. Zdarzało się to ostatnio za każdym razem, gdy Miriam próbowała zbliżyć się do siostry.

Molly wyszła, a pozostawiona w pustym pokoju Miriam udała się po chwili do szpitala.

– Bardzo jesteś zajęty? – zapytała stając w drzwiach gabinetu Bena. – Chciałabym z tobą pomówić.

– Miriam? – Pytanie było odruchowe, podobnie jak jej nieznaczne skinienie głową w odpowiedzi. Jedyne Miriam mogła przyjść tu sama; każda z młodszych siostr pojawiłaby się w jej towarzystwie. – Wejdz. Chodzi o Molly, prawda?

– Tak.

Miriam zamknęła drzwi i usiadła na wprost biurka Bena. Biurko zavalone było papierami, notatkami, dziennikami obserwacji medycznych, które Ben sporządzał podczas Wyprawy. Przeniósłszy wzrok z papierów na ich właściciela, Miriam i w nim dostrzegła zmianę. Podobną jak w Molly. Jak we wszystkich uczestnikach ekspedycji.

– Kazałeś mi się zgłosić, jeśli nie będzie poprawy – powiedziała Miriam. – Z nią jest coraz gorzej. Unieszczęśliwia pozostałe siostry. Czy nic nie możesz dla niej zrobić?

Ben westchnął, odchylił głowę na oparcie fotela i spojrzał w sufit.

– To musi potrwać. Miriam pokręciła głową.

– Już to mówiłeś. Jak się czują Tomasz i Jed? A ty sam? – Wszyscy dochodzimy do siebie – odparł Ben z uśmiechem. – I ona wróci do normy, Miriam. Wierz mi, ona także.

Miriam pochyliła się ku niemu.

– Nie wierzę ci. Myślę, że ona wcale nie chce do nas wrócić. Opiera się nam. Jeżeli ma pozostać taka jak teraz, lepiej by było, żeby w ogóle nie wracała. Dla reszty siostr jest to nie do zniesienia. – Miriam pobladła, głos jej drżał. Odwróciła głowę.

– Porozmawiam z nią – obiecał Ben.

Miriam wydobyła z kieszeni kawałek papieru. Rozłożyła go na biurku Bena.

– Przyjrzyj się temu. Co to może znaczyć?

Były to karykatury braci narysowane przez Molly w początkach wyprawy. Ben przyjrzał im się uważnie, zwłaszcza tej, która przedstawiała jego. Czyżby naprawdę wyglądał tak ponuro? Tak nieprzystępnie? Brwi ma z pewnością mniej krzaczaste i groźne?

Ona z nas drwi! Zadrwiła z was. Nie ma prawa wyśmiewać się w ten sposób z naszych braci –

oburzyła się Miriam. – Całymi dniami obserwujesziostry przy pracy i w zabawie. Nie włącza się, póki nie damy jej wina, a i wtedy pozostaje obca. Ciągłe nas obserwuje. Nas wszystkich.

Ben wygładził kartkę i zapytał:

– Co proponujesz, Miriam? Co mamy zrobić?

– Nie wiem. Każ jej przerwać prace nad rysunkami z wyprawy. To wywołuje myśli o tamtym, o tym, co się stało. Każ jej przyłączyć się do sióstr w ich codziennych obowiązkach – tak jak to dawniej robiła. Zabroń jej zamykać się na długie godziny w tym pokoiku.

– Musi być sama, kiedy rysuje – zaprotestował Ben. – Ja też piszę swoje sprawozdanie w samotności, a Lewis potrzebuje odosobnienia, żeby analizować możliwości techniczne łodzi i konieczne zmiany w jej konstrukcji.

– Ale ty, Lewis i reszta robicie to, bo musicie, a ona dlatego, że tak chce. Ona chce być sama! Szuka po temu pretekstów, rysuje różne rzeczy, nie tylko szkice z wyprawy. Każ jej, żeby cię wpuściła do swojego pokoju i pokazała, co tam robi!

Ben powoli pokiwał głową.

– Odwiedzę ją dzisiaj – powiedział.

Po wyjściu Miriam Ben raz jeszcze przyjrzał się szkicom z niewyraźnym uśmiechem. Nie ma co, Molly celnie ich podpatrzyła. Była bezlitosna, chłodna i precyzyjna. Poskładał kartkę i ukrył ją w swojej sakiewce. Pomyślał o Molly i pozostałych.

To, co powiedział o Tomasz, było kłamstwem. Tomasz nie wyzdrowiał, może już nigdy nie będzie normalny. Niemal całkowicie uzależnił się od swoich braci. Ani na chwilę nie pozwalał się z nimi rozdzielić, a nocą sypiał to z jednym, to z drugim. Z Jedem było nieco lepiej, ale i on wymagał ciągłego potwierdzania własnej osobowości.

Na Lewisie podróż nie wycisnęła żadnego piętna. Bez specjalnego wysiłku wyszedł z dawnego życia i włączył się w nie z powrotem. Harvey był nadmiernie pobudliwy, ale już nie tak jak przed tygodniem, a znacznie mniej niż tuż po ponownym spotkaniu z braćmi. W końcu całkiem wydobrzeję.

A on, Ben? Jak tam z Benem? – zapytał drwiąco samego siebie. Uznał, że jest wyleczony.

Poszedł pomówić z Molly. Miała swój pokój w skrzydle administracji szpitala. Zapukał lekko do drzwi, po czym otworzył je, zanim Molly zdołała odpowiedzieć. Drzwi zamykało się rzadko, za dnia prawie nigdy, ale zamknięcie drzwi przez Molly wydawało się czymś naturalnym – także zamykał się w pokoju na czas pracy. Stał i przyglądał się jej przez chwilę. Czy wsunęła coś pod kartkę rozłożoną na desce kreślarskiej? Nie był tego pewien. Molly usiadła plecami do okna, deska zakołysała się przed nią.

– Serwus, Ben.

– Możesz mi poświęcić parę minut?

– Tak. To Miriam cię przysłała, prawda? Spodziewałam się tego.

– Siostry bardzo się o ciebie martwią.

Spuściła wzrok i dotknęła leżącej na stole kartki.

Jest inna – pomyślał Ben. Nikt już nie pomyliłby jej z Miriam czy którąkolwiek z sióstr. Obszedł stół i przyjrzał się rysunkowi. Szkicownik Molly otwarty był na stronie wypełnionej małymi, pośpiesznie naszkicowanymi sylwetkami budynków, zniszczonych ulic, stosów gruzu. Rysowała właśnie całostronicowy obraz jednej z dzielnic Waszyngtonu. Benowi zdawało się przez chwilę, że jest tam z powrotem, jako świadek zniszczenia, tragedii umarłej epoki. Molly zdołała odtworzyć na papierze obrazy tkwiące w jego wyobraźni. Odwrócił się i wyjrzał przez okno na barwne plamy wzgórz w pełnym słońcu.

Patrząc na niego, Molly uświadomiła sobie, że ani Tomasz, ani Jed nie chcieli z nią rozmawiać.

Tomasz unikał jej jak trędowatej, a Jed miał w głowie inne, poważniejsze problemy. Harvey mówił strasznie dużo, ale nigdy niczego nie powiedział. A Lewis był zbyt zajęty.

Ale – pomyślała – może przecież rozmawiać z Benem. Razem. mogliby ponownie przeżyć wyprawę, spróbować zrozumieć, co się stało – bo cokolwiek przydarzyło się Molly, przydarzyło się także i jemu. Dostrzegła to w wyrazie jego twarzy, w gwałtownym odwróceniu wzroku od jej rysunku. Coś w nim drzemało, gotowe się obudzić, gotowe szeptać mu do ucha, jeśli tylko on sam na to zezwoli – tak jak drzemało w Molly, zmieniając jej widzenie świata. To coś przemawiało do niej nie słowami, lecz barwą, symbolami, których nie potrafiła odczytać, w snach, w ulotnych zwidzeniach. Patrzyła na oświetlonego słońcem Bena. Światło złociło każdy włoszek na jego ramieniu, tworząc las złocistych drzew na brązowej równinie. Ben poruszył się; zmierzch nad doliną okrył drzewa czernią.

– Siostrzyczko – zaczął, ale ona uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– Nie nazywaj mnie tak – poprosiła. – Mów... jak chcesz, ale nie tak. – Zaniepokoiła go, ale grymas, który pojawił się i natychmiast zniknął, pozostawił twarz Bena nieodgadnioną. – Mów do mnie Molly. Molly – i już.

Ben zdążył już jednak stracić wątek. Pomyślał, że różnica leży w wyrazie twarzy. Fizycznie Molly była identyczna z Miriam i resztą sióstr, zmieniła się tylko wymowa jej rysów. Wyglądała bardziej dojrzałe – bardziej bezwzględnie Benowi brakowało odpowiedniego określenia: stanowczość głębia

– Wezmę cię na jakiś czas pod obserwację – oznajmił znieczeka Ben. Wcale nie to zaczął przedtem mówić, nawet o czymś podobnym nie pomyślał, póki nie wypowiedział tych słów na głos.

Molly wolno pokiwała głową.

Ben jeszcze się wahał. Zastanawiała się, co jeszcze może mieć jej do powiedzenia.

– Wyznacz mi wizyty – powiedziała w końcu łagodnie. – Poniedziałki, środy, soboty, zaraz po obiedzie – odparł szorstko. Zapisał w notesie.

– Od dzisiaj? Czy też każesz mi czekać do poniedziałku

Kpi sobie – pomyślał ze złością i z trzaskiem zamknął notes. Okręcił się na pięcie i skierował ku drzwiom.

– Od dzisiaj – rzucił oschle.

Głos Molly zatrzymał go na progu.

– Ben, czy myślisz, że odchodzę od zmysłów Tak twierdzi Miriam.

Stał z ręką na klamce, nie patrząc na Molly. Jej pytanie zaszokowało go. Wiedział, że powinien ją pocieszyć, powiedzieć coś kojącego – o tym, jak Miriam bardzo się martwi; o czymkolwiek.

– Zaraz po obiedzie – powtórzył szorstko i wyszedł z pokoju.

Spod obrazu Waszyngtonu Molly wydobyła kartkę, którą tam uprzednio wsunęła, i wpatrzyła się w nią zwężonymi oczami. Rysunek przedstawiał dolinę, zmienioną o tyle, że mieścił się w niej i stary młyn, i szpital, i dom Sumnerów, ustawione jeden obok drugiego w sposób sugerujący ścisłą współzależność. Nie o to jednak chodziło – Molly nie wiedziała, gdzie tkwił błąd. Tam, gdzie mieli być narysowani ludzie, widniały delikatne znaczki ołówkiem: grupa przy młynie, tłumek przed wejściem do szpitala, kilkoro w polu na tyłach starego domu. Molly wytarła znaczki gumką i leciutko naszkicowała pojedynczą sylwetkę – postać mężczyzny stojącego na polu. Narysowała i drugą postać – tym razem kobietą – jak pokonuje przestrzeń między domem a szpitalem. Tak właśnie wyglądają proporcje – pomyślała. Budynki, a zwłaszcza młyn, były gigantyczne, figurki zaś maleńkie, skarłałe z winy przedmiotów, które były dziełem ich rąk. Molly przypomniała sobie widziane w Waszyngtonie szkielety: postać ludzka sprowadzona do kości była jeszcze mniejsza. Ludzie na jej rysunku będą

zatem wychudli, szkieletowaci...

Ni stąd, ni zowąd podarła kartkę, zmięła ją i cisnęła do kosza na śmiecie. Ukryła twarz w dłoniach.

Odprawiając na jej cześć Pożegnanie Utraconego myślała chaotycznie. Siostry znajdą pocieszenie u innych, a uczta, podczas której demonstrować się będzie solidarność w obliczu bolesnej straty, przeciągnie się aż do świtu. W blasku wschodzącego słońca pozostałe siostry podadzą sobie ręce tworząc zamknięty krąg – i od tej chwili ona przestanie dla nich istnieć. Nie będzie ich już torturowała swoją nową innością, osobnością. Nikt nie ma prawa unieszczęśliwiać rodzeństwa – myślała Molly. Nie ma prawa do życia ktoś, kto swoim istnieniem zagraża dobru rodziny. Takie jest prawo.

Jedząc z siostrami obiad w stołówce, Molly próbowała dzielić wesołość, która towarzyszyła rozmowie o zaplanowanym na wieczór przyjęciu sióstr Julie z okazji osiągnięcia przez nie dojrzałości.

– Pamiętajcie – ostrzegała Meg z przebiegłym uśmiechem – żeby było nie wiem ile propozycji, odrzucamy wszystkie bransolety. A która pierwsza zobaczy braci Clark, ma prędko któremukolwiek nałożyć bransoletę, zanim on zdoła ją powstrzymać. – Roześmiała się gardłowo. Już dwukrotnie próbowały zdobyć braci Clark i za każdym razem ubiegały je inne siostry. Tego wieczora miały się rozdzielić i zająć posterunki wzdłuż ścieżki do amfiteatru, aby tam czekać na młodych rumianych braci Clark, którzy przekroczyli próg dojrzałości zaledwie tej jesieni.

– Wszyscy będą krzyczeć, że tak nie wolno – zaprotestowała Miriam, lecz bez przekonania.

– Wiem o tym – odparła ze śmiechem Meg.

Melissa rozchichotała się do wtóru, a Marta z uśmiechem spojrzała na Molly.

– Ja będę przy pierwszym żywopłocie – powiedziała. – Ty masz czekać koło ścieżki do młyna. – Oczy jej się skrzyły. – Bransolety już gotowe. Są czerwone, każda ma sześć dzwoneczków. Ale się rozdzwoni, kto taką dostanie! – Sześć dzwoneczków oznaczało, że wszystkie siostry zapraszają wszystkich braci.

Rozglądając się po kafeterii, Molly zauważyła, że wszędzie siedzą podobne ściśnięte grupki. Konspirują, ze śmiechem planują podboje, zastawiają sidła... Jak przez kalkę – pomyślała. – Jak manekiny.

Na swoje jasne, rozpuszczone włosy siostry Julie nałożyły wianki z ciemnoczerwonych kwiatów. Zdecydowały się na długie tuniki, mocno wydekoltowane z tyłu, z przodu zaś udrapowane tak, aby jak najbardziej uwydatnić piersi. Siostry Julie były nieśmiałe, pogodne, małowówne; żywiły się głównie powietrzem. Miały po czternaście lat.

Molly gwałtownie odwróciła wzrok; zapiekły ją oczy. Przed sześciu laty stała w tym miejscu dokładnie tak, jak one teraz: oblana rumieńcem, zalękniona i dumna, z bransoletą braci Henry na przegubie dłoni. Tak, bracia Henry – pomyślała zniechęta. Zdążyła już zapomnieć, że to Henry był jej pierwszym mężczyzną. Spojrzała na bransoletę, która zdobiła jej lewą rękę, i znów odwróciła oczy. Jedna z sióstr dopadła Clarka przed innymi, a zatem odbędzie się wspólna zabawa na macie. Bardzo gładkie jeszcze twarze braci Clark były równie nieskazitelne jak twarze sióstr Julie.

Każdy szukał teraz właściciela bliźniaczej bransolety. Ze śmiechem przepychano się koło długich stołów.

– Dlaczego nie przyszłaś dzisiaj na wizytę? Molly obróciła się na pięcie i tuż przy sobie zobaczyła Bena.

– Zapomniałam – odparła:

– Wcale nie zapomniałaś.

Spuściła wzrok i spostrzegła, że Ben nie pozbył się jeszcze swojej bransolety. Była to bardzo skromna plecionka z trawy, bez żadnych ozdób, bez symbolu braci. Powoli, nie podnosząc oczu, Molly zaczęła odrywać od swojej bransolety srebrne dzwoneczki, a kiedy został już tylko jeden zsunęła bransoletę z dłoni i wyciągnęła ją w kierunku ręki Bena. Ben opierał się przez chwilę, potem jednak wyciągnął dłoń i bransoleta prześliznęła się przez kostki jego palców, przez wydatny nadgarstek. Dopiero wtedy Molly spojrzała mu w oczy. Twarz Bena była maską – zacięta, obcą, nieprzyjemną. Pomyślała, że gdyby tylko udało jej się zderzyć tę maskę, znalazłaby pod spodem coś całkiem innego.

Nagle Ben skinął głową, odwrócił się i odszedł. Molly śledziła wzrokiem jego oddalającą się postać. Wyobraziła sobie, jak bardzo Miriam i pozostała siostry będą na nią złe. Jeden z braci Clark okazał się nagle nadprogramowy. Nie miało to większego znaczenia, ale Miriam liczyła na udział wszystkich sióstr w zabawie; teraz było nie do pary.

Siostry Julie tańczyły z braćmi Lawrence i Molly doznała nagłego ułucia smutku. Lewis był płodny – może inni jego bracia też. Jeśli jedna z sióstr Julie zajdzie w ciążę i zostanie odesłana do sekcji reproduktorek, ich następnym bankietem będzie Pożegnanie Utraconego. Patrzyła na tańczących i nie potrafiła odróżnić Lewisa od Lawrencea, Lawrencea od Lestera...

Zatańczyła z Barrym, potem z Meg i Justinem, z Miriam i Clarkiem, znowu z Meg, z Melissą, z dwoma braćmi Jeremy, ale nie z Jedem. Jed stał pod ścianą i w napięciu obserwował braci. Swoją bransoletę wciąż nosił na rękę, chociaż każdy z jego braci mógł się już poszczycić szerokim asortymentem bransolet. Biedny Jed – pomyślała Molly, żałując niemal, że to nie jemu oddała swoją bransoletę.

W towarzystwie Marty i Curtisa zjadła kanapkę ze sznyclem i wypła jeszcze trochę bursztynowego wina, które tak cudownie mąciło jej w głowie. Potem zatańczyła z którąś z sióstr Julie, bardzo przejętą bliskim nadejściem nocy. Lada chwila bracia Lawrence mieli zagarnąć ją i siostry na całą resztę wieczoru.

Melodia zmieniła się. Jeden z braci Lawrence poprosił do tańca partnerkę Molly, a ta spojrzała na niego z wstydliwym uśmiechem, który pojawił się, zniknął i znów powrócił. Oddalili się tańcząc.

Ktoś trącił Molly w ramię. Odwróciwszy się, stanęła twarzą w twarz z Benem. Ben był poważny. Podał jej ramię i zaczęli tańczyć: żadne nie przemówiło, żadne się nie uśmiechnęło. Ben przemanewrował Molly tańcem do stołu, gdzie podał jej kieliszek wina. Wypili w milczeniu i razem opuścili aulę. Gdy wychodzili, Molly na ułamek sekundy dostrzegła twarz Miriam. Wyprostowała się wyzywająco, wyżej uniosła głowę i razem z Benem wkroczyła w chłodną noc.

Rozdział 15

– Chciałabym posiedzieć trochę nad rzeką: – wyznała Molly. – Zimno ci? – zapytał Ben, a gdy odparła, że tak, przyniósł im obojgu peleryny.

Molly patrzyła w jasną smugę wody, ciągle inną, a przecież niezmienną – i czuła bliskość Bena, bez dotknięć, bez słów. Przez pęczniejącą tarczę księżyca przebiegały pierzaste chmury. Wkrótce nadejdzie pełnia, przyjdzie żniwny księżyc i skończy się babie lato. Postać mężczyzny rysowała się ostro, jednoznacznie. Niekształtne naczynie – pomyślała Molly – jak produkt niedoświadczonych rąk, które z czasem dopiero nabiorą wprawy.

Księżyc w rzece drgnął, rozszczepił się na długie, połyskliwe pasma, które splatały się, rozplatały i łączyły, tworząc szeroką wstęgę świetlistej wody o metalicznym połysku – po czym znów się rozdzielały. Głos rzeki bijącej o brzeg był łagodny, tajemniczy.

– Zimno ci? – spytał ponownie Ben. W świetle księżyca twarz miał bladą, brwi zaś ciemniejsze niż za dnia, proste, ciężkie. Może czuł do niej żal – trudno to było odgadnąć. Molly pokręciła głową i znów odwróciła się ku rzece.

Pomyślała, że rzeka żyje i kiedy już – już wydaje się człowiekowi, że ją zna – ona zmienia się nagle, ukazując inne oblicze, inny nastrój. Tej nocy pełna była mamiących zaklęć, pełna obietnic – i chociaż Molly wiedziała, że są to obietnice fałszywe, i tak słyszała kuszący szept rzeki, czuła jej magiczną siłę.

Ben także myślał o rzece – o rzece rozdętej powodzią, lśniącym strumieniem rwącej nad zwirowym dnem, nad skałami, rozbryzgującej się w pianę o głązy. Znowu zobaczył niewielkie ognisko na brzegu i sylwetkę dziewczyny na tle migotliwej wody, podczas gdy bracia holowali łódź na wzgórze.

– Przepraszam, że dzisiaj nie przyszedłam – zabrzmiał nagle cichy głos Molly. – Byłam już prawie pod twoimi drzwiami, ale musiałam się cofnąć. Nie wiem czemu.

Z auli dobiegł ich zbiorowy wybuch śmiechu i Ben z żalem pomyślał, że trzeba było zatrzymać się trochę dalej. Chmura przesłoniła tarczę księżyca i rzeka stanęła w czerni. Pozostał tylko jej głos i ów szczególny zapach świeżej wody.

– Zimno ci? – zapytał znowu Ben, tak jakby blask księżyca miał w sobie ciepło, którego teraz zabrakło.

Zbliżyła się do niego.

– Kiedy płynęliśmy do domu – rzekła cichym, rozmarzonym głosem – ciągle słyszałam, jak rzeka mówi do mnie, jak mówią drzewo i chmury. Myślę, że było to tylko zmęczenie i głód, ale ja naprawdę słyszałam te głosy, nie mogłam tylko prawie nigdy rozróżnić słów. A ty, Ben, też słyszałeś?

Pokręcił głową i chociaż teraz, gdy księżyc zniknął za chmurą, nie mogła dostrzec wyrazu jego twarzy, Molly zrozumiała, że Ben zaprzecza istnieniu głosów. Westchnęła.

– Co by było, gdyby ktoś chciał samodzielnie pracować nad jakimś pomysłem? – zapytała po chwili.

Ben drgnął.

– To się zdarza – odparł wykrętnie. – Odbywa się wówczas dyskusja, a jeśli motywy są rozsądne i nie brakuje akurat wyposażenia, żywności, i tak dalej – autor pomysłu może się brać do roboty.

Chmura uwolniła księżyc. Po krótkotrwałych ciemnościach jego blask wydawał się jaśniejszy.

– Jeśli inni uznają pomysł za bezwartościowy? – dopytywała się dalej Molly.

– Wówczas jest to pomysł bezwartościowy, któremu nikt nie zechce poświęcać czasu.
– A gdyby to było coś, czego nie da się dokładnie wytłumaczyć, czego nie sposób ująć w słowa?

– O co ci chodzi, Molly? Powiedz wprost – rzekł Ben patrząc jej w oczy. Twarz Molly była blada jak księżyc, z głębokimi cieniami w miejscach oczu i czarną plamą ust bez uśmiechu. Molly spojrzała na Bena i księżyc znalazł odbicie w jej oczach. Twarz stała się świetlista, jakby blask emanował od środka. Ben uświadomił sobie, że Molly jest piękna. Nie dostrzegał tego wcześniej, a teraz zaszokowała go ta myśl, samorodna i natarczywa.

Molly podniosła się gwałtownie.

– Pokażę ci – oświadczyła. – To jest w moim pokoju. Ramię w ramię, nie dotykając się jednak, poszli z powrotem w kierunku szpitala. Oczywiście – myślał Ben – wszystkie siostry Miriam są piękne, inne siostry zresztą też. Bracia też są przystojni, prawie wszyscy. To był pewnik. Pewnik, który nie znaczył nic.

Molly zasłoniła okno swojego małego pokoiku i rzuciła pelerynę na krzesło przy stole. Potem wyjęła rysunki i zaczęła je przerzucać. W końcu podała jeden Benowi.

Rysunek przedstawiał kobietę, która była Benowi obca – a jednak coś w niej wydawało się znajome. Uświadomił sobie, że to Sara – zmieniona, ale jednak Sara. Obok niej w nieskończoność biegły lustra, w każdym zaś lustrze widniała kobieta, też Sara, ale za każdym razem nieco inna. Jedna spazmatycznie zaciskała usta, inna uśmiechała się serdecznie, jeszcze inna była beztrosko roześmiana, następna miała siwiejące włosy, zmarszczki... Ben w oszołomieniu spojrzał na Molly.

Podawała mu inny rysunek. Było na nim drzewo, nic poza tym. Drzewo wyrastające z litej skały. Paradoks, wobec którego Ben poczuł się nieswojo.

Kolejny rysunek. Wcisnęła mu go brutalnie w dłoń. Maleńka łódeczka na ogromnym morzu, które wypełniało kartkę od brzegu do brzegu. W łódce znajdowała się samotna postać, tak mała, że prawie niedostrzegalna, nie do zidentyfikowania.

Zaniepokoiły go te rysunki. Spojrzał przez stół na siedzącą po przeciwnej stronie Molly. Wpatrywała się w niego z natężeniem. Była rozpalona, miała wypieki, oczy nienaturalnie jej błyszczały.

– Potrzebuję pomocy, Ben. – Jej głos był cichy i nagły. – Potrzebuję twojej pomocy.

– Co takiego?

– Muszę to wszystko namalować farbami. Nie wiem dlaczego, ale muszę. Inne rzeczy też. Ołówkiem nie wychodzi, tuszem też nie. Muszę mieć kolor i światło! Błagam cię!

Rozpłakała się. Ben patrzył na nią zdumiony. A więc to był ten cały sekret? Że Molly chce malować? Powstrzymał uśmiech, który chciał do niej skierować jak do dziecka, proszącego o coś, co już do niego należy.

Odczytała jego myśli i usiadła, opierając głowę na leżącej z tyłu pelerynie. Przymknęła oczy.

– Miriam to rozumie, inne siostry też – powiedziała znużonym głosem. Rumieńce zniknęły, Molly wydawała się teraz bardzo młoda i zmęczona. – Nie chcą na to pozwolić.

– Dlaczego nie? Co komu szkodzi malowanie?

– Ja... one nie lubią tego uczucia, które w nich budzą moje rysunki. Uważają, że to im zagraża. Miriam tak sądzi. Inni też z czasem zaczną.

Ben spojrzał na łupinkę łodzi w bezmiarze oceanu.

– Nie musisz przecież malować koniecznie tego. Możesz tworzyć inne obrazy, prawda?

Pokręciła przecząco głową. Oczy nadal miała zamknięte. – Gdybyś miał pacjenta z chorym sercem, czy leczyłbyś go na uszy, bo to łatwiejsze?

Teraz ona z kolei spojrzała mu w oczy. W jej twarzy nie było ani cienia drwiny.

– Rozmawiałaś już z Miriam?

– Miriam znalazła portrety braci, które rysowałam podczas wyprawy. Zatrzymała je. Nie muszę rozmawiać ani z nią, ani z resztą sióstr. Wiem, co powiedzą. Sprawiam im już tylko ból. – Pomyślała o siostrach igrających na macie z braćmi Clark: popijają bursztynowe wino, pieszczą gładkie ciała chłopców – mężczyzn. To nie grupowy seks – przyszło jej nagle do głowy. – To mężczyzna i kobieta rozszczepieni na wiele fragmentów, jak księżyc na gładkiej tafli rzeki. Siostry tworzyły organizm żeński, bracia Clark męski.. Gdy się połączą, organizm żeński nie osiągnie tej nocy pełni szczęścia, brakuje mu bowiem jednego elementu. Jedna cząstka dawno już ubyła z jego ciała. I ta właśnie cząstka, jak amputowana kończyna, budzi urojony ból.

– Molly – powiedział łagodnie Ben. Dotknął jej ramienia, a ona ocknęła się jak ze snu. – Chodźmy do mojego pokoju. Jest już bardzo późno, wkrótce zaczniesz świtać.

– Nie musisz – odparła Molly. – Myślałam, że nie zdołam ci powiedzieć, dlatego właśnie zawróciłam dzisiaj spod twoich drzwi. A potem, wieczorem, pomyślałam, że muszę powiedzieć ci wszystko, bo potrzebuję pomocy. Ale nie musisz.

– Chodź ze mną, Molly – powiedział Ben niemal z niechęcią. – Chodź do mnie. Chcę tego.

Rozdział 16

Śnieg padał leniwie, bezszelestnie, wiatru nie było, a niebo opuściło się na wyciągnięcie ręki. Śnieg gromadził się na wszystkich płaszczyznach, na gałęziach drzew, na igiełkach sosen i świerków. Przesiewany przez szczelinę między rynną a dachem szpitala, utworzył niewielki nawis, w każdej chwili grożący zawaleniem się pod własnym ciężarem. Czysty, nieskazitelny śnieg kładł się warstwami na ziemi, a w miejscach osłoniętych, gdzie świecące chwilami słońce nie mogło go stopić i gdzie nie docierał wiatr, głębokość śniegu dochodziła do dwóch, a nawet trzech metrów. Na tle bieli połyskiwała rzeka, stonowana do odcieni szarości i błękitu. Chmury były tak gęste, że snująca się nad ziemią poświata zdawała się emanować wprost ze śniegu. Oglądane z daleka, śnieg, niebo i powietrze zlewały się razem w niewyraźnym, zacierającym wszelkie granice, świetle.

Nie ma granic – pomyślała Molly. – Wszystko stanowi jedność. Stała przy oknie. Za plecami miała sztalugi z rozpoczętym obrazem, ale nie potrafiła teraz myśleć o malowaniu. Śnieg, niesamowite światło dobywające się z ziemi i jednorodność scenerii pochłonęły ją całkowicie.

– Molly!

Odwróciła się gwałtownie. W progu stała Miriam, jeszcze w palcie, śnieg pokrywał jej ramiona, oblepiał kaptur.

– Powtarzam ci: Meg miała wypadek. Nie słyszałaś?

– Wypadek? Jak to? Co się stało?

Miriam wpatrywała się w nią przez chwilę, po czym potrząsnęła głową.

– Nic nie wiedziałaś, co?

Molly poczuła się zdezorientowana, jak intruz, który wkroczył w nie swoje sprawy i niczego nie rozumie. Własny obraz wydał jej się nagle krzykliwy, brzydki, pozbawiony sensu. Czowała ból i przestrasz Meg oraz kojącą obecność siostry. Z całą jasnością myśli uświadomiła sobie, że jest im potrzebna – nie wiedziała jednak czemu i już po chwili uczucie dzielone z Meg ulotniło się.

– Gdzie ona jest? – zapytała. – Co się stało? Pójdę z tobą.

Miriam spojrzała na nią i pokręciła głową.

– Nie chodź. Zostań tutaj.

Odeszła.

Molly dowiedziała się, gdzie leży Meg, i poszła tam, aby dotrzymać towarzystwo siostrze, lecz te nie chciały jej wpuścić.

* * *

Ben popatrzył po twarzach braci i na pytanie: "Co począć z Molly?" – wzruszył ramionami. Wypędzić ją tak jak Dawida? Odizolować w separacie? Odesłać na oddział reproduktorek, matek? Puścić całą rzecz w niepamięć? Przedyskutowali już wszystkie rozwiązania, ale żadne ich nie zadowoliło.

– Nic nie wskazuje na to, aby czyniła jakiegokolwiek postępy – powiedział Barry. – Albo żeby przynajmniej starała się wrócić do normalnego życia.

– Ponieważ sprawa Molly jest przypadkiem precedensowym, rozwiązanie, na które się zdecydujemy, musi być bezwarunkowo słuszne – zauważył trzeźwo Bruce. Na moment ściągnął krzaczaste brwi. – To przecież twoja pacjentka, Ben, dlaczego nic nie mówisz? Taki byłeś pewny, że malowanie będzie dla niej dobrą terapią – a jednak okazało się, że nie. Masz jakieś inne propozycje?

– Kiedy prosiłem o pozwolenie na studia psychologiczne zamiast pracy w laboratorium,

otrzymałem odmowę. Reszta osób, które brały udział w wyprawie do Waszyngtonu, wydobrzała całkowicie, nastąpił pełny powrót do normy – dodał oschle. – Z wyjątkiem Molly. Nie starcza nam wiedzy na wyjaśnienie, dlaczego tak się stało, jak ją leczyć, czy kiedykolwiek wyzdrowieje. Moja rada brzmi: dajmy jej czas. Sale wykładowe obejdą się bez niej, niech maluje. Dajmy jej własny pokój i pozostawmy samej sobie. Barry kręcił głową.

– Psychologia to dla nas ślepy zaułek – odparł. – Może spowodować jedynie odrodzenie kultu jednostki. Kiedy grupa działa sprawnie, zawsze w końcu następuje wyleczenie poszczególnych jej członków. A co do pozostawienia Molly w szpitalu... Dla swoich sióstr jest źródłem bólu i niepokoju. Meg nic nie grozi, ale Molly nie wiedziała nawet, że jej siostra upadła, że złamała rękę. Siostry potrzebowały jej pomocy, a ona nie zareagowała. Wszyscy wiemy i zgadzamy się, że obowiązkiem każdego z nas jest strzec dobra grupy, a nie poszczególnych jej członków. Jeśli następuje tu konflikt interesów – należy zrezygnować z jednostki. To niepodważalna zasada. Pozostaje tylko pytanie: w jaki sposób

Ben wstał i podszedł do okna. Za ścianą żywopłotu mieścił się oddział reproduktorek. Tylko nie tam! – pomyślał gwałtownie. One nigdy nie zaakceptują Molly. Mogłyby ją nawet zabić, gdyby znalazła się między nimi. Zaledwie miesiąc wcześniej odbyło się Pożegnanie Utraconego z racji Janet, która weszła odtąd w poczet reproduktorek i przechodziła teraz terapię odurzająco – hipnotyczną, mającą zmusić ją do zaakceptowania roli kobiety płodnej, która rodzi dzieci tak często, jak lekarze uznają to za stosowne. Każdy noworodek przeniesiony będzie natychmiast do żłobka, aby dać reproduktorce czas na odzyskanie sił i wzmocnienie się przed kolejnym porodem, a potem przed następnym, i tak dalej...

– Posyłanie jej tam nie miałoby sensu – rzekł Bob zbliżając się do stojącego przy oknie Bena. – lepiej od razu przyznać, że nie ma wyjścia, i zdecydować się na eutanazję. To mniej okrutne!

Ben z ciężkim sercem odwrócił się ku braciom. Niejasno zaświtała mu myśl, że oni mogą mieć rację.

– Jeżeli coś takiego się powtórzy – mówił wolno, niepewny, dokąd wiodą go własne myśli – będziemy musieli raz jeszcze odbyć podobnie bolesną naradę, dojść do tych samych wniosków i te same rozwiązania odrzucić.

Barry skinął potakująco.

– Wiem. I ta świadomość spędza mi sen z powiek. Przecież coraz więcej osób zatrudnianych będzie w transporcie, przy naprawie dróg i penetrowaniu miast. Przypadek Molly może się powtórzyć.

– Oddajcie ją mnie – zaproponował nagle Ben. – Umieszczę ją w starym domu Sumnerów. Odprawimy Pożegnanie Utraconego i obwieścimy jej odejście. Siostry Miriam zabliznią lukę i przestaną odczuwać ból, a ja będę mógł obserwować proces rozwoju choroby.

* * *

– Zimno w tym domu – powiedział Ben – ale rozgrzeje się, jak napalimy w piecu. Podoba ci się tutaj?

Obeszli cały dom i Molly zdecydowała się zamieszkać na piętrze, w skrzydle z widokiem na rzekę. Szerokie okna nie miały zasłon, cały pokój wypełniony był zimnym, popołudniowym światłem, ale wyglądało na to, że latem będzie tu ciepło i jasno – a poza tym zawsze można było popatrzeć na rzekę. Pomieszczenie obok musiało być dawniej pokojem dziecięcym albo alkową. Było małe, a podwójne okna sięgały niemal sufitu. Molly tu właśnie postanowiła urządzić pracownię. Oba okna

wychodziły na miniaturowy balkonik.

Dźwięki otwierającej ceremonię muzyki unosiły się już nad doliną. Będą tańce, uczta, dużo wina.

– Dom nie ma światła – oznajmił oschle Ben. – Przewody są w złym stanie. Naprawimy je, jak tylko śniegi stopnieją.

– Nie zależy mi na świetle. Te lampy naftowe i kominek są bardzo ładne. Mogę też palić drewnem w piecu.

– Drewno będą ci dostarczać bracia Andrew. Zaopatrzą cię we wszystko, co potrzebne. Będą to zostawiali na werandzie.

Molly podeszła do okna. Przesłonięte wiotkimi chmurkami słońce zawisło na krawędzi wzgórza. Zaraz ześliźnie się na drugą stronę i zapadnie ciemność. Po raz pierwszy w życiu Molly miała zostać na noc sama. Stała odwrócona plecami do Bena, patrzyła na rzekę i myślała o starym domu, tak odległym od reszty zabudowań w dolinie, ukrytym pośród drzew i niewiele niższych od drzew zarośli.

Jeśli przyśni się jej coś złego i zacznie się rzucać albo krzyczeć we śnie, nie usłyszy jej nikt, w pobliżu nie będzie nikogo, kto mógłby ją ukoić, pocieszyć.

– Molly. – Głos Bena był w dalszym ciągu przesadnie szorstki, tak jakby Ben był na nią zły, a ona nie знаła tego przyczyny. – Mógłbym zostać tu z tobą na noc, jeżeli się boisz...

Wówczas odwróciła się ku niemu. Twarz miała ukrytą w cieniu, za nią śnieg i szare niebo skąpane były w zimnym świetle i Ben zrozumiał, że Molly wcale się nie boi. Poczł się tak, jak tamtej nocy nad rzeką: Molly była piękna, a światło w pokoju emanowało z niej samej, z jej oczu. – Jesteś szczęśliwa, prawda? – zapytał zdumiony.

Skinęła twierdząco.

– Rozpalę ogień na kominku. A potem przyciągnę do niego tamten fotel, usiądę sobie w nim i będę patrzeć w płomienie i słuchać muzyki, a po jakimś czasie położę się do łóżka, może trochę poczytam przy lampie naftowej, póki nie zachce mi się spać... – Uśmiechnęła się do niego. – Nie martw się, Ben. Czuję... sama nie wiem, jak się czuję. Jakby ulotniło się coś, co ciążyło i przeszkadzało żyć. Ulotniło się, a ja jestem teraz lekka, wolna i... tak, nawet szczęśliwa. Więc może Jednak jestem szalona. Może tak właśnie wygląda szaleństwo. – Na nowo odwróciła się do okna. – Czy reproduktorki są szczęśliwe? – zapytała po chwili.

– Nie.

– Jak tam jest?

– Rozpalę ci ogień. Komin jest przetkany. Sprawdziłem.

– Co się tam z nimi dzieje, Ben?

– Przechodzą kurs wiedzy o tym, jak być matkami. Sądzę, że z czasem takie życie zaczyna im odpowiadać.

– Czy czują się wolne?

Ben, który układał już szczapy w palenisku, upuścił z hukiem spory kawał drewna i wyprostował się. Podeszedł do Molly i brutalnie odciągnął ją od okna.

– One nigdy nie przestają cierpieć z powodu rozłąki powiedział. – Noc w noc zapłakują się do snu. Przez cały czas są pod działaniem narkotyków i uczestniczą w terapii warunkującej, która ma im pomóc to znosić – ale i tak co noc zasypiają z płaczem. Czy to właśnie chciałaś usłyszeć? Chciałaś wierzyć, że one są tak samo wolne jak ty teraz wolne w wyborze samotności, w wyborze zajęć, nie skrępowane myślą o odpowiedzialności wobec innych. Ale to tak nie jest! Są nam potrzebne i robimy z nich użytek w jedyny możliwy sposób, ograniczając do minimum cierpienie pozostałych sióstr,

które nie są reproduktorkami. Gdy okres płodności minie, reproduktorka idzie pracować do żłobka – jeśli jeszcze jest do tego zdolna. Jeśli nie – zostaje uśpiona. Czy to właśnie chciałaś usłyszeć?

– Po co mi to mówisz? – wyszeptała Molly ze spopielałą twarzą.

– Żebyś nie miała żadnych złudzeń co do tego tu gniazdeczka. Możesz nam się przydać, rozumiesz? Póki możesz się przydać społeczności, będzie ci wolno żyć tu jak księżniczce. Ale tylko dopóki możesz się przydać:

– Jak to: przydać? Moje obrazy nikogo nie interesują, a mapy i rysunki z wyprawy już pokończyłam.

– Przeprowadzę sekcję każdej twojej myśli, każdej zachcianki, każdego marzenia. Mam zamiar dociec, co ci się stało, co kazało ci odseparować się od sióstr i wybrać status jednostki. A kiedy już zbadam, będziemy wiedzieli, jak zapobiegać w przyszłości podobnym wypadkom.

Wpatrywała się w niego, ale jej oczy nie były już świetliste; lecz chmurne, ukryte w głębokim cieniu. Łagodnie wyswobodziła ramiona z jego dłoni.

– Przeanalizuj sam siebie, Ben. Przyłap się na słuchaniu głosów, których nikt inny nie słyszy. Obserwuj siebie. Czy kogokolwiek innego drażniłaby sytuacja reproduktorek? Dlaczego walczyłeś o uratowanie mi życia, kiedy dobro ogółu wymagało uśpienia mnie jak niezdatnej już do pełnienia swej roli reproduktorki? Czy ktokolwiek inny rzuci chociaż okiem na moje obrazy? Kto wolałby siedzieć tu, w tym ciemnym, zimnym pokoju, z wariatką niż bawić się z innymi? Nasz związek nie ma w sobie radości, Ben. Kiedy się kochamy, robimy rzecz brutalną, gorzką, okrutną, która z niewiadomych powodów napełnia nas oboje smutkiem. Przystudiuj sam siebie, Ben, a potem mnie – i pomyśl, czy istnieje tu choroba, którą da się wykorzenić i unicestwić bez unicestwiania jej nosicieli.

Brutalnym gestem przyciągnął ją do siebie i z całej siły przycisnął jej twarz do swojej piersi, aby nie mogła dalej mówić. Nie opierała się.

– To kłamstwa, wierutne kłamstwa – wymamrotał. – Ty oszalałaś.

Przytulił policzek do jej włosów, a ramiona Molly powędrowały wzdłuż jego pleców i objęły go. Ben szarpnął się gwałtownie i odsunął od niej. Ciemność zdążyła na dobre zagościć w pokoju. Molly stała się jedynie cieniem na tle cieni.

– Pójdę już – rzekł oschle Ben. – Nie powinnaś mieć kłopotów z rozpaleniem ognia. Napaliłem w piecu na dole, niedługo zrobi się tu ciepło. Nie zmarzniesz.

Molly milczała. Ben odwrócił się i pośpiesznie wyszedł z pokoju. Biegł w głębokim śniegu, aż nogi odmówiły mu posłuszeństwa i zaczął łykać powietrze bolesnymi haustami. Kiedy odwrócił się, aby spojrzeć na dom, czarne drzewa całkiem go już przesłaniały.

Rozdział 17

Deszcz mżył teraz jednostajnie, a wiatr przycichł. Wierzchołki wzgórz pochowały się w chmurach, a rzekę przesłoniła mgła. Równomierny stukot młotów, choć tłumiony przez deszcz, działał krzepiąco. Pod dachem hangaru na przystani trwały prace przy konstrukcji trzeciej łodzi. Jeszcze rok temu pracujący tu ludzie byli rolnikami, nauczycielami, technikami, naukowcami – dziś każdy z nich był skutnikiem.

Ben obserwował deszcz. Po chwili – uśpiania wiatr zawył nad doliną, pędząc przed sobą fale deszczu. Obraz za oknem rozmył się i pozostała jedynie bębniąca w szyby ulewa.

Molly zastanawia się pewnie, czy on przyjdzie. Okno zadrżało pod gwałtownym atakiem deszczu. Zaraz się stłucze! – pomyślał Ben. – Nie, na pewno się nie zastanawia. Na pewno nie zauważyła nawet jego nieobecności. Ulewa minęła równie gwałtownie, jak się rozpoczęła, a niebo zaczęło się przecierać, wyglądało niemal tak, jakby już za chwilę przedmioty na ziemi miały na nowo zacząć rzucać cienie: Jej to obojętne – myślał Ben – czy ja tam jestem, czy mnie nie ma. Rozmawiając z nim, odpowiadając na pytania, zawsze malowała, rysowała albo czyściła pędzle; czasem nie mogąc sobie znaleźć miejsca, ciągnęła go z sobą na spacer – zawsze po wzgórzach, do lasu, jak najdalej od zamieszkanego doliny, do której nie miała wstępu. To samo mogła robić będąc sama.

Wkrótce przybędą tu jego bracia i odbędzie się wyznaczone przez nich zebranie, na którym on, Ben, będzie musiał podać termin oddania raportu, którego nawet nie zaczął jeszcze pisać. Popatrzył na leżący na długim stole notes i znów odwrócił się do okna. Notes był całkowicie zapisany: Ben nie miał już o co pytać Molly, nie pozostało już nic, co chciałby jeszcze z niej wyciągnąć – a jednak dzisiaj wiedział równie mało jak jesienią.

W kieszeni miał paczuszkę sasafras, pierwszego w tym roku, który chciał podarować Molly. Zaparzą herbatę i usiądą przed kominkiem, sącząc gorący, wonny napój. Pójdą do łóżka i on będzie jej mówił o dolinie, o rozbudowie laboratoriów, postępach w konstrukcji łodzi, planach dotyczących klonowania przewoźników i robotników do naprawy dróg, budowy mostów, słowem – wszystkich prac koniecznych dla otwarcia komunikacji z Waszyngtonem, Filadelfią, Nowym Jorkiem. Ona zapyta o swoje siostry, które opracowują podręczniki szkolne, starannie kopiując ilustracje, mapy, wykresy, i słuchając jego odpowiedzi będzie z powagą kiwać głową, a jej wzrok prześliznie się po ustawionych wokół obrazach, których nikt w dolinie nie potrafiłby i nie zechciał zrozumieć. Rozmawiała chętnie i o wszystkim, odpowiadała na wszystkie pytania – z wyjątkiem tych, które dotyczyły jej prac.

Z tego, co robiła, rozumiała nie więcej niż Ben, który zanotował sobie to spostrzeżenie. Jakiś wewnętrzny przymus pchał ją do malowania, rysowania, ukonkretniania niewyraźnych, chaotycznych, bolesnych wręcz wizji. Ben z goryczą pomyślał, że ten przymus wewnętrzny jest w przypadku Molly silniejszy niż wola życia. teraz przyjdą tu jego bracia i podejmą decyzję w jej sprawie:

Czy zaproponują jej worek nasion i eskortę w dół rzeki Ciężkie chmury stoczyły się a gór, gasząc nieśmiało światło, a wiatr ponownie zatrzęsł oknem i cisnął w nie twardymi kropelkami deszczu. Ben obserwował tę zmianę scenerii, kiedy jego bracia wkroczyli do pokoju i pozajmowali miejsca.

– Przejdźmy od razu do sedna sprawy – zaproponował Barry i Ben na jego miejscu zrobiłby to samo. – Nie polepsza jej się, prawda?

Zajmując swoje miejsce, Ben uzupełnił krąg braci. W odpowiedzi pokręcił przecząco głową.

– Prawdę mówiąc, jeżeli w ogóle zaszła jakaś zmiana od chwili jej powrotu do domu, to na

gorsze – ciągnął Barry. – Separacja pozwoliła chorobie rozwinąć się i spotęgować, a ty, towarzysząc jej – aczkolwiek sporadycznie w tej separacji, sam też się zaraziłeś.

Ben popatrzył na braci zdumiony i zmieszany. Czy mieli jakiegokolwiek podstawy, przesłanki, aby tak sądzić? Uświadomił sobie, że tym pytaniem odpowiada na następne: powinien był wiedzieć. W obrębie bezbłędnie funkcjonującej grupy nie ma mowy o sekretach. Potrząsnął wolno głową i przemówił ostrożnie:

– Przez pewien czas i mnie zdawało się, że jestem chory, ale ponieważ nadal żyłem w zgodzie z naszymi obyczajami i wymogami, odrzuciłem trapiącą mnie myśl. Czymże mogłem was dotknąć?

Barry niecierpliwie pokręcił głową.

Przez moment Ben czuł, jak bardzo tamci są nieszczęśliwi. – Mam pewną teorię na temat Molly – powiedział. – Teorię, która, być może, dotyczy także i mnie. – Słuchali w milczeniu. – Dawniej dzieciństwo człowieka było tym okresem, w którym osobowość rozwijała się w sposób naturalny i jeśli proces ów przebiegał bez zakłóceń, w jego wyniku powstawała jednostka, odrębna od rodziców. W naszym przypadku podobny proces nie jest konieczny, nie jest nawet możliwy, gdyż bracia i siostry nie znają dążenia do indywidualnej egzystencji; powstaje zatem świadomość zbiorowa. Istnieją bardzo stare badania par identycznych bliźniąt, które potwierdzają zjawisko zbiorowej świadomości. ówczesni badacze nie byli jednak przygotowani do zrozumienia tego mechanizmu. Poświęcono sprawie niewiele uwagi i właściwie nie kontynuowano badań. – Ben wstał i podszedł z powrotem do okna. Deszcz był ulewny i miarowy. – Moja hipoteza brzmi: każdy z nas nosi w sobie uśpioną zdolność do indywidualnego rozwoju osobowości.

Zdolność ta zamiera, gdy mija czas optymalnych warunków fizjologicznych dla jej spontanicznego rozwoju. W przypadku Molly jednak – a niewykluczone, że i u innych dostatecznie silne bodźce, działające w sprzyjających warunkach, mogą aktywizować ów rozwój.

– Sprzyjającymi warunkami nazywasz rozłąkę z rodzeństwem w sytuacji stresowej? – zapytał Barry z namysłem. – Tak mi się zdaje. Teraz jednak ważne jest – rzekł Ben z naciskiem – aby pozwolić zjawisku rozwinąć się, a wtedy zobaczymy, do czego ono prowadzi. Nie jestem w stanie przewidzieć przyszłych reakcji Molly. Nigdy nie wiem, jaka będzie następnego dnia.

Barry i Bruce wymienili spojrzenia, po czym popatrzyli na innych braci. Ben bezskutecznie usiłował rozszyfrować to, co dostrzegł w ich oczach. Przeniknął go chłód i znów zaczął patrzeć w deszcz.

– Ostateczną decyzję podejmiemy jutro – oświadczył w końcu Barry. – Ale niezależnie od tego, co postanowimy w sprawie Molly, nasza druga decyzja jest nieodwołalna. Nie wolno ci się więcej z nią widywać. Dla twego własnego dobra, dla dobro nas wszystkich, musimy ci zabronić odwiedzania Molly.

Ben kiwnął głową na zgodę.

– Będę jej to musiał powiedzieć – rzekł.

Ton jego głosu sprawił, że bracia znów, spojrzeli po sobie, ale niechętnie wyrazili zgodę.

* * *

– Czemu się tak dziwisz? – spytała Molly. – To musiało się stać.

– Przyniosłem herbatę – przerwał jej szorstko Ben. Molly wzięła od niego paczuszkę i długo jej się przyglądała.

– Mam dla ciebie prezent – powiedziała cicho. – Chciałam ci go dać innym razem, ale... Poczekaj, zaraz przyniosę.

Wyszła i natychmiast wróciła z małym pakiecikiem. Była to wielokrotnie złożona kartka papieru, która po rozłożeniu ukazała kilka twarzy – każda z nich była wersją twarzy Bena. Pośrodku widniała potężna głowa mężczyzny o groźnie ściągniętych brwiach i przenikliwym spojrzeniu. Otaczały ją cztery inne twarze, na tyle podobne do siebie, że można było stwierdzić pokrewieństwo.

– Kto to jest?

– Ten w środku to stary właściciel tego domu. Fotografie znalazłam na strychu. To jego syn, ojciec Dawida, to Dawid. A to jesteś ty.

– Albo Barry, albo Bruce, albo którykolwiek z naszych poprzedników – uzupełnił cierpko Ben. Nie podobała mu się ta mozaika. Twarze ludzi, którzy doświadczyli tak innego, tak niewytłumaczalnego życia, a jednocześnie wyglądali zupełnie tak jak on, nie budziły w nim sympatii.

– Nie sędzę – odparła Molly, popatrując to na obrazek, to na Bena. – W twoich oczach jest coś, czego tamci nie mają. Ich oczy widzą tylko to, co na zewnątrz, a twoje i tych innych mężczyzn na obrazku, mogą patrzeć w obu kierunkach.

Roześmiała się nagle i pociągnęła go w stronę kominka. – Lepiej przestań o tym myśleć. Pijmy się herbaty, zjedzmy coś słodkiego. Dostaję tu znacznie więcej, niż sama zjadam, więc sporo odłożyłam na zapas. Urządzimy sobie przyjęcie!

– Nie chcę herbaty – burknął Ben. Patrząc w płomienie kominka zapytał: – Więc tobie w ogóle nie zależy?

– Nie zależy mi?

Ben usłyszał w jej głosie dotkliwy, niezaprzeczalny ból. Z całej siły zacisnął powieki.

– Chcesz, żebym szlochała, wyła, darła szaty i biła głową o ścianę? Chcesz, żebym cię błagała, abyś nie odchodził, abyś został tu ze mną na zawsze? Chcesz, żebym wyskoczyła z najwyższego okna? Żebym wychudła, zbladła i zwiędła jak jesienny kwiatek zabity chłodem, którego nikt nigdy nie zrozumie? Jak mam ci udowodnić, że mi zależy? Powiedz – co mam zrobić?

Poczuł jej dłoń na policzku, a otworzywszy oczy stwierdził, że bardzo go pieką.

– Chodź ze mną, Ben – poprosiła Molly. – A może potem, gdy będziemy się żegnać, zapłaczymy oboje.

* * *

– Obiecujemy nigdy jej nie skrzywdzić – mówił cicho Barry. – Jeśli będzie potrzebowała kóregokolwiek z nas, będziemy się nią opiekować. Pozwolimy jej dożyć swych dni w domu Sumnerów. Nigdy nie wystawimy jej obrazów na widok publiczny, nie pozwolimy też, aby inni to zrobili, ale będziemy je pieczołowicie przechowywać, aby nasi potomni mogli je przeanalizować i zrozumieć, dlaczego dziś podjęliśmy takie, a nie inne kroki. – Przerwał, a po chwili dodał: – Ponadto, nasz brat Ben przyłączy się do kontyngentu budowniczych obozu – bazy dla przyszłych grup w dole rzeki.

Barry oderwał wzrok od kartki. Ben posepnie skinął głową: Postanowienia były sprawiedliwe i wyrozumiałe. Podzielał udrękę braci i wiedział, że ich cierpienia skończą się dopiero wraz z powrotem łodzi, kiedy to będą mogli odprawić w jego intencji Pożegnanie Utraconego. Dopiero wtedy wszyscy staną się znowu wolni.

* * *

Molly patrzyła na pomykające rzeką łódki. Przy sterze wiodącej łodzi stał Ben; wiatr rozwiewał mu włosy. Nie odwrócił głowy ku domowi Sumnerów, dopiero gdy łódź dotarła do pierwszego

zakola, za którym miała jej zniknąć a oczu, Molly dostrzegła na moment bladą twarz Bena. Zaraz potem wszystko zniknęło.

Molly długo jeszcze stała przy wielkim oknie. Przypominała sobie głos rzeki i odpowiedzi płynące z wierzchołków drzew, przypominała sobie, jak wiatr poruszał koronami drzew nie muskając ani źdźbła trawy. W jej pamięci odżyły cisza i ciemność, które przytłaczały ich nocą, dotykając, sprawdzając, smakując intruzów. Jej dłoń podążyła w stronę brzucha i ucisnęła to miejsce, gdzie rosło wewnątrz niej nowe życie.

Letnie upały ustąpiły wczesnym wrześnieowym przymrozkom. todzie powróciły, ale tym razem przy sterze stał ktoś inny. Drzewa zapłonęły żółcią i czerwienią, spadł śnieg, a w styczniu Molly sama, bez niczyjej pomocy, wydała na świat syna. Leżała patrząc na niemowlę, które spoczywało w zgięciu jej ramienia, i uśmiechnęła się do niego.

– Kocham cię – szepnęła czule. – Będiesz się nazywał Marek.

Przez ostatnie miesiące ciąży Molly powtarzała sobie niemal codziennie, że następnego dnia pośle Barry'emu wiadomość i, poddając się jego woli, da się umieścić na oddziale reproduktorek. Teraz jednak, patrząc na czerwone niemowlę o oczkach zaciśniętych tak mocno, jakby ich w ogóle nie miało – wiedziała, że nigdy go nie odda.

Co dzień rano bracia Andrew przynosili jej drewno i kosz z jedzeniem, w którym było wszystko, o co poprosiła. Zostawiali to na werandzie i odchodzili. Molly nie widywała nikogo, najwyżej z bardzo daleka. Skoro tylko Marek zaczął rozumieć jej słowa, Molly zaczęła wpajać mu konieczność zachowania ciszy, podczas gdy bracia Andrew kręcili się w pobliżu domu. Kiedy podrósł i zaczął bez końca pytać „dlaczego”, musiała mu powiedzieć, że bracia Andrew zabraliby go i oddali do szkoły i już nigdy więcej nie zobaczyłby matki. Wówczas po raz pierwszy zobaczyła, że chłopiec się boi. Odtąd na czas odwiedzin lekarzy stawał się tak cichy jak ona.

Chętnie uczył się chodzić i mówić. Czytać zaczął mając cztery lata i długie godziny spędzał skulony przy kominku nad rozsypującymi się książkami ze starej biblioteki. Czasem były to książki dla dzieci, czasem nie – Marek nie przebierał. Bawili się w chowanego po wszystkich zakamarkach, a w pogodne dni także i na zbiegu za domem, z dala od oczu innych mieszkańców doliny, którzy nigdy, pod żadnym pozorem, nie odważyliby się wejść do lasu chyba że na wyraźny rozkaz. Molly śpiewała synkowi i opowiadała mu wyczytane w książkach bajki, a gdy już wyczerpali cały zasób książek – sama wymyślała historyjki. Któregoś dnia Marek sam wymyślił bajkę. Molly śmiała się z niej uradowana i odtąd każde z nich było na przemian to bajaranem, to słuchaczem. Gdy Molly malowała. Marek też coś rysował albo brał się za farby i pędzel. Coraz częściej jednak bawił się gliną znad rzeki, lepiąc figurki, które dosychały później w słońcu na balkonie.

Gdy Marek podrósł, mogli zapuszczać się dalej w głąb lasu. Pewnego letniego dnia pięcioletni wówczas chłopiec spędził tam kilka godzin. Molly pokazywała mu paprocie i wątrobniki, zwracając uwagę chłopca na zmiany barwy delikatnych listków pod wpływem słońca, które soczystą zielen potrafiło przeistoczyć w głęboką czerń.

– Dosyć na dzisiaj – oznajmiła w końcu. Marek zaprotestował.

– Chodź, wdrapiemy się na sam czubek i zobaczymy cały świat.

– Następnym razem – odparła. – Zabierzemy z sobą jedzenie i wdrapiemy się na szczyt.

Następnym razem.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Schodzili w dół powoli, zatrzymując się często, aby obejrzeć z bliska to kamień, to młodą roślinkę, to znów korę starego drzewa – wszystko; co ciekawiło Marka. Doszedłszy do krawędzi

lasu, przystanęli i rozejrzeli się ostrożnie, zanim opuścili schronienie drzew. Potem, trzymając się za ręce, pobiegli do kuchennych drzwi i ze śmiechem próbowali zmieścić się w nich jednocześnie.

– Za duży się robisz! – zawołała Molly, puszczając Marka przodem.

Marek zatrzymał się gwałtownie, szarpnął ją za rękę i spróbował rzucić się do ucieczki. Jeden z braci Barry wszedł do kuchni z jadalni, a inny zamknął drzwi wejściowe, stając za Molly i Markiem. Trzej pozostali w milczeniu weszli do kuchni i nie wierząc własnym oczom w milczeniu wpatrywali się w chłopca.

W końcu któryś przemówił:

– To Bena?

Molly przytaknęła. Jej ręka ścisnęła dłoń Marka aż do bólu. Marek stał tuż przy niej i z przerażeniem patrzył na braci.

– Kiedy? – zapytał ten sam, który zadał poprzednie pytanie.

– Pięć lat temu, w styczniu.

Jej rozmówca westchnął ciężko.

– Będziesz musiała pójść z nami, Molly. Chłopiec też. Potrząsnęła głową i zrobiło jej się słabo ze strachu.

– Nie! Dajcie nam spokój. Nikomu nie przeszkadzamy! Zostawcie nas!

– Takie jest prawo – odparł beznamiętnie rat. – Wiesz o tym równie dobrze jak my.

– Obiecaliście!

– Nasze porozumienie nie dotyczyło t e g o. – Zrobił krok w jej stronę. Marek wyszarpnął dłoń z uścisku Molly i rzucił się na niego.

– Zostaw moją mamę! Idź sobie! Nie ruszaj mojej mamy!

Ktoś pochwycił Molly za ramiona i przytrzymał ją; ktoś inny złapał i uniósł w górę Marka, który kopał i wił się z wściekłością, wrzeszcząc bez przerwy jak opętany.

– Nie róbcie mu krzywdy! – krzyknęła Molly, próbując się wyswobodzić. Nie poczuła prawie ukłucia zastrzyku. Jak przez mgłę dobiegł ją ostatni rozpaczliwy krzyk Marka, a potem nie było już nic.

Rozdział 18

Molly zamrugała powiekami i zacisnęła je w obronie. przed jaskrawością srebrzystego szronu, który okrywał wszystko dookoła. Stojąc bez ruchu, usiłowała przypomnieć sobie, gdzie jest, kim jest – cokolwiek. Kiedy znów otworzyła oczy, oslepiająca jasność oszołomiła ją na nowo. Czuła się jak po przebudzeniu z długiego, koszmarnego snu, który zacierał się coraz bardziej, w miarę jak usiłowała go odtworzyć. Ktoś szturchnął ją w ramię.

– Zamarzniesz tutaj na śmierć – powiedział tuż przy niej jakiś głos. Odwróciwszy się, Molly ujrzała kobietę. Nie znała jej. – No, wejź do środka – ponagliła ją tamta nieco głośniejszym głosem. Pochyliła się i bacznie przyjrzała Molly. – Przychodzisz do siebie, co?

Wzięła ją za ramię i wprowadziła do ciepłego domu. Siedzące tam kobiety obojętnie podniosły wzrok, po czym znów pochyliły się nad szyciem. Kilka było w zaawansowanej ciąży. Niektóre patrzyły tępo przed siebie, z pustką w oczach, z pustymi rękami.

Kobieta, która pomogła Molly, podprowadziła ją teraz do krzesła i powiedziała:

– Posiedź sobie chwilę spokojnie. Pamięć zaraz ci wróci. Natychmiast po tym zajęła swoje miejsce i wzięła się do fastrygowania.

Molly wpatrywała się w podłogę, oczekując nadejścia wspomnień, ale przez dłuższą chwilę pamiętała jedynie uczucie koszmarnego strachu, żadnych szczegółów.

Przywiązywali ją do jakiegoś stołu – przypomniawszy sobie nagle. I to nie raz. Co z nią robili – nie, pamiętała. Innym razem jakieś kobiety trzymały ją przy ziemi – co robiły. Przeniknął ją gwałtowny dreszcz i zamknęła oczy. Wspomnienie cofnęło się. Marek – pomyślała nagle z niespodziewaną jasnością. Marek! Podskoczyła i rozejrzała się wokół błędnym wzrokiem. Kobieta, z którą się zaprzyjaźniła, podbiegła i chwyciła ją za ramię.

– Uspokój się, Molly, bo znowu cię tam wezmą. Rozumiesz? Posiedź cicho do przerwy, a wtedy porozmawiamy.

– Gdzie Marek? – wyszeptała Molly.

Kobieta rozejrzała się trwożnie i rzuciła półgłosem:

– Nic mu nie jest. Siadaj teraz! Idzie siostra.

Molly posłusznie usiadła i wlepiła wzrok w podłogę, czekając, aż pielęgniarka skończy oględziny sali i wyjdzie. Marek jest bezpieczny. Na ziemi leży śnieg. Zima. A więc jej syn ma sześć lat. Wcale nie pamiętała późnego lata, jesieni. Co się z nią działo?

Czas do przerwy włókł się boleśnie wolno. Kobiety co chwila popatrywały na Molly, a w ich spojrzeniach była teraz iskierka rozpoznania, a nie, jak przedtem, obojętność. Plotka o jej powrocie dotarła już wszędzie. Wszystkie kobiety obserwowały teraz Molly – może chciały zobaczyć, jak się zachowa, może na znak powitania, a może z jakichś innych, nie znanych Molly powodów. Patrzyła w podłogę. Splotła dłonie, paznokcie wbiły jej się w skórę. Rozluźniła palce. Zabrali ją do szpitala, ale nie do zwykłego szpitala: na oddział reproduktorek. Przeszła bardzo dokładne badania. Pamiętała zastrzyki, pytania, pigułki... Wszystko to było strasznie zamazane. Dłonie znów jej się zacisnęły.

– Wstawaj, Molly. Napijemy się herbaty i powiem ci tyle, ile sama wiem.

– Kto ty jesteś?

– Sondra. No, chodź.

Powinam była pamiętać – pomyślała Molly, idąc posłusznie za Sondrą. Przypomniawszy sobie nagle, uroczystość pożegnania Sondry, starszej od niej samej zaledwie o trzy czy cztery lata. Ona, Molly, mogła mieć wtedy dziewięć, dziesięć lat.

Herbatą nazywano tu słomkowożółty napój, którego Molly nie była w stanie zidentyfikować.

Upiła jeden łyk, odstawiła filiżankę i spojrzała w odślonięte okno na przeciwległej ścianie.

– Jaki to miesiąc?

– Styczeń. – Sondra dopiła herbatę i pochyliła się ku Molly zniżając głos. – Słuchaj, Molly, odstawili ci narkotyki i teraz przez kilka tygodni będą obserwowali, jak się sprawujesz. Jeśli narozrabiasz – znowu ci coś dadzą. Zostałaś poddana terapii warunkującej. Nie walcz z tym, a nic złego cię nie spotka.

Molly czuła, że rozumie zaledwie połowę z tego, co mówi Sondra. Jeszcze raz rozejrzała się po świetlicy: fotele były bardzo komfortowe, a stoliki ustawione w dogodnych odległościach. Kobiety w grupkach po trzy lub cztery rozmawiały, popatrując co jakiś czas na Molly. Niektóre się uśmiechały, jedna puściła oko. Zdumiona Molly naliczyła w pokoju aż trzydzieści kobiet. Trzydzieści reproduktorek?

– Czy ja jestem w ciąży? – spytała nagle, przyciskając dłoń do brzucha.

– Nie sądzę. A nawet gdybyś była, to najwyżej od paru dni. Odkąd tu jesteś, próbowali co miesiąc i ani razu im się nie udało. Wątpię, czy mogło się udać akurat w ostatniej próbie.

Molly osunęła się na fotel i z całej siły zacisnęła po wieki. A więc to właśnie robili z nią na stole. Czuła, jak łzy wzbierają i toczą się jej po policzkach, ale nie potrafiła ich powstrzymać. Ramię Sondry otoczyło jej plecy i Molly przytuliła się do swej towarzyszki.

– To jest taki sam szok dla każdej z nas, Molly. Wszystko przez tę rozłękę, przez to, że po raz pierwszy jest się samemu. Do tego nie można się przyzwyczaić, ale można nauczyć się z tym żyć. I wtedy po jakimś czasie już tak bardzo nie boli.

Molly pokręciła głową, niezdolna wykrztusić ani słowa. Nie – myślała trzeźwo – tu nie chodzi o rozłękę, lecz o upokorzenie, o to, że było się traktowanym jak przedmiot: odurzenie, a potem przymusowe, bezkompromisowe wykorzystanie do tego haniebnego procederu.

– Musimy wracać do pracy – rzekła Sondra. – Jeszcze przez dwa, trzy dni nie będziesz musiała nic robić. Masz czas, żeby zebrać myśli, przywyknąć do wszystkiego.

– Poczekaj, Sondra. Mówiłaś, że z Markiem wszystko w porządku. Gdzie on jest?

– W szkole, razem z innymi dziećmi. Nie zrobią mu krzywdy, nie bój się. Są bardzo dobrzy dla dzieci. Sama chyba pamiętasz?

Molly przytaknęła.

– Klonowali go?

Sondra wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Sądzę, że nie. – Skrzywiła się i przycisnęła rękę do brzucha. Sprawiała wrażenie bardzo starej, zmęczonej i – gdyby nie pęczniejący brzuch – stanowczo za chudej.

– Ile razy byłaś w ciąży? – zapytała Molly. – Długo u już jesteś?

– Z tym będzie siedem – odparła Sondra bez wahania. – Przenieśli mnie tutaj dwadzieścia lat temu.

Molly popatrzyła na nią w osłupieniu i pokręciła głową. Przecież gdy oplakiwano Sondrę, ona miała dziewięć czy dziesięć lat.

– A od jak dawna ja tutaj jestem? – wykrztusiła w końcu.

– Nie tak szybko, Molly. To pierwszy dzień, spróbuj się odprężyć.

– Jak długo?

– Półtora roku. Chodźmy już.

Molly przesiedziała w milczeniu całe popołudnie. Jej wspomnienia były teraz nieco wyraźniejsze, ale i tak nie byłaby w stanie wypełnić nimi kilkunastu miesięcy. Okres ten zniknął z jej życia, jak gdyby w pewnym momencie zacisnęła się pętla czasu: Molly znajdowała się teraz w

punkcie przecięcia dwóch wątków, a wszystko, co wydarzyło się przez minione półtora roku, zamknięte w pętli, po prostu dla niej nie istniało.

A zatem Marek ma siedem lat. Nie jest już małym dzieckiem.

Molly z niedowierzaniem pokręciła głową. Po południu lekarz przyszedł na obchód. Zatrzymywał się przy niektórych kobietach i wymieniał z nimi po parę słów. Wreszcie zbliżył się do Molly, a ona – tak samo jak inne powitała go:

– Dzień dobry, doktorze.

– Jak się czujesz, Molly?

– Dziękuję, całkiem dobrze. Doktor przeszedł dalej.

Molly znów wbiła wzrok w podłogę. Czuła się jak widz, który przypatrywał się z daleka niewielkiemu interludium, nie będąc w stanie wpłynąć na jego przebieg. Odruch warunkowy – pomyślała. To o tym właśnie mówiła Sondra. Na co jeszcze została uwarunkowana? Nauczyl ją posłusznie rozkładać nogi, ilekroć podejda z przyrządami i pieczołowicie strzeżoną spermą? Zmusiła się do rozluźnienia palców, które natychmiast zacisnęły się z powrotem. Całe dłonie miała już od tego obolałe.

Gwałtownie podniosła wzrok, ale lekarza już nie było. Co to był za doktor? Zakręciło jej się w głowie, ale po chwili pokój przestał wirować. Powiedziała do niego "doktorze", nie dziwiąc się nawet brakowi imienia. Czy to był Barry? A może Bruce? Kolejny przykład uwarunkowania, pomyślała z goryczą. Reproductorki były spisane na straty. Nie miały już nawet prawa rozróżniać pozostałych klonów. Doktorze. Siostró. Molly ponownie zwiesiła głowę.

Bardzo szybko zorientowała się w prostym rozkładzie dnia. Na noc dostawało się środki nasenne, a przy wstawaniu – pobudzające. I jedno, i drugie rozpuszczone były w lurowatej herbacie, której Molly nie chciała pić. Niektóre kobiety płakały w nocy, inne szybko ulegały usypiającej mocy herbaty i spały twardo. Życie seksualne kwitło: reproductorki, jak każdy, też miały tu swoje maty. Przez cały dzień pracowały w różnych działach sekcji krawieckiej. Późnym popołudniem zaczynał się czas wolny – każda mogła korzystać z książek, gier, gitar i skrzypiec.

– W gruncie rzeczy nie jest tu tak źle – powiedziała Sondra w kilka dni po przebudzeniu Molly. – Opiekę mamy dobrą, bardzo dobrą. Wystarczy, że ukłujesz się w palec, a już pędzą ci na ratunek i cackają się jak z dzieckiem. Nie jest źle.

Molly milczała. Sondra była wysoka i gruba – szósty miesiąc ciąży. To rozglądała się bystro i czujnie, to znów wodziła wokół apatycznym, niewidzącym spojrzeniem. O n i pilnują Sondry – pomyślała Molly – i na każdą oznakę depresji albo zdenerwowania natychmiast zmieniają jej dawkowanie leków, aby utrzymać ją na stałym – poziomie napięcia emocjonalnego.

– Nowe nie są przeważnie odurzane tak długo jak ty powiedziała jej Sondra innym razem. – To pewnie dlatego, że większość z nas przyszła tu mając czternaście czy piętnaście lat, a ty byłaś starsza.

Molly kiwnęła głową. Kilkunastoletnie dzieci łatwo było zamienić w maszyny do rodzenia, którym wydaje się, że tu naprawdę nie jest źle. Źle bywało tylko nocą, kiedy opłakiwały rozłąkę z siostrami.

– Po co im aż tyle dzieci? – zapytała Molly. – Zawsze myśleliśmy, że dążą do zredukowania liczby dzieci urodzonych naturalnie, a nie jej zwiększenia.

– Potrzeba robotników, kamieniarzy, budowniczych tam. Kończą się zapasy pewnych substancji, które być może zachowały się w miastach, głównie chemikaliów. Dotarło do nas, że z każdego dziecka robi się teraz więcej klonów. Oni chcą wyprodukować całą armię ludzi do budowania dróg i oczyszczania rzek.

– Skąd wiesz tak dużo o tym, co się tam dzieje? Myśleliśmy zawsze, że izolują was znacznie

surowiej.

– W całej dolinie nie uchowa się żaden sekret – odparła wymijająco Sondra. – Niektóre dziewczyny pracują w żłobku, inne w kuchni – każda usłyszy to i owo.

– A Marek? Słyszaliście może coś o nim? Sondra wzruszyła ramionami.

– Nic o nim nie wiem – odpowiedziała. – Chłopak, i tyle, taki sam jak inni chłopcy. Różni się tylko tym, że nie ma braci. Mówią, że sporo się wałęsa samopas.

Molly postanowiła wypatrywać Marka. Prędzej czy później dostrzeże go przez różany żywopłot. Zanim to jednak nastąpiło, została wezwana do lekarza.

Pokornie poszła za siostrą do gabinetu. Doktor siedział za biurkiem.

– Witam cię, Molly.

– Dzień dobry, doktorze – odparła, zastanawiając się, czy to Barry, czy Bruce, czy Bob, czy może...?

– Dobrze się czujesz wśród koleżanek?

– Tak, panie doktorze.

Po całej litanii podobnych pytań, na które odpowiadała "tak, panie doktorze" i "nie, panie doktorze". Molly zaczęła się zastanawiać, dokąd to wszystko prowadzi i wzmogła czujność.

– Czy masz jakieś życzenie, pragnienie?

– Chciałabym dostać mój szkicownik.

Coś się nagle zmieniło i Molly domyśliła się, że tu właśnie leży przyczyna jej wizyty u lekarza. Popełniła błąd: może została uwarunkowana tak, aby nigdy więcej nie myśleć o rysowaniu, o malowaniu... Usiłowała przypomnieć sobie, co jej mówili, co robili – bez skutku. Nie trzeba było prosić o szkicownik – pomyślała raz jeszcze. To był błąd.

Lekarz otworzył szufladę biurka i wydobył z niej szkicownik Molly oraz węgiel kreślarski. Pchnął je po blacie w stronę dziewczyny.

Molly rozpaczliwie wyteżyła pamięć. Na co on może czekać? Co powinna teraz zrobić? Z wolna sięgnęła po blok i węgiel. Poczwała, że ręka jej drży, a żołądek kurczy się, powodując falę mdłości. Uczucia te minęły dopiero po tym, jak Molly wstrzymała ruch ręki, w którą się teraz uważnie wpatrywała. Wszystko było jasne. Zwilżyła wargi i na nowo jąta posuwać rękę w stronę szkicownika. Niemile uczucie wróciło na ułamek chwili – tyle tylko, by się przypomnieć po czym ustąpiło. Molly nie patrzyła na lekarza, który obserwował ją z wielką uwagą. Ponownie zwilżyła wargi. Już prawie dotykała bloku. Nagle gwałtownie cofnęła rękę i wyskoczywszy z krzesła potoczyła błędnym wzrokiem po pokoju, jedną dłonią przyciskając żołądek, a drugą zakrywając usta.

Rzuciła się ku drzwiom, ale głos lekarza zatrzymał ją w miejscu.

– Chodź tu, Molly. Siadaj. Nic ci już nie będzie.

Gdy ponownie spojrzała na biurko, bloku i węgla już tam nie było. Ociągając się, wróciła na krzesło. Bała się kolejnych sztuczek doktora, bała się własnych nieuniknionych błędów, była pewna, że je popełni – i co wtedy? Kolejne półtora roku w otchłani nicości? Całe życie w nicości? Nie patrzyła na lekarza.

Jeszcze kilka obojętnych pytań i mogła opuścić gabinet. Idąc z powrotem do swojego pokoju, zrozumiała, dlaczego reproduktorki nie próbują wyjść poza wyznaczony teren, dlaczego nigdy nie rozmawiają z klonami, od których dzieli je tylko żywopłot.

Cały marzec był wietrzny i mokry; lodowate deszcze padały po kilka dni bez przerwy. W kwietniu opady trochę zelżały, ale poziom rzeki i tak podnosił się przez większą część miesiąca, gdyż tający śnieg spływał kaskadami ze wzgórz. Maj rozpoczął się chłodem i wilgocią, ale już w połowie miesiąca słońce przygrzało mocno i robotnicy z farmy ostro wzięli się za prace w polu.

Już wkrótce – pomyślała Molly. Stała na skraju terenu wyznaczonego reproduktorkom i patrzyła na wzgórze. Magnolie już kwitły, a ponad nimi pałały czerwienią drzewa judaszowe. Cały las ustroił się w świeżą zieleń, ziemia z minuty na minutę przestawała być nasiąkniętą gąbką. Już wkrótce – powtórzyła Molly i wróciła do środka, aby podjąć szycie.

Już trzykrotnie przemierzyła zamieszkaną część doliny. Za pierwszym razem wymiotowała gwałtownie, za drugim mając już doświadczenie – walczyła z uczuciami mdłości i strachu, a mimo to przechodząc obok szpitala klonów omal nie zemdląca. Za trzecim razem reakcja nie była już tak silna – znane uczucia powróciły tylko na mgnienie oka, jakby w odpowiedzi na chwilowe pobudzenie pamięci.

Molly pomyślała, że jej reakcja na dom Sumnerów może być jeszcze gwałtowniejsza niż to, czego na razie doświadczyła, ale przekonała się już, że nie jest więźniem zaszczerpionych jej odruchów. Już wkrótce – pomyślała raz jeszcze, pochylając się nad szyciem.

Cztery razy zabierano ją do szpitala dla reproduktorek, gdzie poddawana była ciągłej kontroli temperatury, a gdy ciepłota jej ciała osiągała oczekiwaną wysokość, przychodziła pielęgniarka z tacą i oznajmiała radośnie:

– No co, Molly, spróbujemy jeszcze raz?

Na co Molly posłusznie rozkładała nogi i leżała bez ruchu, podczas gdy siostra, za pomocą lśniącego, zimnego przyrządu, umieszczała w jej brzuchu spermę.

– A teraz uważaj, nie ruszaj się przez chwilę – mówiła w końcu pielęgniarka, nadal z promiennym uśmiechem i zawodowym ożywieniem, po czym opuszczała Molly leżącą bez ruchu na wąskiej kozetce. W dwie godziny później wolno było ubrać się i wyjść. Cztery razy – pomyślała Molly z goryczą. Jak rzecz, jak martwy przedmiot: naciskamy guzik – i gotowe, wszystko zgodnie z harmonogramem, na zawołanie.

Ciemną, bezksiężycową nocą Molly opuściła oddział reproduktorek. Taszczyła z sobą wór, w jakim noszono tu pranie, który powoli, w sekrecie, napełniała od prawie trzech miesięcy. Wszyscy spali, w całej dolinie – może w całym świecie – nie istniał nawet cień niebezpieczeństwa, ale Molly śpieszyła się bardzo.. Omijając ścieżkę, stąpała po tłumiącej kroki trawie. Czerń zarośli wokół domu Sumnerów przypominała dziurę w ziemi: była to ciemność zdolna pochłonąć wszystko, cokolwiek nieopatrznie znalazło się w pobliżu. Molly zawahała się, ale, odnajdując po omacku drogę pośród gałęzi i konarów, zbliżyła się w końcu do drzwi domu.

Do świtu zostały jej jeszcze dwie godziny; za jakąś godzinę jej nieobecność zostanie wykryta. Zostawiwszy tobół na werandzie, Molly obeszła dom dookoła i stanęła przed tylnymi drzwiami, które otworzyły się za jednym dotknięciem. Weszła do środka – i wcale nie poczuła się źle. Odetchnęła z ulgą. Nikt nie mógł się spodziewać, że dotrze kiedykolwiek aż tak daleko. Po ciemku odnalazła drogę na piętro, do swego dawnego pokoju: z początku wydał jej się taki sam, jak w chwili gdy go opuszczała, a jednak coś tu było inaczej, coś się zmieniło. W ciemności nie widziała prawie nic, ale pewność, że zaszła jakaś zmiana, nie mijała. Molly znalazła łóżko i przysiadła na nim w oczekiwaniu świtu, kiedy będzie mogła zobaczyć pokój i swoje obrazy.

Gdy zaczęło szarzeć, aż zachłysnęła się z wrażenia. Ktoś rozpostarł jej płótna, poustawiał je wszystkie wzdłuż ścian, na krzesłach, na starym, nigdy nie używanym biurku. Molly przeszła do drugiego pokoju, który służył jej niegdyś za pracownię, a tam, na ławie, przy której Marek zwykle lepił z gliny, znajdowały się dziesiątki glinianych przedmiotów: garnki, głowy, zwierzęta, ryby, stopa ludzka, dwie ręce... Molly poczuła, że słabnie, oparła się o framugę drzwi. i załała łzami...

Kiedy nareszcie zdołała stanąć na własnych nogach, w pokoju było całkiem jasno. Za długo zwlekała, teraz musi się śpieszyć. Zbiegła po schodach, wypadła z domu, porwała swój worek i jęła

wdrapywać się na wzgórze. Przeszedłszy kilkadziesiąt metrów, zatrzymała się i rozejrzała w poszukiwaniu miejsca, które odkryli niegdyś razem z Markiem: zakątka ukrytego za krzakami jagód, osłoniętego sterczącym blokiem wapienia. Mogłaby stamtąd obserwować dom, będąc zarazem niewidoczną z dołu. Krzewy rozrosły się, miejsce było teraz osłonięte znacznie szczelniej, niż to Molly pamiętała. Kiedy je w końcu znalazła, osunęła się z ulgą na ziemię. Słońce stało wysoko; jej ucieczka musiała już wyjść na jaw. Niedługo zaczął przeszukiwać dom Sumnerów – nie w oczekiwaniu, że ją tam staną, lecz z właściwej sobie skrupulatności.

Pojawili się przed południem, godzinę szukali jej po całym domu i podwórzu, wreszcie odeszli. Teraz mogłaby zawsze bez obawy powrócić do domu, ale nie ruszyło się ze swojej niszy na wzgórze. Tamci powrócili tuż przed zmrokiem i jeszcze dokładniej przeczesali te same miejsca, poprzednio. Tym razem Molly była pewna, że powrót do domu niczym jej nie grozi. Tamci nigdy nie wychodzili z mroku, Chyba że grupami – nie przyszłoby im do głowy podejrzewać Molly o samotne wałęsanie się w ciemnościach. Wstała, rozprostowała zeszytywniałe nogi i plecy. Ziemia była wilgotna, a miejsce, w którym skryła się Molly chłodne i nienasłonecznione.

* * *

Leżała na łóżku. Wiedziała, że go usłyszy, gdy będzie wchodził do domu, ale i tak nie mogła spać – zapadała jedynie w krótkie, gęste od snów drzemki: Ben i ona w łóżku, Ben przed kominkiem, popijający wonną, różową herbatę, Ben, który spogląda na jej obraz i blednie... Marek wdrapujący się na schody – nogi obsuwają mu się i ślizgają, minę ma zawziętą; Marek przycupnięty nad listkiem paproci, z napięciem wpatrzony w jego ciasno zwinięty koniuszek, jakby pragnął rozwinąć liść siłą spojrzenia. Marek, który pulchnymi, umorusanymi, lśniąco wilgocią dłońmi urabia glinę, wygładza, przerabia, obrzuca krytycznym spojrzeniem, niebaczny na obecność matki... Molly usiadła nagle, całkiem obudzona. On wszedł do mu. Słyszała skrzywienie schodów pod jego nogami. Przystanął, nasłuchiwał. Musiał wyczuć moją obecność – pomyślała Molly i jej serce przyspieszyło rytm. Podeszła do drzwi pracowni, by tam na niego zaczekać.

Miał z sobą świecę. Przez chwilę nie zauważył Molly. Postawił świecę na stole i dopiero wtedy rozejrzał się ostrożnie dookoła.

– Marek! – zawołała cicho Molly. – Marek!

Płomień świecy rozjaśnił jego twarz. Twarz Bena – pomyślała Molly – ale trochę i z niej samej. Marek wykrzywił się, a kiedy Molly postąpiła krok w jego stronę, on cofnął się na tę samą odległość.

– Marek? – powtórzyła, czując, jak twarda, zimna dłoń ścisną jej serce, boleśnie zapierając oddech. Co oni mu zrobili? Zbliżyła się jeszcze o krok.

– Po co tu przysłaś?! – krzyknął nagle chłopiec. – To jest mój pokój! Po co tu wróciłaś? Nienawidzę cię!

Rozdział 19

Stalowa dłoń wzmocniła uścisk. Molly po omacku odnalazła framugę drzwi i uchwyciła się jej z całych sił.

– Po co ty tu przychodzisz? – wyszeptała. – Po co? – Wszystko przez ciebie! Wszystko popsulaś! Oni się ze! mnie śmieją, zamykają mnie za karę.

– A mimo to przychodzisz tu. Dlaczego?

Marek rzucił się nagle ku ławie z figurkami i jednym zamachem ręki zmiotł wszystko na ziemię. Słoń, głowy, stopa, dłonie – figurki rozprysły się o podłogę, a on sam skakał po nich druzgocąc skorupy, szlochając spazmatycznie, wydając nieartykułowane dźwięki. Molly nie poruszyła się. Atak szaleństwa minął równie nagle, jak się zaczął. Marek spojrzał na ziemisty pył pokrywający podłogę, na zachowane tu i tam szczątki figurek.

– To ja ci powiem, czemu tu przychodzisz – rzekła cicho Molly. Cały czas mocno trzymała się framugi. – Zamykają cię za karę w komórce, prawda? A ty się wcale nie boisz. W tej komórce możesz usłyszeć sam siebie. W wyobraźni widzisz glinę, kamień, któremu nadasz kształt. Widzisz, jak wyłania się z niego forma – to tak, jakbyś ją uwalniał, po zwał ją swobodnie zaistnieć. To drugie ja, które do ciebie przemawia, wie, jaki to kształt drzemie w glinie. Mówi ci to przez twoje własne ręce, w snach, w obrazach, których nikt poza tobą nie może zobaczyć. A oni, ci powtarzają, że jesteś chory albo niedobry, albo nieposłuszny. – mówią tak, prawda?

Marek przyglądał jej się teraz z uwagą. – Prawda? – powtórzyła Molly.

Kiwnął głową.

– Oni tego nigdy nie pojmą, Marku. Oni nie słyszą, jak szepcze, jak ciągle szepcze to drugie ja. Nie widują takich obrazów. Nie dociera do nich nawet cień, nawet echo tamtego ja – tłumia je bracia i siostry. Szept staje się coraz słabszy, obrazy blakną, aż w końcu znikają zupełnie i tamto ja się poddaje. Może umiera. – Molly przerwała, popatrzyła na Marka i rzekła cicho: – Przychodzisz tu, bo tu właśnie odnajdujesz swoje drugie ja, tak samo jak ja odnalazłam moje. „A to o wiele ważniejsze niż wszystko, co ni mogą ci dać – albo odebrać.

Marek spuścił wzrok na podłogę, gdzie walały się szczątki figurek, i otarł twarz ramieniem.

– Mamo... – powiedział i urwał nagle.

Molly zbliżyła się do niego. Udało jej się to zrobić, zanim znów przemówił. Przytuliła chłopca z całej siły, a on przylgnął do niej. Oboje płakali,

– Szkoda, że to wszystko rozwaliłem.

– Zrobisz nowe, jeszcze więcej.

– Chciałem ci je pokazać.

– Obejrzałam sobie wszystkie. Były bardzo udane. Szczególnie ręce.

– Ręce były trudne. Palce ciągle tak śmiesznie wychodziły, nie wiedziałem, co zrobić, żeby przestały być śmieszne.

– Ręce są zawsze najtrudniejsze.

Marek odsunął się od niej, a Molly uwolniła go z uścisku. Znowu przesunął ręką po twarzy.

– Chcesz się tu chować?

– Nie, oni wrócą, będą mnie szukali.

– Po co tu przysłaś?

– Żeby dotrzymać obietnicy – odparła cicho. – Pamiętasz nasz ostatni spacer na wzgórze, kiedy chciałeś wdrapać się na sam szczyt, a ja ci obiecałam, że zrobimy to następnym razem? Pamiętasz?

– Mam tu trochę jedzenia. Możemy je z sobą zabrać powiedział przejęty Marek. – Robię sobie

zapasy, żebym miał co jeść, gdyby mi się zachciało.

– Świetnie, zabierzemy je. Wyruszmy, jak tylko trochę się rozwidni.

* * *

Dzień był piękny, jedynie na północnym krańcu nieskazitelnie czystego nieba widniały pierzaste chmurki. Każde wzniesienie, każda odległa góra, odcinały się ostro na horyzoncie – za wcześnie było na mgłę, wiał łagodny, ciepły wietrzyk. Cisza była tak doskonała, że ani kobiecie, ani chłopcu nie śpieszyło się, by zmącić ją słowami, toteż wędrowali w milczeniu. Kiedy stanęli na odpoczynek, Molly uśmiechnęła się do Marka, a on odpowiedział uśmiechem i ułożył się z rękami pod głowę, wpatrzony w niebo.

– Co tam masz, w tym wielkim worku? – zapytał później w trakcie wspinaczki. Sam niósł przygotowany przez nią niewielki tobołek, Molly zaś szła objuczona swoim worem, przytroczonym teraz pasami do pleców.

– Zobaczysz – odparła. – To niespodzianka. Jeszcze później Marek oświadczył:

– To jest dalej, niż nam się zdawało, prawda? Zdamy przed zmrokiem?

– Dojdziemy o wiele wcześniej – uspokoiła go. – Ale to rzeczywiście jest daleko. Chciałbyś znów odpocząć? Marek skinął głową. Przsiedli pod świerkiem. Świerki schodzą z gór – pomyślała, przypomniawszy sobie z wszelkimi szczegółami dawne mapy lasów tego regionu.

– Nadal tak dużo czytasz? – zapytała.

Marek poruszył się niespokojnie, spojrział na niebo, na drzewa, w końcu burknął coś niezobowiązująco.

– Ja tak samo – odparła. – W tym starym domu jest mnóstwo książek, prawda? Tylko trzeba bardzo uważać, żeby nie rozsypały się w proch – takie są zbutwiałe. Codziennie wieczorem, kiedy ty już spałeś, czytałam sobie wszystko, co tam było.

– Tamtą o Indianach też czytałaś? – zapytał Marek przewracając się na brzuch. Oparł głowę na rękach. Oni wszystko umieli robić: rozpalać ogniska, budować łodzie, szałas, wszystko.

– A w innej książce jest o chłopcach – chyba z jakiegoś klubu – którzy wyjeżdżali na biwaki i wszystko robili tak, jak dawniej Indianie. Teraz też można by tego spróbować – zakończyła Molly rozmarzonym głosem.

– Czytałem to. Było tam jeszcze o tym, co można jeść w lesie, i tak dalej.

Wędrowali, odpoczywali, mówili o książkach ze starego domu, o rzeczach, które Marek zamierzał wyrzeźbić, podeszli jeszcze kawałek w górę, a po południu stanęli na szczycie, skąd widać było całą dolinę, aż po odległą rzekę Shenandoah.

Molly znalazła płaski, osłonięty kawałek terenu i Marek mógł wreszcie obejrzeć niespodziankę, którą dla niego przygotowała: były tam koce, trochę jedzenia w puszkach, owoce, mięso; sześć placków kukurydzianych i kukurydza do prażenia nad ogniskiem. Po jedzeniu usypali sobie postanie ze świerkowego igliwia i Marek, ziewając, otulił się kocem.

– Co to za hałas? – zapytał po chwili.

– To drzewa – odparła cicho Molly. – Wiatr idzie górą, nawet kiedy my tutaj go nie czujemy. Drzewa i wiatr szepczą sobie nawzajem różne tajemnice.

Marek roześmiał się i ziewnął raz jeszcze:

– To o nas mówią – powiedział. Molly uśmiechnęła się w ciemności.

– Prawie rozróżniam ich słowa – rzekł Marek.

– Już bardzo dawno nie oglądały ludzkiej istoty – odparła Molly. – Dziwią się zapewne, że w

ogóle jeszcze ktoś z nas przetrwał.

* * *

– Ja też nie wracam! – protestował Marek. Zjedli właśnie resztkę placków z kukurydzy i suszonych jabłek, ognisko zostało wygaszone, ziemia wokół wyrównana.

– Posłuchaj mnie, Marku. Oni każą mi wracać na oddział reproduktorek. Rozumiesz, co to znaczy? Już nigdy stamtąd nie wyjdę. Dadzą mi lekarstwa, po których stanę się spokojna, nie będę rozpoznawać ludzi ani rzeczy. Takie będzie moje życie, jeśli tam wrócę. Ale ty? Ty tak wiele musisz się nauczyć. Przeczytać wszystko, co jest w starym domu, zapamiętać z tych książek, ile się da – i potem dopiero nadejdzie może dzień, w którym postanowisz odejść. Ale nie teraz, Marku – dopiero, gdy będziesz mężczyzną.

– Zostaję z tobą.

Molly pokręciła głową.

– Pamiętasz głosy drzew? Kiedy poczujesz się samotny, idź do lasu i posłuchaj, co ci mówią. Może wśród nich usłyszysz i mój głos. Nigdy nie będę daleko, jeśli tylko dobrze się wsłuchasz.

– Dokąd pójdziesz?

– Pójdę w dół rzeki, do Shenandoah, szukać twojego, ojca. Tam dadzą mi spokój.

Oczy Marka zaszkliły się łzami, ale chłopiec nie uronił ani jednej. Podniósł swój pakunek i zarzucił go na plecy. Zaczęli schodzić w dół. W połowie stoku przystanęli.

– Stąd już widać dolinę – rzekła Molly. – Dalej pójdziesz sam. Nie patrzył na nią.

– Do widzenia, Marku.

– Czy drzewa będą do mnie mówić, kiedy ciebie nie będzie?

– Zawsze, ilekroć się wsłuchasz. Tamci wierzą, że uratują ich miasta – a przecież miasta są martwe, leżą w gruzach. Za to drzewa żyją i przemówią do ciebie, kiedy tylko będziesz ich potrzebował. Obiecuję ci to, Marku.

Marek podszedł i objął ją bardzo mocno.

– Kocham cię – powiedział.

Potem odwrócił się i ruszył w dół, a Molly patrzyła za nim, póki mogła go dostrzec przez łąy.

Odczekała, aż wyłoni się z lasu i wejdzie w otwartą dolinę. Potem odwróciła się i poszła na południe, w stronę Shenandoch. Przez całą noc szeptały do niej drzewa. Kiedy się obudziła, wiedziała już, że drzewa uznały ją za swoją: nie uciszyły się, jak zwykle rankiem. A ponad i pod, i pomiędzy ich głosami Molly słyszała głos rzeki, bardzo jeszcze odległy, za nim zaś jeszcze inny, który musiał należeć do Bena, coraz potężniejszy, w miarę jak się do niego zbliżała.

Czuła teraz zapach świeżej wody. Głosy rzeki, drzew i Bena zlały się w jedno wielkie wołanie: szybciej; szybciej! Pobiegnęła ku niemu z radością. Pochwycił ją i zanurzyli się razem w chłodną, słodką wodę.

Rozdział 20

Ciemności nowego dormitorium rozjaśniało jedynie kilka słabych żarówek, rozmieszczonych wzdłuż korytarza w regularnych odstępach. Marek przemknął przez hall i wszedł do jednego z pokoi. Ciemność nie pozwalała domyślać się szczegółów: w pierwszej chwili widać było jedynie zarysy ciał śpiących na białych łóżkach chłopców. Okna wyglądały jak czarne dziury.

Marek stanął tuż przy drzwiach, czekając, aż jego wzrok przywyknie do ciemności. Sylwetki chłopców zaczęły stopniowo wynurzać się z mroku, widać już było ciemne i, jasne płaszczyzny ramion, twarzy, włosów. Bose stopy Marka bezszelestnie sunęły po podłodze do pierwszego łóżka. Marek przystanął – tym razem na krócej. Chłopiec na pryczy ani drgnął. Marek powolutku otworzył butelkę atramentu z jagód i owoców leszczyny, po czym zanurzył w płynie cieniutki pędzelek. Buteleczkę niósł przedtem na piersi, była ciepła. Z wielką ostrożnością pochylił się nad śpiącym i szybkim pociągnięciem pędzla wymalował mu na policzku cyfrę 1. Chłopiec nie poruszył się nawet.

Marek przeszedł do drugiego łóżka i znów przystanął, aby upewnić się, że właściciel pryczy twardo śpi. Tym razem wymalował dwójkę.

Wkrótce opuścił sypialnię i przeszedł do następnej, gdzie powtórzył dokładnie te same czynności. Jeżeli któryś z chłopców spał na brzuchu, skrywając twarz w poduszce, Marek wypisywał mu numer na dłoni lub ramieniu.

Na krótko przed świtem zakręcił butelkę z atramentem i przekradł się do swojego pokoju – pomieszczenia, które z trudem mieściło łóżko i kilka ulokowanych nad nim półek. Atrament ustawił tak, żeby każdy, kto wejdzie, musiał go natychmiast dostrzec. Usiadł po turecku na łóżku i czekał.

Był chłopcem drobnej budowy, o ciemnych, bardzo gęstych włosach, które sprawiały, że jego głowa wydawała się zbyt duża. Jedyłą uderzającą cechą – jego urody były oczy tak intensywnie niebieskie i głębokie, że nie do zapomnienia. Marek siedział cierpliwie, nikły uśmiezek na jego ustach pogłębiał się i ulatniał, aby zaraz znów powrócić. Niebo za oknem rozświetliło się: była wiosna i w powietrzu drżał blask nie spotykany o żadnej innej porze roku.

Nagle dobiegły go głosy, szeroki uśmiech rozciągnął mu wargi. Były to głosy donośne i gniewne. Marek wybuchnął niepohamowanym śmiechem, od którego całkiem osłabł. Wówczas drzwi się otworzyły i do pokoju weszło pięciu chłopców. W środku było tak ciasno, że chłopcy musieli ustawić się w szeregu, z nogami przyciśniętymi do łóżka.

– Dzień dobry, Jeden, Dwa, Trzy, Cztery, Pięc – powitał ich Marek, krztusząc się ze śmiechu. Twarze chłopców oblały się rumieńcem złości, a Marek aż zgiął się wpół, z trudem hamując chichot.

* * *

– Gdzie on jest? – zapytała Miriam, która weszła właśnie do sali konferencyjnej i stała jeszcze w drzwiach.

Główne miejsce przy stole zajmował Barry.

– Usiądź, Miriam – poprosił. – Czy wiesz, co on zrobił? Miriam usiadła na wprost niego i kiwnęła głową.

– Wszyscy już wiedzą. Wszędzie się już rozniosło, każdy o tym mówi.

Popatrzyła na pozostałych uczestników zebrania: wszyscy lekarze, Lawrence, Tomasz, Sara... Walne zebranie rady.

– Czy on coś mówił?

Tomasz wzruszył ramionami.

- Nie zaprzeczył.
- Powiedział, po co to zrobił?
- Żeby móc ich rozróżnić – odparł Barry.

Przez ułamek sekundy Miriam miała wrażenie, że słyszy w tonie Barryego nutkę rozbawienia, ale jego mina wcale tego nie potwierdzała. Miriam była jak sparaliżowana ze złości; czuła się w pewnym sensie odpowiedzialna za tego chłopca, za jego niestosowne zachowanie. Nie pozwoli na to – myślała z wściekłością. Pochyliła się, opierając dłonie mocno o blat stołu, i kategorycznym tonem zadała pytanie:

– Co zamierzacie z nim zrobić? Dlaczego nikt go nie pilnuje?

– Zebraliśmy się właśnie po to, aby odpowiedzieć sobie na te pytania – odrzekł Barry. – Masz jakieś propozycje?

Miriam zaprzeczyła ruchem głowy, nadal wściekła, nieprzejednana. Pomyślała, że przecież nawet nie powinno jej tu być. Ten chłopak nic dla niej nie znaczył, od samego początku unikała go, jak mogła. Zapraszając ją na zebranie, członkowie rady stworzyli między nią a Markiem powiązanie, które w rzeczywistości nie istniało. Miriam raz jeszcze pokręciła przecząco głową, po czym zagłębiła się w fotelu, jakby na podkreślenie własnej obojętności dla dalszego przebiegu obrad.

– Ukarać go musimy – rzekł Lewis, przerywając chwilową ciszę. – Pozostaje pytanie: jak?

Jak? – zamyślił się Barry. Nie poprzez odosobnienie: Marek dążył przecież do samotności, szukał jej na każdym kroku. Dodatkowa praca też wykluczona: chłopiec nie skończył jeszcze odpracowywać swojego ostatniego wybryku. Zaledwie trzy miesiące wcześniej dostał się do pokojów dziewcząt i tak pozamieniał wstążki i szarfy, że żadna grupa nie mogła się ubrać jak należy. Przywrócenie porządku trwało wiele godzin. A teraz ta nowa historia; atrament nie da się zmyć przez parę tygodni.

Lawrence przemówił ponownie, z namaszczeniem, z głębokim namysłem:

– Musimy się przyznać do błędu – oświadczył. – Nie ma dla niego miejsca wśród nas. Rówieśnicy go odtrącają, nie przyjaźni się z nikim. Bywa na przemian kapryśny i konsekwentny, błyskotliwy i tumanowaty. Pomyliliśmy się w jego przypadku. Na razie jego wybryki to po prostu dziecinne kawały, nic więcej – ale za pięć lat? Za dziesięć lat? Czego możemy się po nim spodziewać w przyszłości? Lawrence kierował swe pytania do Barryego.

– Za pięć lat, jak sam wiesz, będzie pracował z dała od nas, na rzece. Potrzebujemy metody na teraz, na kilka najbliższych lat, aby go trochę ujarzmić.

Sara, poruszyła się nieznacznie i Barry oddał jej głos.

– Wiemy już, że odosobnienie nie budzi w nim skruchy – rzekła Sara. – Jest samotnikiem z natury, toteż najdotkliwszą karą będzie dla niego właśnie zakaz przebywania w samotności, której tak bardzo pragnie.

Barry pokręcił głową.

– Rozważaliśmy to już kiedyś – odparł. – Wyrządzilibyśmy krzywdę pozostałym dzieciom, zmuszając je do ciągłego przebywania z nim, z obcym. On sieje zamęt wśród rówieśników, jego kara nie może ich dotknąć.

– Nie mówię o rówieśnikach – sprostowała Sara z naciskiem. – Ty i twoi bracia głosowaliście za umieszczeniem go tutaj w celu obserwowania zasad życia w pojedynkę, które można by z kolei wpajać innym. Macie obowiązek przyjąć go do siebie, wymierzyć mu karę, którą będzie konieczność ciągłego przebywania z wami, pod waszym bacznym nadzorem. Jeśli odrzucacie takie rozwiązanie, przyznajcie, że Lawrence ma rację: popełniliśmy błąd, który lepiej naprawić teraz, zanim nabierze zbyt pokaźnych rozmiarów.

– Chcesz więc nas ukarać za wybryki tego chłopca? zapytał Bruce.

– Tego chłopca wcale by tu nie było, gdyby nie ty i twoi bracia – odparła dobitnie Sara. – Bądź łaskaw przypomnieć sobie, że na pierwszym walnym zebraniu rady w jego sprawie wszyscy oprócz was głosowali za pozbyciem się go. Od samego początku przewidywaliśmy trudności; jedynie wasz argument o ewentualnej przydatności chłopca zachwiał naszym głębokim przekonaniem. Jeśli chcecie go zatrzymać – trzymajcie przy sobie, pod własną kontrolą, z dala od innych dzieci, którym wiecznie dokuczają. Ten chłopak to odmieniec, dziwadło, rozrabiaka. Nasze posiedzenia zwoływane są coraz częściej, jego figle są coraz dokuczliwsze. Ile godzin mamy jeszcze spędzić na dyskusjach o jego zachowaniu?

– Sama wiesz, że twoja propozycja jest nierozsądna przerwał jej z irytacją Barry. – Połowę czasu spędzamy w laboratorium, w sekcji reproduktorek, w szpitalu – to nie są miejsca dla dziesięcioletniego chłopaka.

– A więc pozbądźcie się go – podsumowała Sara. Oparła się wygodniej i skrzyżowała ręce na piersi.

Barry spojrzał na Miriam, która siedziała z zaciśniętymi ustami. Odpowiedziała mu lodowatym spojrzeniem. Barry odwrócił się do Lawrence'a.

– Możesz zaproponować jakiegokolwiek inne wyjście? – spytał Lawrence. – Próbowaliśmy już wszystkiego, co nam przyszło do głowy, i żadna metoda nie odniosła skutku. Ci chłopcy dziś rano gotowi byli zabić go ze złości. Następnym razem może dojść do rękoczynów. Pomyślałeś może, co dla nas wszystkich oznacza użycie siły?

Byli istotami nie znającymi przemocy fizycznej. Nigdy nie stosowali kar cielesnych, gdyż uderzenie jednego przynosiło ból całej grupie. Marka to jednak nie dotyczy – po myślał nagle Barry, ale nie powiedział tego głośno. Myśl o skrzywdzeniu Marka, o zadaniu mu fizycznego bólu, budziła w nim głęboką odrazę. Popatrzył po twarzach braci i dostrzegł na nich to samo pomieszanie uczuć, którego i on właśnie doświadczył. Nie wolno im opuścić chłopca. Ten chłopak trzymał klucz do tajemnicy życia w pojedynkę; był im potrzebny. Barry nie chciał śledzić dalej swojej myśli: Marek jest im potrzebny jako przedmiot obserwacji. Wiele cech istoty ludzkiej było dla nich niezrozumiałych Marek mógł być tym ogniwem, które pozwoli wyjaśnić wątpliwości. To, że chłopak był synem Bena, a Ben i jego bracia byli jak jedna istota, nie miało tu żadnego znaczenia. Barry nie czuł, aby jakieś szczególne więzy łączyły go z chłopcem. Nie mogło tu być mowy o żadnych więzach. Gdyby ktoś miał czuć się z nim związany, to Miriam – pomyślał Barry, szukając wzrokiem potwierdzenia z jej strony. Lecz twarz Miriam była kamienna, jej oczy unikały Barry'ego. Zanadto bezwzględna – pomyślał – nazbyt zimna.

A jeśli jednak się mylę – myślał dalej beznamietnie, jakby analizując doświadczenie z materia nieożywioną – jeśli tak, to istotnie błędem byłoby zatrzymać chłopca przy sobie. Jeśli ta jedno dziecko było w stanie zranić nie tylko siostry Miriam, lecz i braci Barry – to ono samo było tu błędem. Niebywałe, że ktoś z zewnątrz był w stanie sięgnąć w głąb i otworzyć stare rany, tak że stały się na powrót świeże, jeszcze trudniej się gojące.

– Moglibyśmy przystać na plan Sary – rzekł nieoczekiwanie Bob. – Ryzyko, naturalnie, istnieje, ale moglibyśmy zająć się tym chłopcem. Za cztery lata – ciągnął patrząc na Sarę – wyśle się go z ekipą budowniczych dróg i odtąd przestanie dla nas stanowić jakiegokolwiek zagrożenie.

A tymczasem przyda nam się, kiedy zaczniemy zapuszczać się w miasta, rozgryzać teren. Może odkrywać ścieżki, błądzić samotnie po lasach i nie grozi mu przy tym niebezpieczeństwo załamania nerwowego z powodu rozłąki. Przyda nam się na pewno.

Sara kiwnęła głową.

– „Jeśli jednak zbierzemy się tutaj znów, tak jak dzisiaj – czy możemy już teraz zgodzić się, że będzie to nasze ostatnie posiedzenie w tej sprawie?”

Bracia Barry wymienili spojrzenia i niechętnie skinęli głowami. „– Zgoda – rzekł Barry. – Albo go poskromimy, albo się go pozbędziemy.”

Lekarze wrócili do gabinetu Barryego, gdzie oczekiwał ich Marek. Drobna, ciemna postać chłopca widniała na tle okna w powodzi jaskrawego słońca. Kiedy się do nich odwrócił i słońce oświetliło go od tyłu, rysy twarzy stały się nieczytelne. Muskane słońcem włosy lśniły rudozłoty – mi pasemkami.

– Co ze mną zrobicie? – zapytał doskonale opanowanym głosem.

– Podejź tutaj i siadaj – polecił mu Barry, zajmując miejsce za biurkiem. Chłopiec przemierzył pokój i przysiadł na samym skraju twardego krzesła, jakby w każdej chwili gotów był poderwać się i uciec.

– Spokojnie – powiedział Bob, który siadł na blacie biurka i przypatrywał się chłopcu, machając nonszalancko nogą. Obecność wszystkich pięciu braci sprawiła, że gabinet Barryego stał się naraz bardzo ciasny. Chłopiec popatrzył na nich kolejno i skupił swą uwagę na Barrym. Nie powtórzył pytania.

Relacjonując mu przebieg zebrania, Barry myślał, że jest w tym dziecku trochę z Bena i trochę z Molly, ale cała reszta musi pochodzić gdzieś z odległej przeszłości, z obcej struktury genetycznej, nikt bowiem w całej dolinie nie przypominał Marka. Marek słuchał w wielkim skupieniu, podobnie jak czasem na lekcji, gdy coś szczególnie go zainteresowało. Bez trudu pojmował sens każdej wypowiedzi.

– Dlaczego oni uznali, że to, co zrobiłem, było takie okropne? – zapytał, kiedy Barry skończył mówić.

Barry spojrzał bezradnie na braci. Tak to właśnie będzie – zdawał się ostrzegać ich wzrokiem. Żadnej płaszczyzny porozumienia. Marek był obcy w każdym calu.

Nagle chłopiec zapytał:

– A jak mam was rozróżniać?

– W ogóle nie ma takiej potrzeby – odparł dobitnie Barry.

Marek wstał.

– Czy mam już teraz spakować rzeczy i przenieść się do was?

– Tak, właśnie teraz, póki inni są w szkole. I natychmiast wracaj.

Marek posłusznie skinął głową. Już w drzwiach zatrzymał się, popatrzył po braciach i spytał niewinnie:

– A może by tak małe, maciupęńkie znaczki farbą na uszach, co?

Otworzył drzwi i wybiegł z gabinetu. Słyszeli, jak pędząc przez korytarz zanosi się śmiechem.

Rozdział 21

Barry rozejrzał się po klasie i w drugim końcu dostrzegł Marka z miną senną i znudzoną. Wzruszył ramionami: a niech się nudzi! Trzej bracia pracowali w laboratorium, czwarty zajęty był w sekcji reproduktorek. Pozostawał wykład, który Marek będzie musiał jakoś wytrzymać, nawet gdyby miał umrzeć z nudów.

– Problem, o którym, jak pamiętacie, była mowa wczoraj – zaczął Barry sięgając do notatek – dotyczy konieczności wykrycia przyczyn, które powodują zahamowania w rozwoju łańcuchów klonów generacji wyższych niż czwarta. Jak dotychczas, jedyną naszą metodą obejścia tej trudności jest ciągłe mnożenie ilości osobników za pomocą klonowania niemowląt poczętych drogą płciową przed ukończeniem przez nie trzeciego miesiąca życia. W ten sposób tworzymy rodziny braci i sióstr, chociaż trzeba przyznać, że nie jest to rozwiązanie optymalne. Czy któreś z was może mi wyjaśnić najbardziej oczywiste wady tej metody? – Barry przerwał i rozejrzał się po klasie. – Karen, słucham.

– Istnieją nieznaczące różnice między dziećmi powstałymi w wyniku klonowania, a tymi, które rodzą się drogą naturalną. Decyduje o tym wpływ organizmu matki na dziecko w okresie przedporodowym, jak również wstrząs porodowy, który może wywołać trwałe zmiany u osobnika zrodzonego drogą płciową.

– Doskonale – pochwalił Barry. – Kto chciałby coś dodać?

– Z początku klonowano dzieci dopiero po ukończeniu drugiego roku życia – powiedział Stuart. – Teraz tak długo się nie czeka, dzięki czemu wszystkie dzieci w rodzinie stają się właściwie klonami.

Barry skinął głową, wskazując na Carla.

– Jeśli w dziecku urodzonym przez matkę odkrywamy wady urazowe, wywołane wstrząsem porodowym, można pozbyć się go bez szkody dla powstałych z niego klonów.

– Trudno to chyba nazwać wadą metody – przerwał mu Barry z uśmiechem. Po klasie przebiegł szmer rozbawienia. Barry odczekał chwilę, po czym rzekł:

– Pamięć genetyczna nie podlega przewidywaniom. Zasady jej działania są nieznane, a składniki zróżnicowane tak dalece, że jeśli zabraknie regulacji i kontroli, zawsze istnieje groźba powstania osobnika o niepożądanych cechach. Wchodzi tu w grę także drugie, jeszcze groźniejsze ryzyko: ryzyko utraty cennych skłonności, ważnych dla naszego społeczeństwa. – Odczekał, aż słowa te dotrą do wszystkich, po czym ciągnął: – Jedyną metodą na zapewnienie sobie przyszłości, ciągłości, jest dla nas nieustanne doskonalenie metod klonowania. Dlatego właśnie musimy rozbudować pracownię, zwiększyć liczbę naukowców, ustalić źródła materiałów, które pozwolą nam na wymianę zużytych urządzeń i wyposażenie w sprzęt nowych laboratoriów. Musimy też znaleźć bezpieczne dojście do takiego źródła czy źródeł.

Ktoś podniósł rękę i Barry ruchem głowy udzielił mu głosu.

– Co będzie, jeśli nie znajdziemy wkrótce dostatecznych ilości sprawnego sprzętu?

– Będziemy zmuszeni decydować się na implantację klonowanych płodów w żywe łożyska. Postępowaliśmy już tak w szeregu przypadków i techniczna strona zagadnienia nie jest nam obca, oznaczałoby to jednak nieekonomiczne wykorzystanie żywych źródeł reprodukcji i konieczność przeprowadzenia drastycznych zmian w harmonogramie. – Rozejrzawszy się po klasie, dodał: – Celem naszym jest zlikwidowanie potrzeby rozmnażania drogą płciową. Dopiero wówczas będziemy w stanie planować naszą wspólną przyszłość. Jeśli potrzebni nam będą budowniczy dróg, wyhodujemy pięćdziesiąt, nawet sto klonów przeznaczonych tylko do tej pracy, będziemy ich od dziecka uczyć budowy dróg, a potem wyślemy tam, gdzie dopełni się ich przeznaczenie. Będziemy

klonować skutników i żeglarzy, wysyłać ich na morze dla badania szlaków wędrówek ryb, które pierwsi podróżnicy wyśledzili w wodach Potomacu. Wyklonujemy setkę rolników, którzy pójdą do pracy zamiast tych, co wolą ślęczeć nad próbkami niż pielć marchewkę.

Ponownie odpowiedział mu śmiech uczniów. Sam Barry także się uśmiechnął: na razie każdy, bez wyjątku, musiał odpracować swoje w polu.

– Po raz pierwszy od dnia, w którym stopa ludzka dotknęła powierzchni ziemi – ciągnął Barry – nie będzie ludzi, którzy minęli się z powołaniem.

– Ani geniuszy – dorzucił od niechcienia jakiś głos. Spojrzawszy w koniec sali, Barry dostrzegł Marka, wciąż rozpartego na krześle, z błyskiem lekkiej ironii w błękitnych oczach. Marek mrugnął do niego porozumiewawczo, nie kryjąc się z tym wcale, po czym zamknął oczy, jakby ponownie zapadał w sen.

* * *

– Chcecie? Coś wam opowiem – zaproponował Marek. Stał pomiędzy dwoma rzędami łóżek, z każdej strony miał trzech chłopców. Bracia Carver, wszyscy jak na komendę, dostali ataku ślepej kiszki. Sześć par oczu popatrzyło na Marka i jeden z chłopców skinął głową. Mieli po trzynaście lat.

– Był sobie Dżin – zaczął Marek, przenosząc się pod okno, gdzie usiadł po turecku na krześle, oświetlony od tyłu promieniami słońca.

– Co to jest dżin?

– Jak będziecie przerywać to nic nie powiem – zezłościł się Marek. – Sami zobaczycie, kto to jest. Ten Dżin mieszkał w głębi lasu i co rok w zimie prawie zamarzał na śmierć: A to dlatego, że lodowate deszcze moczyły go do suchej nitki i zasypywał go śnieg, a Dżin nie miał w dodatku nic do jedzenia, bo wszystkie liście poopadały, a on jadał właśnie liście. Któregoś roku wpadł na pewien pomysł, więc poszedł do wielkiego drzewa świerku i opowiedział mu to, co wymyślił. Z początku świerk nie chciał nawet słuchać. Ale Dżin nie dawał za wygraną. Tak długo powtarzał świerkowi swój pomysł, Aż w końcu świerk powiedział sobie: "Co ja właściwie mam do stracenia? Spróbuję, czemu nie" – i kazał Dżinowi przystąpić do dzieła. Dżin całymi dniami pracował przy liściach świerku, zwijając je i zamieniając w igiełki. Kilkoma igiełkami poprzyszywał później wszystkie liście do gałązek. Gdy skończył, wdrapał się na sam czubek świerku i głośnym okrzykiem wezwał lodowaty wicher naśmiewając się z niego i drwiąc, że już nie zdoła mu dokuczyć, bo on, Dżin, ma dom i pożywienie na całą zimę.

Usłyszawszy to, inne drzewa zaczęły się śmiać i opowiadać jedno drugiemu o szalonym małym Dżinie, który drwi z lodowatego wichru, aż w końcu opowieść ta dotarła do ostatniego drzewa, które rosło tam, gdzie kończy się las, a zaczyna śnieg. Tym ostatnim drzewem był klon, który śmiał się tak serdecznie, że wszystkie liście drżały mu na gałązkach. Lodowaty wicher usłyszał śmiech klonu. Nadciągnął dmąc wściekle i miotając śniegiem i kazał sobie powiedzieć, co tak rozbawiło drzewa. Klon opowiedział lodowatemu wichrowi o szalonym małym Dżinie, który kpi z jego siły, a gniew lodowatego wichru wzmagął się i wzmagął. Wicher dał coraz silniej. Liście klonu poczerwieniały i pożółkły ze strachu, po czym opadły na ziemię i drzewo stanęło przed wiatrem całkiem nagie.

W końcu lodowaty wicher dotarł do świerku i krzykiem rozkazał Dżinowi wyjść. Dżin nie chciał. Ukryty był głęboko między gałęziami świerku; lodowaty wicher nie mógł go dostrzec ani dotknąć. Wiatr zadał z jeszcze większą siłą i świerk zadrżał, ale jego igiełki mocno trzymały się gałęzi i nie zmieniały koloru. Lodowaty wicher wezwał wówczas na pomoc lodowaty deszcz, który okrył cały świerk soplami, ale igiełki trzymały się nadal, a Dżinowi było w środku sucho i ciepło.

Lodowaty wicher rozgniewał się jeszcze bardziej i przywołał na pomoc śnieg. Śnieg padał i padał. Świerk przypominał w końcu wielką śnieżną górę, ale Dżin siedział głęboko, przytulony do pnia i było mu ciepło i radośnie. Wkrótce drzewo otrząsnęło się ze śniegu. Przekonało się, że lodowaty wichur nie może mu nic zrobić.

Lodowaty wichur hulał wokół świerku przez całą zimę, ale ani jedna igielka nie spadła na ziemię, więc kryjówka Dżina była cicha i przytulna, a kiedy zdarzyło mu się czasem skubnąć kawałek igły, świerk mu to wybaczał – przecież to dzięki Dżinowi nauczył się nie truchleć z zimna i nie tracić barwy, nie musiał już nagi i drżący wystawać całą zimę przed lodowatym wichrem, tak jak to czyniły inne drzewa. Kiedy nadeszła wiosna, wszystkie drzewa zaczęły błagać Dżina, żeby i ich liście pozamieniał w igły – i Dżin w końcu przystał na ich prośby. Ale wysłuchiwał tylko tych drzew, które przedtem się z niego nie śmiały. I dlatego właśnie wszystkie drzewa iglaste są wiecznie zielone.

– To koniec? – zapytał jeden z braci Carver. Marek kiwnął głową.

– Co to jest dżin? Mówiłeś, że sami zgadniemy, jak opowiesz do końca.

– To takie coś, co żyje w świerkach – odparł Marek z przewrotnym uśmiechem. – Jest niewidzialny, ale można go czasem usłyszeć. Najczęściej się śmieje. – Marek zeskoczył z krzesła. – Muszę lecieć! – I podążył ku drzwiom.

– W ogóle nie ma czegoś takiego! – zawołał z oburzeniem jeden z braci.

Marek uchylił drzwi i wyrztał ostrożnie na korytarz. Nikt nie powinien go tu widzieć. Następnie spojrzął przez ramię i rzucił w stronę braci:

– A skąd wiecie? Byliście tam chociaż raz, żeby posłuchać, czy on się śmieje; czy nie? – Oddalił się pośpiesznie w obawie przed nadejściem lekarza lub pielęgniarki.

* * *

Nadchodził świt późnomajowego dnia. Na przystani poczęły się gromadzić rodziny odprowadzające sześć załóg braci i siostr, na których czekały już łodzie. Nie była to chwila radosna, nie poprzedził jej wieczorny festyn. Barry stał obok Lewisa, obserwując przygotowania. Obaj milczeli.

Nie można się już było wycofać, Barry to wiedział. Musieli znaleźć źródła zapasów w wielkich miastach – w przeciwnym razie czekała ich śmierć. Trzeciego wyjścia nie było. Płacili nazbyt wysoką cenę, ale Barry nie widział alternatywy. Specjalne przeszkolenie pomagało trochę, ale niedostatecznie. Wysyłanie całych rodzin też trochę pomagało. Mimo to, w czterech ekspedycjach utracili dotychczas dwadzieścia dwie osoby, a dwadzieścia cztery wróciły dotknięte szokiem tej ogniowej próby – dotknięte, być może, w sposób nieodwracalny – a poprzez nie także i ich rodziny. Tym razem było ich trzydzieścioro sześcioro. Mieli pozostać poza domem aż do nadejścia mrozów albo też do czasu jesiennego przyboru rzeki – zależnie od tego, co nadejdzie najpierw.

Jedni mieli budować przesmyk wokół wodospadów, inni kopać kanał między Shenandoah a Potomakiem. Kanał pozwoliłby omijać burzliwy odcinek rzeki, grożący teraz każdej kolejnej wyprawie. Dwie grupy miały kursować między wodospadami a Waszyngtonem, przewożąc to, co znaleziono w mieście przed rokiem. Ostatnia grupa stanowiła patrol rzeczny, który miał, za zadanie likwidację zatorów odnawiających się na kapryśnej rzece każdej zimy.

Ilu powróci tym razem? – zastanawiał się Barry. Wyruszają na dłużej, niż ich poprzednicy, czeka ich bardziej niebezpieczna praca. A zatem – ilu?

– Dom przy wodospadach powinien bardzo im pomóc rzekł nagle Lewis. – Świadomość otwartej przestrzeni dookoła była szczególnie trudna do zniesienia.

Barry skinął głową. Wszyscy powracający skarżyli się na uczucie pełnego obnażenia, bycia śledzonym. Zdawało im się, że świat napiera na nich coraz silniej, że drzewa osaczają ich niebezpiecznie, ledwie słońce zdąży skryć się za horyzontem. Barry odwrócił się do Lewisa i, zapomniawszy co chciał powiedzieć, zaczął bacznie obserwować tik w kąciu jego ust. Lewis mocno zaciskał pięści. Wpatrywał się w odpływające łódki, a kącik ust drgał mu i uspokajał się tylko po to, by znów po chwili zadrgać gwałtownie.

– Nic ci nie dolega? – zapytał Barry. Lewis otrząsnął się i odwrócił wzrok od rzeki. – Lewis? Czy coś ci jest?

– Skądże! Pogadamy później – i Lewis oddalił się pośpiesznie.

– Przebywanie w lesie, zwłaszcza po zmroku, z niezbadanych przyczyn wywołuje wstrząs – oświadczył Barry swoim braciom. Siedzieli we wspólnej sypialni, z odległego kąta obserwował ich siedzący po turecku Marek: Barry nie zwracał na niego – uwagi. Przyzwyczaili się do obecności Marka tak dalece, że prawie go nie dostrzegali, chyba że wchodził im w paradę. Natychmiast jednak zauważali jego zniknięcia, które zdarzały się dość często.

Bracia czekali na dalsze słowa Barryego. O tym, co dotąd powiedział – o lęku przed niemy lasem – wszyscy wiedzieli od dawna.

– Program szkolenia dzieci pod kątem ról społecznych, które będą pełniły w przyszłości, powinien zostać wzbogacony o element dłuższego przebywania w lesie. Na początek mogłoby to być jedno popołudnie, później – biwak z noclegiem, i tak dalej, aż doszlibyśmy do kilku tygodni. Bruce potrząsnął głową.

– A jeżeli da to przeciwny skutek: uraz, który nie pozwoli im później w ogóle wkroczyć do lasu? Przekreślilibyśmy w ten sposób dziesięć lat ciężkiej pracy.

– Można urządzić eksperyment – odparł Barry. – Dwie grupy: męska i żeńska. Jeśli pierwsza próba wykaże reakcje ujemne, można będzie zwolnić tempo, a nawet odłożyć całą rzecz jeszcze na rok lub dwa. Prędzej czy później muszą się tam udać – chodzi o ułatwienie im tego zadania.

Liczbę bliźniaczych klonów w rodzinach, dawniej ustaloną na sześć, zwiększono od pewnego czasu do dziesięciu. – Mamy osiemdziesięcioro dzieci, które niedługo ukończą jedenasty rok życia – powiedział Bruce. – Za cztery lata wszystkie je czeka udział w wyprawie. Jeśli obraz statystyczny nie ulegnie zmianie, w ciągu czterech pierwszych miesięcy od ich wyruszenia stracimy dwie piąte całej osiemdziesiątki, bądź to wskutek wypadków, bądź też obciążeń psychicznych. Uważam, że warto podjąć próbę przyzwyczajania ich do przebywania w lesie i życia w odosobnieniu jeszcze przed wyprawą.

– Potrzebny będzie nadzór – wtrącił Bob. – Któregoś z nas.

– My jesteśmy za starzy – skrzywił się Bruce. – A poza tym, wiemy, że nasza odporność na stresy jest niewielka: pamiętajcie o Benie.

– Właśnie – wpadł mu w słowo Bob. – Za starzy Jesteśmy, żeby coś wskórać, ale tu, na miejscu. Nasi młodszy bracia przejmują coraz więcej funkcji, które pełniemy, a ich mali braciszki już się szykują, by z kolei wskoczyć na ich miejsca. Nie jesteśmy niezastąpieni.

– Racja – przyznał niechętnie Barry. – To nasz pomysł, nasz eksperyment i to my mamy obowiązek kontrolować jego przebieg. Losujemy?

– Będziemy się zmieniać – rozstrzygnął Bruce. – Tak, żeby każdy spróbował.

– Mogę iść z wami? – zapytał nagle Marek, zmuszając ich wszystkich do spojrzenia w swoją stronę.

– Nie – zaprotestował zwięźle Barry. – Wiemy, że dla ciebie las nie jest straszny. Nie chcemy tu żadnych kłopotów, żadnych figli, sztuczek, bufonady.

– No to się zgubicie! – krzyknął Marek. Zeskoczył z łóżka i pobiegł ku drzwiom, gdzie przystanął, by wrzasnąć: – Znajdziecie się w samym środku lasu z całą chmarą zabezpieczonych dzieci i wszyscy powariujecie, a Dzin, patrząc na was, skona ze śmiechu!

W tydzień później Bob poprowadził pierwszą grupę chłopców w las nad doliną. Każdy z nich niósł niewielki pakiecik z prowiantem. Poubierani byli w długie spodnie, koszule i wysokie boty. Patrząc za nimi, Barry nie potrafił odegnać myśli, że to on sam powinien był przeprowadzić pierwszą próbę. Jego pomysł – jego ryzyko. Jakie znów ryzyko? Bob i chłopcy wyszli na przechadzkę po lesie. Zjedzą suchy prowiant, odwrócą się na pięcie i ruszą do domu. Pochwycił spojrzenie Marka. Przez moment wpatrywali się w siebie – mężczyzna i chłopiec – tak zadziwiająco podobni, a zarazem tak od siebie oddaleni, że o żadnym podobieństwie nie mogło być mowy.

Marek odwrócił oczy i znów spojrzał na chłopców, którzy w miarowym tempie pięli się pod górę, dochodząc już do gęstych zarośli. Wkrótce potem zniknęli za drzewami.

– Zgubią się – powiedział Marek. Bruce wzruszył ramionami.

– Przez godzinę się nie zgubią – odparł. – W południe zjedzą coś, odwrócą się na pięcie i ruszą do domu.

Na intensywnym błękitnie nieba widniały białe obłoczki, a wysoko nad nimi ciągnęła się szeroka wstęga chmur pierzastych, bez widocznego początku i końca. Południe miało nadejść za niespełna dwie godziny.

Marek z uporem pokręcił głową, ale nic już nie powiedział. Wrócił na lekcje, potem poszedł na obiad. Po obiedzie miał przez dwie godziny pracować w ogrodzie – i tam to właśnie przysłał po niego Barry.

– Jeszcze ich nie ma – powitał Barry wchodzącego do gabinetu Marka. – Skąd wiedziałeś, że się zgubią?

– Nie rozumieją lasu – wyjaśnił lakonicznie Marek. – Nie widzą tego, co potrzeba.

– To znaczy czego?

Marek bezradnie wzruszył ramionami.

– Różnych rzeczy – odparł. Popatrzył kolejno na wszystkich braci i ponownie wzruszył ramionami.

– Potrafiłbyś ich odnaleźć? – zapytał szorstko Bruce. Głębokie bruzdy poryły mu czoło.

– Tak.

– No to chodźmy – rzekł Barry.

– We dwóch? – upewnił się Marek. – Tak.

Twarz Marka przybrała wyraz zwątpienia.

– Sam zrobiłbym to szybciej – zaproponował.

Barry poczuł wewnętrzne drżenie i gwałtownym ruchem odsunął się od biurka. Opanowywał się ze wszystkich sił. – Nie sam – powiedział. – Chcę, żebyś mi pokazał wszystko, co widzisz. Chcę wiedzieć, jak znajdujesz kierunek tam, gdzie nie ma drogi. Chodźmy już, robi się coraz później. – Popatrzył na kusą tunikę i bosa stopy chłopca. – Idź się przebrać – dodał.

– To całkiem dobry strój na tamte okolice – odparł Marek. – Tam nie ma poszycia.

Zbliżali się do lasu, a Barry rozmyślał nad słowami chłopca. Przyglądał się Markowi, który to wybiegał naprzód, to znów maszerował u jego boku, z rozkoszą chłonąc leśne powietrze, i czuł się w milczącym mroku puszczy jak we własnym domu.

Posuwali się szybko, toteż już wkrótce weszli głęboko w las, tam gdzie korony sędziwych drzew tworzyły w górze nieprzenikalny dla słońca baldachim. Żadnych cieni, żadnego sposobu na określenie kierunku – myślał Barry, dysząc ciężko, gdyż próbował dorównać zwinnemu chłopcu.

Marek ani razu się nie zawahał, nie przystanął – szedł szybko i bardzo pewnie. Barry nie miał pojęcia, jakie ślady każą Markowi wybierać za każdym razem tę drogę, a nie inną. Chciał go nawet o to zapytać, ale oszczędzał oddech na wspinaczkę. Pocił się straszliwie i nogi miał jak z ołowiu.

– Odpocznij chwilę – poprosił. Przysiadł na ziemi, oparty plecami o gigantyczny konar. Marek, który zdążył wysforować się do przodu, zawrócił posłusznie i ukucnął kilka kroków od niego.

– Powiedz mi, czego ty wypatrujesz – poprosił Barry po chwili. – Pokaż mi jakieś ślady ich przejścia.

Marek zdumiał się tym żądaniem.

– Wszystko wskazuje na to, że tędy szli – odparł. Pokazał na drzewo, o które opierał się Barry. – To jest drzewo gorzkiego orzecha. Widzisz? Orzechy. – Zmiótł pył, odsłaniając kilka owoców. Były na wpół przegniłe. – Chłopcy znaleźli je tutaj i wyrzucili. A tu – wskazał znowu – popatrz: młode drzewko. Ktoś przygiął je do ziemi, nie zdążyło się jeszcze wyprostować. No i ślady stóp, które wzburzyły pył i liście na ziemi. To wszystko są drogowskazy mówiące: tędy, tędy.

Barry istotnie dostrzegał znaki, o których mówił mu Marek, ale gdy spojrzał w innym kierunku, zdawało mu się, że i tam dostrzega ślady stóp.

– Nie, to woda – sprostował Marek. – To ślad po strumyku tającego śniegu. Wygląda przecież zupełnie inaczej. – Skąd wiesz tyle o lesie? Od Molly?

Marek przytaknął.

– Ona nigdy by się nie zgubiła. Zapamiętywała każdą napotkaną rzecz – a kiedy zobaczyła ją ponownie, wiedziała, że na pewno dobrze idzie. To ona mnie nauczyła. Albo już się z tym urodziłem, a ona tylko pokazała mi, co robić z całą tą wiedzą. Ja też nigdy nie gubię drogi.

– Mógłbyś nauczyć innych?

– Myślę, że tak. Tobie już pokazałem. Teraz sam mógłbyś poprowadzić, prawda? – Odwrócił się i przebiegłszy spojrzeniem po lesie, znów popatrzył na Barryego. – Wiesz, którądy iść, prawda?

Barry rozejrzał się ostrożnie. Ślady stóp były na ścieżce, którą właśnie przyszli – tam, gdzie pokazał mu je Marek. Dostrzegał też ślad strumyka. Z całych sił wypatrywał nowego drogowskazu. Nie widział nic. Popatrzył na uśmiechniętego Marka.

– Nie – powiedział. – Nie wiem, w którą stronę powinniśmy pójść.

Marek roześmiał się.

– Wszystko przez te kamienie. Chodź. – Ruszył, trzymając się teraz samej krawędzi kamienistej ścieżki.

– Skąd wiedziałeś? – zapytał Barry. – Nic nie widać między kamieniami.

– Ale nie było też śladów gdzie indziej. To jedyna droga, którą mogli wybrać. O, proszę. – Wskazał następne przygięte drzewo, tym razem silniejsze, starsze i mocniej zakorzenione. – Ktoś przyciągnął je do ziemi i puścił, jak sprężynę. Musiało to zrobić kilka osób, bo drzewo jeszcze nie stoi prosto. Widać też, że skopywali kamienie na bok.

Kamienista ścieżka zagłębiała się w ziemię, aż w końcu przeszła w łożysko strumienia. Marek uważnie wpatrywał się w jego brzegi i wkrótce znów zmienił kierunek marszu, pokazując Barryemu ślady stóp. Las był tu gęściejszy, bardziej przytłaczający. Zbocze, na które zaczęli się wspinać, było gęsto porośnięte chojakami; chwilami trzeba było siłą przedzierać się przez splątane gałęzie świerków. Ziemia była tu brunatna, sprężysta, usiana całymi pokoleniami igieł.

Barry uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, aby nie zakłócać ciszy wielkiego lasu. Pojął jednocześnie, dlaczego inni czuli tu jakąś wrogą obecność, coś, co śledziło ich poruszenia między drzewami. To ta cisza – brzmiała jak w świecie snu, gdzie usta otwierają się i zamykają nie wydając dźwięku, gdzie instrumenty muzyczne ogarnia nagła niemota, gdzie człowiek krzyczy – lecz jego krzyk

jest niesłyszalny. Za plecami czuł napierający szwadron drzew.

Nagle Barry uświadomił sobie uczucie, które musiało, nieświadomione, narastać już od dawna: złapał się na tym, że nasłuchuje czegoś ponad i poza ciszą – czegoś, co przypominało głos, czy też głosy pomieszane w szeptach zbyt odległych, aby dało się rozróżnić słowa. Tak jak Molly – pomyślał przeszyty dreszczem lęku. Głosy oddaliły się. Marek przystanął i znów rozejrzał się dookoła.

– Tutaj zmienili kierunek – powiedział. – Pewnie zjedli obiad na górze i postanowili wracać, ale w tym miejscu zgubili drogę. Patrz: odeszli zanadto w bok i coraz bardziej zbaczali z drogi, którą przyszli.

Barry nie zauważył żadnych śladów potwierdzających tezę Marka, ale wiedział, że w tym ciemnym lesie jest absolutnie bezradny i zdany na chłopca.

Znowu poszli w górę. Świerki przerzedziły się, ustępując miejsca osikom i topolom okalającym strumień.

– Jak mogli nie zauważyć, że tego tu przedtem nie było! – oburzył się z niesmakiem Marek. Szedł teraz prędzej. Znowu przystanął, uśmiechnął się na chwilę, ale zaraz potem na jego twarz wystąpił wyraz troski.

– W tym miejscu niektórzy zaczęli biec – powiedział. Poczekaj. Zobaczą, czy połączyli się tam dalej, czy też będziemy musieli szukać jakiejś zguby.

Zniknął, nim skończył wypowiadać ostatnie słowa, a Barry osunął się na ziemię gotów czekać w nieskończoność. Głosy powróciły niemal natychmiast. Popatrzył na pozornie nieruchome drzewa. Wiedział, że to poruszane wiatrem korony drzew wydają szelest podobny do mowy – a jednak przez cały czas starał się wyłowić z ich szumu chociaż jedno słowo. Złożył głowę na kolanach, próbując siłą woli zmusić głosy do milczenia.

Czuł pulsowanie w nogach, był bardzo zgrzany. Strużki potu spływały mu po plecach, więc zgarbił się jeszcze bardziej, aż koszula przylgnęła do ciała i wchłonęła pot. Zrozumiał, że ich gatunek nigdy nie nauczy się żyć w puszczy. To wrogie otoczenie, przepojone duchem nieżyczliwości, stłamsiłoby ich, odwiodło od zmysłów, uśmierciło. Poczul nagle obecność owego tajemniczego czegoś, co napierało na niego, zbliżało się, już prawie dotykało... Podniósł się gwałtownie i ruszył w ślad za Markiem.

Rozdział 22

Barry znów posłyszał głosy – tym razem rzeczywiste, dziecięce. Zatrzymał się.

– Nic ci nie jest, Bob?! – zawołał na widok brata. Bob był wycieńczony, twarz miał umorusaną. Ciężko dysząc, kiwnął głową i pomachał Barry'emu.

– Szli w górę – oznajmił Marek, stając nagle u boku Barry'ego. Nadszedł z innej strony, tak że dostrzegli go, dopiero gdy przemówił.

Z wolna gromadzili się też chłopcy, z których każdy wyglądał o wiele gorzej niż Bob: Na niektórych twarzach widać było ślady łez. Dokładnie tak, jak przewidział Marek – pomyślał Barry.

– Sądziłeś, że gdy wejdziemy wyżej, uda nam się stwierdzić, gdzie właściwie jesteśmy – rzekł Bob popatrując w stronę Marka, jakby szukał u niego aprobaty.

Marek pokręcił głową.

– Jeśli się zgubi drogę, trzeba zawsze schodzić w dół, ze strumieniem – powiedział. – Mały strumień doprowadzi do większego, a tamten z kolei – do rzeki. Wzdłuż rzeki można dojść tam, gdzie się chce.

Chłopcy wpatrywali się w Marka z jawnym uwielbieniem.

– A ty znasz drogę na dół? – zapytał któryś.

Marek skinął głową.

– Najpierw chwilkę odpocznijcie – poradził Barry. Nie słyszał już głosów, (as stał się na powrót tylko ciemnym lasem, wolnym od wszelkich stworów.

Marek sprowadził ich na dół bardzo szybko – nie tą drogą, którą wchodzili, ani nie tą, którą przemierzył z Barrym, lecz prosto, na skróty, dzięki czemu już po upływie pół godziny mogli ujrzeć dolinę.

– Błędem było wystawiać ich na podobne ryzyko rozgniewał się Lawrence. Odbywało się pierwsze po leśnej przygodzie zgromadzenie rady.

– Muszą się nauczyć przebywania w lesie – zaproponował Barry.

– Wcale nie muszą żyć w lasach. Najlepszy sposób na lasy, to omijać je tak szybko, jak tylko się da. Wybudujemy chatę za wodospadem, w której będą mieszkać tak samo jak tu – na otwartej przestrzeni.

– Obecność lasu staje się odczuwalna zaraz po opuszczeniu doliny – argumentował Barry. – Każdy, kto był w lesie, wspomina uczucie lęku przed osaczającymi go, grożącymi mu drzewami. Do tego właśnie trzeba się przyzwyczaić.

– W ogóle nie wyślemy ich do lasu – oświadczył Lawrence, pragnąc zamknąć dyskusję. – Zamieszkają w baraku nad rzeką, a kiedy przyjdzie ruszyć w drogę, popłyną łodzią i zatrzymają się dopiero na kolejnej otwartej przestrzeni, gdzie znów czekać ich będzie przyzwoite schronienie. Tam, gdzie las został odegnany na bezpieczną odległość i nigdy już nie powróci. – Mówiąc, podkreślał wagę słów uderzeniami pięścią w stół.

Barry patrzył na niego z goryczą.

– Prace w laboratoriach możemy prowadzić jeszcze najwyżej przez pięć lat. Pięć lat, Lawrence! W tej chwili mamy w dolinie prawie dziewięćset osób; większość to dzieci, szkolone w kierunku poszukiwania tego, co jest nam niezbędne do utrzymania się przy życiu. Na brzegach twoich wymarzonych uregulowanych rzek nie znajdą niczego! Czekają je wyprawy do Nowego Jorku, do Filadelfii, do New Jersey. Kto ma przed nimi iść i trzebić lasy? Musimy już od dziś uczyć te dzieci, jak mają sobie radzić z lasem. W przeciwnym razie zginiemy. I to wszyscy!

– Błędem było porywać się na to wszystko – odparł Lawrence. – Trzeba było na samym

początku sprawdzić, na jakie znaleziska możemy liczyć i co przywieźć do doliny, zanim sprawa zabrnęła tak daleko.

Barry przytaknął.

– Trzeba było wybierać: albo – albo – powiedział. – I wybraliśmy. Każdy rok zwłoki to zgoda na to"że mniej znajdziemy u celu wyprawy. A musimy zgromadzić wszystko, co się da. Inaczej wyginieemy – być może nieco wolniej, niż by na to wskazywał obecny harmonogram, ale koniec będzie tak samo straszny. Nie przeżyjemy bez narzędzi, bez maszyn, bez informacji, które zostały w miastach. Skazani jesteśmy na pójście tą drogą, a więc musimy zrobić wszystko, aby jak najbardziej uodpornić dzieci na trudy przyszłych wypraw.

Pięć lat – myślał – i ani dnia więcej. Tyle tylko czasu mieli na znalezienie źródła sprzętu laboratoryjnego: połączeń, zbiorników z nierdzewnej stali, wirówek. I części do komputerów, instalacji, obwodów scalonych. Wiedział, że przedmioty, o które im chodzi, były niegdyś pieczołowicie magazynowane – potwierdzały to posiadane przez nich dokumenty. Na pewno trafią na właściwe magazyny, hermetycznie pozamykane, wodoszczelne, z całymi kilometrami ciasno zapełnionych półek. Ryzykiem było tak raptownie powiększać liczbę dzieci – ale było to ryzyko podjęte świadomie, z pełną znajomością konsekwencji ewentualnego błędu. Jeszcze przed upływem pięciu lat mógł im grozić głód; dyskusje nad tym, czy dolina zdoła wyżywić ponad tysiąc osób, ciągnęły się bez końca. Konieczna odnowa bazy materiałowej wymagała jednak mnóstwa ludzi – za pięć lat okaże się, czy podjęcie ryzyka było słuszną decyzją.

Czterysta pięćdziesięcioro dzieci w wieku od pięciu do jedenastu lat – oto cała nasza pula – myślał Barry. – Oto właściwy rozmiar ryzyka. Za cztery lata pierwsza osiemdziesiątka dzieci opuści dolinę, być może na zawsze. Jeśli jednak uda im się powrócić, jeśli choćby kilkoro powróci z materiałami, z informacją o Filadelfii czy Nowym Jorku, z czymkolwiek, co przedstawiać będzie jakąś wartość – gra zostanie wygrana.

Ustalono, że ułożony przez Barryego program szkolenia zostanie wprowadzony na prawach eksperymentu: na próbę wystawi się nie więcej niż trzy grupy – trzydzieścioro dzieci. Jeśli dzieci wyjdą z tej próby z defektami psychicznymi, nie będzie się ich ratować, cały zaś eksperyment zostanie niezwłocznie przerwany. Barry opuścił zebranie z uczuciem zadowolenia.

– Co ja z tego będę miał? – dopytywał się Marek.

– Nie rozumiem...

– To proste: wy zyskujecie nauczyciela, dzieci będą miały szkolenie – a ja?

– A czego byś chciał? Będiesz miał towarzystwo – to i tak więcej, niż dotąd miałeś.

– Nie zechcą się ze mną bawić – odparł Marek. – Będą mnie słuchać, bo mają stracha i wiedzą, że ja się nie boję. Ale bawić się ze mną nie zechcą. Dajcie mi znowu własny pokój.

Barry popatrzył na braci i zrozumiał, że natychmiast zgodzą się na żądanie Marka. Jego obecność we wspólnej sypialni była nader uciążliwa. Na mocy cichej umowy nie rozwijali przy nim maty, musieli też uważać na każde słowo – przynajmniej wtedy, kiedy pamiętali o obecności chłopca. Barry skinął głową.

– Ale nie w budynku chłopców, tylko tutaj.

– Wszystko mi jedno.

– A więc zrobimy tak. Każda grupa będzie wychodzić raz na tydzień; z początku na nie dłużej niż godzinę dziennie i najwyżej o parę minut spacerem od miejsca, skąd widać dolinę. Po kilku takich próbach z ograniczeniem czasu i odległości, zabierzesz ich dalej i dłużej przetrzymasz w lesie. Czy znasz jakieś gry, którymi mogliby się tam zająć? Zabawa ułatwiłaby im zapewne przystosowanie się do leśnych warunków... – Nie było już sposobu na pominięcie Marka w planowaniu tej fazy treningu.

Marek siedział na wysokiej gałęzi, osłonięty od dołu gęstym baldachimem liści, i patrzył, jak chłopcy błędzą po brzegach polany w poszukiwaniu ścieżki, którą kazał im pójść. Jakby nie mieli oczu – dziwił się. Naprawdę zależało im tylko na trzymaniu się razem, nie pozwalali się rozdzielić nawet na moment. Była to w tym tygodniu już trzecia próba zabawy terenowej z klonami. W dwóch poprzednich grupach także się nie powiodło.

Z początku Marek lubił wyprawy z dziećmi. Cieszył go i zaskakiwał ich szczery podziw, po raz pierwszy poczuł, że dzieląca ich przepaść mogłaby się zmniejszyć, gdyby chłopcy przyswoili sobie pewne umiejętności, gdyby mogli bawić się razem z nim pomiędzy szepczącymi drzewami. Teraz wiedział, jak płonne były tamte nadzieje. Przepaść między nim a klonami stała się głębsza niż kiedykolwiek, a początkowy podziw zmienił się w coś, czego Marek nie potrafił pojąć. Wydawało mu się, że lubią go teraz jeszcze mniej niż dawniej, że się go niemal boją – a już na pewno traktują z niechęcią.

Gwizdnął i obserwował, jak reakcja na ten dźwięk dokonuje się w nich wszystkich równocześnie – jak w źdźbłach trawy poruszonych nagłym podmuchem wiatru. Nawet znając kierunek, nie potrafili trafić na ślad. Pełen niesmaku, Marek opuścił drzewo, ześlizgując się w dół po pniu, a tam, gdzie kora była zbyt chropawa – przerzucając zwinnie ciało z gałęzi na gałąź. Przyłączył się do chłopców i spojrzał na Barryego, którego mina zdradzała podobne uczucie niesmaku.

– Wracamy? – zapytał któryś z chłopców.

– Jeszcze nie – odparł Barry. – Marku, zabierz z sobą dwóch chłopców. Oddalcie się trochę i spróbujcie schować. Zobaczymy, czy reszta was znajdzie.

Marek kiwnął głową. Przyglądając się po kolei dziesięciu chłopcom, myślał, że to i tak wszystko jedno, których z sobą zabierze. Wskazał palcem na dwóch najbliższych stojących i odwróciwszy się wszedł w głąb lasu. Chłopcy deptali mu po piętach.

Znowu zostawiał ślady, które powinien dostrzec każdy, kto miał oczy, ledwie zaś zniknęli z pola widzenia grupy, zaczął zataczać koło, aby zająć chłopców na polanie od tyłu. Nawet nie starał się specjalnie oddalić – tamci nie potrafili prześledzić trapu nawet na przestrzeni paru metrów. Wreszcie przystanął. Przyłożył palec do ust, a pozostała dwójka skinęła porozumiewawczo głowami, po czym wszyscy przysiedli na trawie w oczekiwaniu. Chłopcy byli bardzo wystraszeni: siedząc, dotykali się dłońmi, stopami. Marek posłyszał głosy pozostałych ośmiu braci: wcale nie szli po śladach, lecz maszerowali wprost na nich. Zorientował się nagle, że idą za szybko. A przecież nie było to bezpieczne.

Bracia, którzy towarzyszyli Markowi, poderwali się z przejścia na nogi, a już po chwili cała reszta wtargnęła pędem w pole widzenia. Scena odnalezienia była podniosła i triumfalna. Nawet Barry wydawał się zadowolony. Marek obserwował ich z boku. Zrezygnował z ostrzegania chłopców przed zbytnim pośpiechem w poruszaniu się po lesie.

– Na dzisiaj starczy – zdecydował Barry. – Było bardzo dobrze. Bardzo dobrze, chłopcy. Kto pokaże drogę do domu?

Podekscytowani pierwszym sukcesem w leśnych eskapadach, chłopcy zaczęli pokazywać każdy w inną stronę, śmiejąc się przy tym i poszturchując wzajemnie. Barry śmiał się razem z nimi.

– Lepiej już sam was stąd wyprowadzę – oświadczył. Rozejrzał się za Markiem, ale Marka nie było. Barryego przeszył dreszcz strachu. Tak nagły, że ledwie zauważalny. Odwróciwszy się, Barry ruszył w kierunku ogromnego dębu, który rósł na samej krawędzi zbocza nad doliną. Tyle przynajmniej zdążył się nauczyć, a i chłopcy – jak mu się zdawało – też powinni już znać tę zasadę.

Triumfalny uśmiech, wywołany niedawnym sukcesem, gdzieś się rozplynął. Barry znów poczuł na barkach brzemie wątpliwości i rozczarowania.

Jeszcze dwukrotnie odwrócił się wypatrując Marka, nie dostrzegł go jednak wśród leśnej gęstwiny. Marek widział go doskonale, ale nie reagował. Patrząc na podrygujących, rozchichotanych, wciąż szukających się dłońmi chłopców, poczuł, że pieką go oczy, a wewnątrz ciała wzbiera jak fala mdłości nieokreślona pustka. Kiedy zeszli już tak nisko w dolinę, że przestał ich widzieć, Marek wyciągnął się na ziemi i spojrzał w górę przez potężne gałęzie, które przesłaniały niebo, rozbijając je na płaszczyzny. światła – to czarne na białym, to znów białe poprzez czarne. Gdy mrużył oczy, czerń rozplywała się i królowały płaszczyzny światła, gdy otwierał – jasne plamy znowu się kurczyły.

– Nienawidzą mnie – wyszeptał Marek, a drzewa szepnęły mu coś w odpowiedzi, lecz nie potrafił rozróżnić słów. To tylko liście na wietrze – pomyślał nagle chłopiec. Wcale nie głośy. Usiadł i cisnął garścią zbutwiałych liści w najbliższy pień. Zdawało mu się, że usłyszał czyjś śmiech. Dzin!

– Ciebie też nie ma – powiedział cicho Marek. – Wymyśliłem cię. Ze mnie nie możesz się śmiać.

Odgłos utrzymywał się, narastał, aż nagle Marek poderwawszy się, ujrzał przez ramię czarny zwał chmur, który formował się na niebie przez całe popołudnie. Drzewa wykrzykiwały teraz ku niemu ostrzeżenia. Marek zaczął zsuwać się ze wzgórza, lecz nie śladem chłopców i Barryego: kierował się ku starej chacie na farmie.

Dom stał całkiem ukryty w gęstwinie krzaków i drzew. Jak pałac Śpiącej Królowej – pomyślał śpieszący ku niemu Marek. Wiatr szalał, miotał garściami błota, odłamkami gałęzi, zerwanymi z drzew liśćmi. Chłopiec wczołgał się między krzewy, gdzie wichur nie mógł dotrzeć. Niebo szybko ciemniało, wiatr zdawał się niebezpieczny. Trąba powietrzna – jak mawiali ludzie. Dwa lata temu przeżyli serię cyklonów; teraz każdy się ich obawiał.

Był już w domu, ale nie myślał o odpoczynku. Otworzył ukryty za płataniną wierzbowych gałęzi zsyp na węgiel i zjechał w dół, lądując zwinnie w czarnej piwnicy. Ręką odszukał świecę i zapaliki sztormowe, po czym ruszył na górę, skąd mógł obserwować zmiany pogody przez szparę w zabitym deskami oknie sypialni na piętrze. Cały dom został pozabijany deskami: wszystkie drzwi, okna, nawet komin. Zdecydowano, że Markowi nie służy samotne przebywanie w tych starych ścianach. Nikt jednak nie domyślał się istnienia zsypu węglowego, w rezultacie więc zapewnili mu kryjówkę, do której żywa dusza nie miała wstępu.

Burza przetoczyła się z rykiem przez dolinę i ustała równie gwałtownie, jak się rozpoczęła. Ulewa przeszła w deszcz, potem w mżawkę, w końcu zaś całkiem ustała i wyjrzało słońce. Marek odszedł od okna. W sypialni była lampa naftowa. Zapalił ją, by popatrzeć na obrazy matki, tak jak to już wielekroć robił przez lata, które minęły od dnia ich wspólnego biwaku. Tak – pomyślał – ona wiedziała. Zawsze tylko jeden człowiek: w polu, w bramie, na rzece, na morzu. Zawsze tylko jeden. Ona wiedziała, jak to jest. Szloch ogarnął go bez ostrzeżenia. Marek rzucił się na podłogę i łkał, aż osłabł od płaczu. Zasnął.

Śniło mu się, że drzewa biorą go za ręce i prowadzą do matki, a ona tuli go mocno, śpiewa, opowiada, bajki i śmieją się oboje.

* * *

– Będzie coś z tego? – zapytał Bob. – Można ich nauczyć bytowania w puszczy?

Marek, o którym lekarze zapomnieli, siedział po turecku w kącie pokoju. Oderwał oczy od

książki w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Nie wiem – odparł Barry. – Myślę, że całego życia tam nie wytrzymają. Ale na krótszą metę – tak. Jeśli chodzi ci o to, czy będą z nich leśni ludzie, odpowiadam: nie.

– Czy wobec tego pociągniemy to z innymi za rok? Czy korzyści, jakie oni z tego wynoszą, usprawiedliwiają wysiłek na wielką skalę?

Bruce wzruszył ramionami.

– Dla nas to też był trening. Co do mnie, mam dosyć wracania do tych przeklętych lasów. Coraz bardziej boję się swoich dyżurów.

– Ja także – wtrącił Bob. – Właśnie dlatego zadałem tamto pytanie. Czy to naprawdę ma sens?

– Myślisz o biwaku w przyszłym tygodniu, prawda? spytał Barry.

– Tak. Nie chcę w tym uczestniczyć. Wiem, że chłopcy też panicznie się go boją. Strasznie się uparłeś, Barry. Barry potwierdził skinieniem głowy.

– I ty, i ja zbyt dobrze wiemy, co przytrafiło się Benowi i Molly. – Ale co będzie z tymi dziećmi, gdy przyjdzie im spędzać w lesie noc po nocy? Jeśli taka zaprawa może im to ułatwić, jesteście obowiązani ją przeprowadzić.

Marek wrócił do swojej książki, ale przestał widzieć, co czyta. Co im się stało? – myślał. – Czego oni wszyscy tak się boją? W lesie nie było nic: żadnych zwierząt, żadnego zagrożenia. Może usłyszeli głosy, może to one tak ich przeraziły. Ale skoro i oni je słyszeli, to te głosy muszą być prawdziwe. Poczul, jak wali mu serce. Przez tyle lat wmawiał sobie, że głosy to tylko szmer liści, który nabiera znaczenia jedynie w jego wyobraźni. Ale skoro słyszeli je i bracia, to muszą być prawdziwe. Bracia i siostry nigdy nie zmyślali. Nie wiedzieli, jak to się robi. Markowi chciało się krzyczeć z radości, ale nie pisnął nawet, żeby nie przyciągać uwagi braci. Zaraz zaczęłyby się dopytywać, co go tak rozbawiło, a on przecież wiedział, że nie może im tego powiedzieć.

* * *

Obóz rozbity został na dużej polanie, o kilka kilometrów od doliny. Dwudziestu chłopców, dziesięć dziewczynek, dwóch lekarzy i Marek siedziało wokół ogniska i jadło. Markowi przypomniało się, jak kiedyś zajadał przy ognisku prażoną kukurydzę. Gwałtownie zamrugał powiekami i uczucie wywołane wspomnieniem, przygasło. Klony były nieswoje, ale nie przerażone. Liczebność grupy dodawała im ducha, a w bezustannym trajkotaniu głosów ginęły wszelkie leśne dźwięki.

Zaśpiewali coś, a potem jeden z nich poprosił Marka, żeby opowiedział bajkę o Dżinie. Marek jednak pokręcił głową. Rozleniwiony Barry zapytał, kto to taki: Dżin, na co wśród klonów zaczęły się wzajemne poszturchiwania i pośpiesznie zmieniono temat. Barry nie nalegał. Pomyślał, że to na pewno jedna z tych rzeczy całkiem oczywistych dla dzieci, lecz niedostępnych dla dorosłych. Marek opowiedział jakąś inną bajkę, zaśpiewali jeszcze trochę i w końcu przyszedł czas, żeby rozwinąć koce i ułożyć się do snu.

Dużo później Marek usiadł nagle, nasłuchując. Doszedł do wniosku, że to tylko któryś z chłopców idzie do latryny, więc położył się z powrotem i niemal natychmiast znów zapadł w sen.

Chłopiec potknął się i dla odzyskania równowagi uchwycił gałęzi drzewa. Ognisko już ledwie się tliło, przez palenisko przeświecało jedynie trochę żaru. Postąpił jeszcze kilka kroków; ostatni ognek raptownie zgasł. Chłopiec zawahał się przez chwilę, ale naglił go pęcherz, a nie chciał ulec pokusie oddania moczu pod drzewem. Barry kategorycznie nakazał wszystkim używać latryny – ze względów higienicznych. Chłopiec wiedział, że rów oddalony jest od obozu najwyżej o dwadzieścia

metrów – a więc jeszcze tylko parę kroków. – ale odległość ta, zamiast maleć, zdawała się powiększać i chłopca ogarnęło nagle przerażenie, że się zgubił.

– Jeśli zgubicie drogę – uczył ich Marek – trzeba przede wszystkim usiąść i pomyśleć. Nie biegać, tylko opanować się i przemyśleć sytuację.

Ale on nie mógł tu usiąść. Ze wszystkich stron słyszał głosy, dobiegł go śmiech Dzina, coś się do niego zbliżało, było tuż – tuż. Rzucił się na oślep, zakrywając uszy dłońmi, aby stłumić wciąż narastające głosy.

Coś go złapało, poczuł, jak rozrywa mu bok, jak tryska krew – i wydał okrzyk, dziki, piskliwy, niepowstrzymany.

W obozie jego bracia zerwali się ze snu i popatrzyli po sobie. Danny!

– Co to było? – zapytał surowo Barry.

Marek był już na nogach i nasłuchiwał, ale wszystko wyjaśnił krzyk braci.

– Danny! Danny!

– Każ im się zamknąć – poradził Marek. Natężył słuch. – Zatrzymaj ich tutaj – rzucił Barryemu, oddalając się w las, w kierunku latryny. Teraz już słyszał, jak w oddali oszalały chłopiec wpada na drzewa, na krzaki, potyka się, krzyczy. Nagle zapadła cisza.

Marek raz jeszcze przystanął nasłuchując, ale bez rezultatu. Za jego plecami, w obozie, odbywało się istne pandemonium, przed sobą jednak nie słyszał nic.

Przez kilka chwil stał nieruchomo, wytężając słuch. Danny mógł upaść, mógł się po prostu zasapać. Może stracił przytomność. Skoro umilkły prowadzące go dźwięki, Marek stracił orientację w ciemności. Powoli wrócił do obozu. Obudzone dzieci zbiły się w trzy grupki. Obaj lekarze także trzymali się blisko siebie.

– Nie znajdę go po ciemku – powiedział Marek. – Musimy poczekać do rana. – Nikt się nie poruszył. – Rozpalcie ognisko – poradził Marek. – Może Danny zobaczy blask i pójdzie w jego stronę.

Jedna grupa braci zaczęła rzucać drwa do ogniska, tłamsząc żar. Bob włączył się do akcji i już po chwili ogień buchał na nowo. Bracia Dannyego siedzieli zbici w gromadkę, sparaliżowani strachem, zziębnięci, śmiertelnie przerażeni. Oni potrafiliby go znaleźć – pomyślał Marek – tylko boją się pójść w ciemny las. Któryś z braci zaczął płakać i natychmiast, jak na komendę, rozszlochali się wszyscy. Marek odwrócił się od nich i jeszcze raz poszedł na krawędź lasu. Słuchał.

Z pierwszym bladym promykiem brzasku Marek ruszył śladem zaginionego chłopca. Danny miotał się najwyraźniej to w przód, to w tył, biegł zygzakiem, odbijając się to od drzewa, to od kępy zarośli. W pewnym miejscu przebiegł do przodu aż sto metrów – po to tylko, by na końcu zderzyć się z głazem. Zostały ślady krwi. Musiał się podrapać o gałąź świerku. Tu znowu biegł, tym razem szybciej. Pod górkę... Marek przystanął, patrząc na wzniesienie; wiedział już, co znajdzie po przeciwnej stronie. Dotychczas posuwał się truchtem, teraz jednak zwolnił do normalnego marszu i podążał za tropem, stąpając nie po odciskach stóp Dannyego, lecz z boku, odczytując ze śladów, co tu miało miejsce.

Wzniesienie wieńczyła wąska grań wapienia. W lesie było sporo takich pagórków i prawie wszystkie miały po drugiej stronie równie spadziste stoki, czasem nawet bardziej strome, pełne kamieni. Marek stał na grani, patrząc w dół na niewielką połąć skąpej roślinności i głazów, pomiędzy którymi leżało w nienaturalnej pozie ciało chłopca z oczami szeroko otwartymi, jak gdyby Danny wpatrywał się w blade, bezbarwne niebo. Marek nie zszedł na dół. Przez jakiś czas siedział w kucki patrząc na leżącą w dole postać, po czym odwrócił się i – już bez pośpiechu – ruszył do obozu.

– Wykrwawił się na śmierć – oświadczył Barry, kiedy przynieśli ciało z miejsca wypadku.

– Oni go mogli uratować – powiedział Marek. Nie spojrział nawet na braci Dannyego – poszarzałych, szokowanych, o twarzach jak z wosku. – Mogli dojść prosto do niego. – Podniósł się. – Schodzimy na dół?

Barry kiwnął głową. On i Bob nieśli ciało chłopca na noszach, sporządzonych z cienkich, powiązanych z sobą gałązek. Marek odprowadził ich na skraj lasu i zawrócił.

– Pójdę się upewnić, czy ognisko całkiem wygasło oświadczył. Nie czekając na pozwolenie, niemal natychmiast zniknął między drzewami.

Pozostałych dziewięciu braci Dannyego Barry zabrał do szpitala na kurację antywstrząsową. Nigdy już stamtąd nie wyszli, nikt też nigdy o nich nie zapytał.

Następnego ranka Barry zjawił się w klasie jeszcze przed nadejściem wszystkich uczniów. Marek siedział już na swoim miejscu w ostatnim rzędzie. Barry skinął mu głową, otworzył notatki, poprawił krzywo stojące biurko i podniósłszy wzrok, znów napotkał spojrzenie Marka. Oczy chłopca przywiodły mu na myśl dwa bliźniacze błękitne jeziora, pokryte warstwą lodu.

– Słucham cię – powiedział w końcu Barry, lękając się, że ten uporczywy wzrok uwięzi go już na zawsze.

Marek nie odwrócił oczu.

– Nie ma jednostki, jest tylko grupa – wyrecytował głośno. – Co jest dobre dla grupy, dobre jest i dla jednostki, choćby to była nawet śmierć. Jedności nie ma, jest tylko całość.

– Gdzieś ty to usłyszał? – zapytał Barry. – Przeczytałem.

– Skąd wzięłeś tę książkę?

– Z twojego gabinetu. Stała na półce.

– Zabraniam ci wchodzić do mego gabinetu!

– Nie szkodzi. Już i tak przeczytałem wszystko, co tam jest. – Marek wstał, oczy zabłyśły mu w zmienionym świetle. – Ta książka łże! – oświadczył dobitnie. – Wszystkie te książki to łgarstwa! Ja jestem jeden. Jestem jednostką! Jestem jeden! – Ruszył ku drzwiom.

– Poczekaj chwilę, Marku – powstrzymał go Barry. – Widziałeś kiedyś, co się dzieje z mrówką, która wpadła w obcą kolonię mrówek?

Marek kiwnął głową od drzwi.

– Ale ja nie jestem mrówką.

Rozdział 23

Pod koniec września łodzie znów pojawiły się na rzece, a na przystani zgromadził się tłum gapiów. Dzień był chłodny, deszczowy, krajobraz poszarzał już od przymrozków, a unosząca się nad rzeką mgła zamazywała kontury łodzi, póki nie podpłynęły całkiem blisko. Specjalna ekipa pomogła wyczerpanym żeglarzom wyjść na ląd, a gdy już wszyscy, wraz z ładunkiem, znaleźli się w porcie, wieść o tym, że dziewięć osób nie wróciło, okryła moment powitania żałobą.

Nazajutrz wieczorem odbyła się Ceremonia Ku Czcii Zaginionych, a ci, co ocaleli, nieskładnie relacjonowali zdarzenia. Powrócili w pięć łodzi, z czego jedna prawie całą drogę płynęła na holu. Szóstą łódź zniosło u ujścia Shenandoah; znaleźli ją później rozbitą w drzazgi, bez załogi, a sprzęt chirurgiczny, który był na pokładzie, zatonął w rzece. Siódmą wyrzucił na mieliznę nagły sztorm, przewracając do góry dnem i niweczając cały ładunek, na który składały się mapy, przewodniki, spisy magazynów – stosy bezcennych dokumentów.

Rozpoczęto budowę schroniska przy wodospadach, za to kanał okazał się istnym przekleństwem i nie sposób było go kopać zgodnie z planem. Rzeka podmywała go i rozmywała wciąż na nowo, toteż jedynym efektem dotychczasowych prac była podmokła płaszczyna, która podczas przyplływów stawała w wodzie, a w czasie odpływów zmieniała się w gliniaste bagno. A najgorsze – co do tego wszyscy byli zgodni – okazało się zimno. Chłód prześladował ich od chwili, gdy dotarli do Potomacu. Bywały nawet przymrozki; drzewa przedwcześnie traciły liście, rzeka zwalniała bieg. Większość roślin zmartwiała, ocalały tylko najbardziej odporne. Z powodu zimna, które utrzymywało się również w Waszyngtonie, kopanie kanału stało się przedsięwzięciem piekielnym.

Tego roku śnieg nawiedził dolinę wcześniej, już pierwszego października. Dopiero po tygodniu rozwiały go wiatry i roztopiły ciepłe prądy z południa. W rzadkie pogodne dni, kiedy słońce świeciło jasno, a mgła nie zasłaniała szczytów okalających dolinę wzniesień i gór, widać było, że śnieg wciąż leży na najwyższych graniach.

Po latach Barry miał wracać pamięcią do tej zimy, świadom, że była to zima przełomowa; na razie jednak wydawała mu się kolejnym ogniwem w nieskończonym łańcuchu pór roku.

Któregoś dnia Bob wywołał go z domu, żeby mu coś pokazać. Śnieg nie padał już od kilku dni, a jasne słońce stwarzało iluzję ciepła. Barry narzucił na ramiona ciężką pelerynę i wyszedł za Bobem na dwór. Pośrodku dziedzińca, między nowo wzniesionymi budynkami, stała rzeźba ze śniegu. Była to ponad dwumetrowa postać nagiego mężczyzny, stopami wrośnięta w podstawę, pełniącą zarazem funkcję piedestału. W jednej dłoni dźmierzyła maczugę a może pochodnię – zaś druga ręka odchylona była w zamaszystym geście wzdłuż ciała. Uchwyczone zostało wrażenie ruchu, życia. Był to mężczyzna śpieszący do celu, który tędy zaledwie przechodzi, nie dając się zatrzymać.

– To Marek? – zapytał Barry.

– A kto?

Barry powoli zbliżał się do posągu, otoczonego już wianuszkami widzów, w większości dzieci. Do nielicznych dorosłych dołączali inni, aż wreszcie wokół figury zgromadził się tłum. Jakaś mała dziewczynka napatrzwszy się odwróciła wzrok i zaczęła toczyć kulę ze śniegu. Rzuciła nią w rzeźbę. Nim zdążyła cisnąć powtórnie, Barry chwycił ją za ramię.

– Nie rób tego – pogroził.

Przyjrzała mu się obojętnym wzrokiem, jeszcze bardziej obojętnym spojrzeniem obrzuciła śniegową postać i zaczęła się cofać. Barry zwolnił uścisk, a mała uciekła w tłum. Zaraz podbiegły do niej siostry. Zaczęły dotykać się nawzajem, jakby dla upewnienia, że nic się nie stało.

– Co tam jest? – zapytała któraś, nie mogąc dostrzec rzeźby poprzez tłum.

– Śnieg – odparła dziewczynka. – Zwyczajny śnieg. Barry przyjrzał jej się z większą uwagą. Mogła mieć jakieś siedem lat. Pochwycił ją ponownie, tym razem unosząc w górę, aby mogła dobrze zobaczyć posąg.

– Powiedz mi, co tam jest – zażądał.

Dziewczynka wiła się jak piskorz.

– Śnieg – powtórzyła. – Tam jest śnieg.

– To człowiek – sprostował ostro Barry.

Mała przyjrzała mu się z zakłopotaniem i jeszcze raz zwróciła oczy ku rzeźbie. Pokręciła głową. Barry zaczął podnosić do góry jedno dziecko po drugim. Wszystkie widziały tylko kupę śniegu.

Później tego samego dnia Barry i jego bracia rozmawiali o swoim spostrzeżeniu z braćmi Andrew, młodszymi lekarzami, których wyraźnie irytowało wyolbrzymianie oczywistej – ich zdaniem – błahostki.

– No więc dobrze: młodsze dzieci nie widzą, że to ma wyobrażać człowieka. I co z tego? – zaperzył się Andrew. – Nie wiem – odparł z namysłem Barry. I rzeczywiście nie wiedział, dlaczego fakt ten miałby być aż tak istotny pewien był jedynie, że to rzeczywiście jest ważne. Tego popołudnia słońce z lekka nadtopiło śnieg, który potem w ciągu nocy zamarzył na kamień. Rankiem, w świetle dnia, statua była oślepiająca. Barry kilkakrotnie wychodził na dwór, żeby na nią popatrzeć. Nocą ktoś – a raczej jakaś grupa – przewrócił posąg i wdeptał go w ziemię.

W dwa dni później cztery grupy chłopców zameldowały o zaginięciu swoich mat. Przeszukano pokój Marka i inne miejsca, w których, jak podejrzewano, mógł ukryć łup ale bez rezultatu. Marek zabrał się do rzeźbienia kolejnej postaci, tym razem kobiecej, która miała być zapewne uzupełnieniem posągu męzczyzny. Tym razem rzeźba stała aż do wiosny, chociaż już dużo wcześniej przestała być czytelna, pozostając jedynie zwałem tającego i zamarzającego na przemian śniegu.

Kolejny incydent miał miejsce tuż po obchodach Nowego Roku. Natrętna dłoń na ramieniu wyrwała Barry'ego ze snu.

Usiadł półprzytomny i zdezorientowany, jakby znalazł się tu, w łóżku, po długiej wędrówce – zziębnięty, ogłupiały, mrużący oczy w niepewności, kim jest ten młody człowiek, który nad nim stoi.

– Barry! Obudź się! Otwieraj oczy! – Najpierw rozpoznał głos Anthony'ego, a dopiero w następnej chwili jego twarz. Pozostali bracia też się już budzili.

– Co się stało? – Barry nagle całkiem otrzeźwiał. – Awaria w dziale komputerów. Musisz nam pomóc. Gdy Barry i jego bracia wkroczyli do laboratorium, Stephen i Stuart już rozmontowywali komputer. Kilku młodszych braci zajmowało się odłączaniem przewodów od końcówki, aby przejść na ręczną regulację przepływu. Inni młodzi lekarze sprawdzali wskaźniki na tarczach pojemników. Barry pomyślał, że panuje tu uładowany chaos – jeżeli coś takiego w ogóle jest możliwe. Kilkunastu ludzi poruszało się pośpiesznie, każdy gorliwie pilnował własnego zadania, a jednocześnie żaden nie był na swoim miejscu. Korki w przejściach między pojemnikami powstawały już wówczas, gdy znalazło się tam więcej niż dwie osoby – teraz zaś było ich dwanaście i nadal co chwila ktoś przybywał.

Barry z zadowoleniem stwierdził, że kontrolę nad całością objął Andrew. Każdy z nowo przybyłych natychmiast otrzymywał jakieś zadanie. Barry'emu przypadł w udziale nadzór nad szeregiem siedmiotygodniowych embryonów. W pojemnikach znajdowało się dziewięćdziesiąt płodów w różnych stadiach rozwoju. Dwie grupy można było w zasadzie przenieść na oddział wcześniaków i wydobyć na świat, ale zmniejszyłoby to drastycznie ich szanse przeżycia. Na swoim odcinku Barry nie dostrzegł żadnych zakłóceń, ale z drugiego końca rzędu dobiegło go nerwowe mamrotanie Bruce'a, z którego wynikało, że Bruce ma kłopoty. Wzrósł poziom soli potasowych.

Płody zostały otrute.

Rozpieszczeni są ci młodzi naukowcy – pomyślał Barry. – Tak przywykli do komputerowej analizy płynów owodniowych, że pozwolili sobie zaprzepaścić własne umiejętności. Metoda prób i błędów działała zbyt wolno dla uratowania embrionów. Jedyny, który ocalał, także został wyłączony. Koniec z jedynakami. Ucierpiała jedna grupa, lecz tym razem przedawkowano tylko w czterech przypadkach. Pozostajej szóstce pozwolono żyć dalej.

Przez całą noc kontrolowali poziom płynów, w miarę potrzeby dodawali sole, rozcieńczali, jeśli sól zaczynała się wytrącać, prowadzili kontrolę temperatury i tlenu. Nad ranem Barry czuł się tak, jakby sam pływał po oceanie zakrzepłych płynów owodniowych. Komputer nada! nie działał. Zanosilo się na to, że jeszcze przez następną dobę trzeba będzie pełnić kontrolę ręcznie.

Podczas czterodniowego kryzysu utracili trzydzieścioro czworo dzieci i czterdzieści dziewięć płodów zwierzęcych. Wyczerpany Barry opadł na łóżko ze świadomością, że poważniejsza w skutkach była utrata zwierząt. Liczyli przecież na wyekstrahowanie z nich wydzielin gruczołowych i chemikaliów pochodzących ze szpiku kostnego i krwi. Później – pomyślał zapadając w mgłę snu. Później będzie się przejmował rzeczywistym znaczeniem tej straty.

* * *

– Żadne "może"! Musimy zdobyć części do komputera, jak tylko stopnieje śnieg. Jeśli taka historia się powtórzy, nie wiem, czy zdołamy naprawić maszynę. – Everett był chudym, wysokim ekspertem od komputerów. Miał nie więcej niż dwadzieścia lat – może nawet i mniej. Starsi bracia traktowali go jednak z szacunkiem, a to oznaczało, że Everett wie, co mówi.

– Nowe łodzie z napędem łopatkowym będą gotowe na lato – oświadczył Lawrence. – Gdyby ekipa drogowców mogła się wyprawić odpowiednio wcześniej, by sprawdzić, czy przejście jest wolne...

Barry zatrzymał się i wyteżył słuch. Znowu padał śnieg. Ogromne, leniwe płatki dryfowały w powietrzu; nie śpiesząc się na ziemię, podfruwały to tu, to tam. Z okna, przez które wyglądał, widział tylko pierwsze dormitorium, oddalone odeń zaledwie o dwadzieścia metrów. Dzieci siedziały w szkole, chłonąc wszystko, cokolwiek im przekazywano. Warunki w laboratorium ponownie się ustabilizowały. Wszystko będzie dobrze – wmawiał sobie Barry. – Cztery lata jakoś przetrzymają, a po czterech latach przekroczą granicę między tym, co eksperymentalne, a tym, co dowiedzione.

Śnieg dryfował za oknem, a Barryego zdumiewała niepowtarzalność płatków. Tak samo jak miliardy innych ludzi przede mną – pomyślał, zatrwożony złożonością przyrody. Nagle zaciekawiło go, czy Andrew – a więc jak gdyby on sam w wieku lat trzydziestu – dziwił się kiedykolwiek złożoności przyrody. Albo czy którekolwiek z dzieci wiedziało, że każdy płatek śniegu jest inny. A gdyby im powiedzieć, że tak właśnie jest, kazać w ramach zajęć szkolnych przeprowadzić obserwację płatków śniegu – czy wówczas dostrzegłyby różnice? Czy uznałyby, że to cudowne zjawisko? Czy też raczej przyjęłyby to jako jeszcze jedną z nieskończonej ilości lekcji do wyuczenia na pamięć – i jako taką zapamiętały posłusznie, nie wynosząc z nowej wiedzy żadnej, przyjemności ani satysfakcja.

Przeszył go chłód i Barry ponownie skupił się na temacie zebrania. Ale myśli nie chciały się zatrzymać. Te dzieci uświadomił sobie – chłoną wszystko, czego się je uczy. Potrafią bezbłędnie odtworzyć to, co już było, ale niczego nie są w stanie zainicjować. Nie umiały nawet dostrzec wspaniałej rzeźby ze śniegu, którą ulepił Morek.

Po zebraniu udał się wraz z Lawrenceem na przegląd nowych łodzi z napędem łopatkowym.

– Mamy same priorytety – rzekł z namysłem. – Bez wyjątku.

– Kłopot w tym – odparł Lawrence – że oni mają rację. Rzeczywiście każda z tych spraw ma wagę priorytetową. Wznieśliśmy kruchą konstrukcję, Barry. Niezwykle kruchą.

Barry skinął głową. Bez komputerów mogliby nadzorować zaledwie kilkadziesiąt pojemników, resztę trzeba by było zniszczyć. Bez części do generatora musieliby ograniczyć zużycie prądu, opalać pomieszczenia i kuchnie drewnem, czytać przy łojowych świecach. Bez łodzi nie dotarliby do miast, gdzie potrzebne im zapasy niszczały z miesiąca na miesiąc. Bez nowych ekip robotników i poszukiwaczy nie byłiby w stanie kontrolować szosy wokół wodospadów ani rzeki, po której miały płynąć łodzie...

– Czytałeś kiedyś ten wiersz o potrzebie gwoźdźcia? – zapytał Barry.

– Nie – odparł Lawrence, przyglądając mu się pytająco. Barry pokręcił głową na znak, że to nic takiego.

Przez chwilę obserwowali pracujących przy łodzi, po czym Barry zapytał:

– Lawrence, jakimi skutnikami są młodszy bracia?

– Są znakomici – odparł Lawrence bez namysłu.

– Nie chodzi mi o wykonywanie poleceń, tylko o to, czy zdarzyło się, by któryś z nich wystąpił z jakimś projektem zmian.

Lawrence znowu bacznie mu się przyjrzał. – Co ci chodzi po głowie, Barry?

– Odpowiedz na moje pytanie.

Lawrence ściągnął brwi i zamilkł na dłuższą chwilę, w końcu wzruszył ramionami.

– Nie wydaje mi się... Nie pamiętam. Ale z drugiej strony, Lewis ma zawsze tak wyraźną wizję tego, co i jak ma być, że nikomu po prostu nie przychodzi do głowy spierać się z nim czy też uzupełniać jego plany.

Barry kiwnął głową.

– Tak właśnie przypuszczałem – rzekł odchodząc oczyszczoną ze śniegu dróżką, wzdłuż które biegły dwie śnieżne ściany sięgające jego głowy.

– Jeszcze nigdy nie było tyle śniegu – powiedział do siebie. No proszę: wymówił to na głos! Przyszło mu do głowy, że jest zapewne pierwszym z mieszkańców doliny, który coś podobnego powiedział. Jeszcze nigdy nie było tyle śniegu.

W kilka godzin później posłał po Marka, a kiedy chłopiec stanął przed nim, zapytał go:

– Jak wygląda las zimą, w takim śniegu jak teraz? Marek przez moment miał minę winowajcy. Wzruszył ramionami.

– Wiem, że nauczyłeś się chodzić w raketach śnieżnych ciągnął Barry. – Jeździsz też na nartach. Widziałem twoje ślady wiodące do lasu. Jak tam teraz jest?

Oczy Marka rozpały się na to błękitnymi ogniami, a usta ułożyły w mimowolny uśmiech, który zaraz zniknął. Chłopiec wciągnął głowę w ramiona.

– Inaczej niż latem – odparł. – Ciszej. No i ładnie. – Zaczerwienił się i umilkł.

– Bardziej niebezpiecznie? – nie ustępował Barry..

– Chyba tak. Nie widać jarów, bo zasypuje je śnieg, czasem też na szczytach wzgórz powstają nawisy i wtedy nie wiadomo, gdzie naprawdę urywa się grunt. Myślę, że jak się tego wszystkiego nie wie, jest dosyć niebezpiecznie.

– Chcę uczyć nasze dzieci posługiwania się raketami i nartami. Mogą przecież znaleźć się w lesie także zimą. Trzeba im dać przeszkolenie. Czy znajdą tam teraz dość drewna na ogniska?

Marek kiwnął głową.

– Od jutra posadzimy ich do robienia rakiet – oświadczył kategorycznie Barry. Wstał. –

Będziesz mi potrzebny. Nigdy w życiu nie widziałem rakiety śnieżnej, nie wiem, jak się zabrać do roboty. – Otworzywszy drzwi, zadał wychodzącemu Markowi jeszcze jedno pytanie: – A skąd ty wiedziałeś, jak je robić?

– Zobaczydem w książce. –

W jakiej książce?

– W takiej jednej – odparł chłopiec wymijająco. – Już jej nie ma.

Barry zrozumiał: w starym domu. Jakie tam jeszcze książki pozostały? Wiedział, że będzie musiał to sprawdzić. Tej nocy wraz z braćmi długo i rzeczowo omawiał wyciągnięte przez siebie wnioski.

– Musimy nauczyć ich wszystkiego, co może im się przydać w samodzielnym życiu – rzekł Barry, czując jak ogarnia go zupełnie nowy rodzaj znużenia.

– Najtrudniejsze, co nas czeka – dodał po krótkim namyśle – to przekonać innych, że dzieci nie obejdą się bez pomocy. Musimy rzecz sprawdzić, upewnić się, że mamy rację, a na koniec udowodnić. Dla nauczycieli, dla starszych braci i sióstr, będzie to straszliwe brzemię.

Bracia nie podważali wniosków Barry'ego. Każdy z nich wyciągnąłby z podobnych obserwacji identyczne konkluzje. – Możemy sporządzić kilka prostych testów – powiedział Barry. – Po południu opracowałem kilka projektów.

Pokazał im: kreskową postać w biegu, wchodzącą na schody, siedzącą; symbol słońca – koło otoczone promieniami; symbol drzewa – szyszkę na patyku; domek z czterech kresek, dwóch równoległych i dwóch skośnych dla oznaczenia dachu; księżyc w pełni; garnek, z którego falistymi liniami uchodzi para...

– Można im też kazać dokończyć opowiadanie – poddał Bruce. – Musi być tylko równie proste jak rysunki. Trzy, czterozdaniowa historyjka bez zakończenia, do której muszą dopisać pointę.

Barry zgodził się na projekt Brucea. Bracia w lot pojęli, o co mu chodzi. Jeśli dzieci nie są zdolne do myślenia abstrakcyjnego, fantazjowania, uogólniania – trzeba to stwierdzić już teraz i starać się skompensować owe braki. Ich obawy potwierdziły się w ciągu jednego tygodnia. Dzieci poniżej dziewięciu, dziesięciu lat nie potrafiły odczytać kreskówek, nie umiały zakończyć najprostszego opowiadania, nie były w stanie uogólnić zdarzenia ani skorzystać z minionych doświadczeń w zmienionych okolicznościach.

– Trzeba ich zatem nauczyć wszystkiego, co konieczne dla przetrwania – podsumował oschle Barry. – I cieszyć się, że potrafią chociaż zapamiętać wszystko, czego się ich uczy.

Wiedział, że trzeba będzie zmienić program szkolny i zacząć korzystać ze starych książek, które zostały na farmie, Wprowadzić lekcje utrzymywania się przy życiu, budowie najprostszycz szafasów, rozpalania ognisk, zastępowani rzeczy brakujących tymi, które akurat są pod ręką...

Wziąwszy łomy i młoty, Barry i jego bracia udali się na starą farmę i zerwali deski z frontowych drzwi. Podczas gdy inni przeglądali w bibliotece pożółkłe, rozsypujące się książki, Barry poszedł na górę, do dawnych pokoi Molly. Otworzył drzwi, stanął jak wryty i wstrzymał oddech.

Były tam obrazy, i te, które pamiętał, i nowe, były drobne przedmioty z gliny, a także rzeźby w drewnie i głowa będąca bez wątpienia podobizną Molly – wyrzeźbiona w kawałku leszczyny. Głowa wykonana była precyzyjnie, bez zarzutu, i przypominała – a zarazem wcale nie przypominała – siostry Miriam. Barry nie potrafiłby powiedzieć dla – czego, ale wiedział, że ta twarz przypomina tylko jedna z sióstr Miriam: Molly. Stały tu jeszcze rzeźby w piaskowcu i w wapieniu – niektóre ukończone, większość jednak w stanie surowym, jak gdyby autor rozpoczął je, a potem stracił do nich serce. Barry dotknął rzeźbionej podobizny Molly i z niewiadomego dla siebie powodu – poczuł, jak pod powiekami gromadzą mu się łzy. Odwrócił się gwałtownie i wyszedł z pokoju, starannie

zamykając za sobą drzwi.

Nic nie powiedział braciom, a przyczyna, dla której utrzymał całą rzecz w tajemnicy, była dla niego równie niejasna, jak łzy, które uрониł nad powycinanym przez dziecko kawałkiem drewna. Tej samej nocy, gdy powracający obraz rzeźbionej głowy nie pozwalał mu zasnąć, domyślił się, dlaczego nie opowiedział o wszystkim braciom. Byliby zmuszeni odszukać i zapieczętować sekretne wejście, którym Marek dostawał się do środka. A wiedział, że tego Markowi nie zrobi.

Rozdział 24

Przybrana jaskrawymi wstęgami i kwiatami, łódź olśniewał w blasku porannego słońca. Udekorowano nawet stos drewna na pokładzie. Silnik parowy lśnił czystością. Zastępy młodzieży wkraczały dwójkami na pokład przy akompaniamencie śmiechów i ogólnego rozradowania. Tych dziesięcioro, tamtych ośmioro – w sumie sześćdziesiąt pięć osób. Załoga łodzi trzymała się z dala od młodych poszukiwaczy – zaopatrzeniowców, obserwując ich bacznie, jakby w obawie, że karnawałowy nastrój poranka może uszkodzić łódź.

Zaraźliwe rozdokazywanie młodych ludzi było istotnie niebezpieczne przez swoją spontaniczność, dzięki której udzielało się zebranych na brzegu widzom. W czasie gdy łódź szykowała się do szusu w dół rzeki, zapomniano o tragediach minionych wypraw. Ta będzie inna – głosił ogólny nastrój – ci młodzi ludzie zostali specjalnie wychowani i wytrenowani dla potrzeb czekającej ich misji. Odpływają, by spełnić cel swojego życia. Jak tu się nie radować, mając cel życia w zasięgu ręki

U burty łodzi tkwiło bezpiecznie przytwierdzone canoe z brzoźowej kory długości czterech metrów, a przy nim stał Marek w pozie strażnika. Wszedł na pokład wcześniej niż inni, być może nawet tam spał: nikt nie wiedział, jak znalazł się w łodzi, a przecież był tam ze swoim czółnem zdolnym prześcignąć na rzece wszystko, nawet ten duży parowiec o napędzie łopatkowym. Marek z obojętnością przyglądał się scenie pożegnania. Był szczupły i niezbyt rostry, ale bardzo dobrze zbudowany. Jeśli nawet irytowało go, że jeszcze nie wyruszyli, nie dawał tego po sobie poznać. Mógł tak już tkwić od godziny, doby, tygodni...

Na pokład wkroczyli teraz starsi członkowie wyprawy, toteż – wiwaty i śpiewy żegnających przybrały na sile: Nominalni szefowie ekspedycji, bracia Gary, skinęli Markowi na powitanie i zajęli miejsca na rufie.

Stojący na przystani Barry przyglądał się obłoczkom dymu z komina parowca, za którym już pieniała się woda, i myślał o Benie, o Molly, o tych wszystkich, którzy nie wrócili, albo też wrócili tylko po to, by na zawsze trafić do szpitala. Te dzieci – pomyślał – są niemal histerycznie szczęśliwe, jakby się wybierały do cyrku albo na turniej rycerski, na służbę u boku króla, na potyczkę ze smokiem... Odszukał wzrok . Marka. Intensywnie niebieskie oczy wytrzymały jego spojrzenie i Barry zrozumiał, że przynajmniej Marek wie, co się tu odbywa, Jakie jest ryzyko, jakie cele. Wic, że ta misja oznacza albo koniec eksperymentu, albo też nowy początek dla nich wszystkich. Marek wiedział o tym i, podobnie jak Barry, nie uśmiechał się.

– Ta straszliwa odwaga dzieci – mruknął Barry pod nosem.

– Co takiego? – zapytał stojący przy nim Lawrence, ale Barry wzruszył ramionami, że nic. Nic.

Łódź powoli oddalała się od brzegu, pozostawiając za sobą szeroką bruzdę, która rozbiegała się ku obu brzegom i falami rozbijała o przystań. Odczekali, aż zniknie z pola widzenia.

* * *

Rzeka była wartka i mulista, spływające z gór śniegi pod= niosły poziom wody. Prace trwały tu już ponad miesiąc: oczyszczano katarakty, oznaczano bezpieczne przesmyki między skałami, naprawiano szkody, jakie zima wyrządziła na przystani koło wodospadów, budowano przejście łądem. Parowiec spisał się doskonale: tuż po obiedzie dotarli do wodospadów. Całe południe spędzili na rozładowywaniu łodzi i przenoszeniu zapasów do schroniska.

Wzniesiony u stóp wodospadów budynek był wierną kopią dormitoriów z doliny, toteż

znalazłszy się w środku, członkowie wyprawy bez trudu zapomnieli o tym, że ich dom stoi samotnie, z dala od innych. Co wieczór zbierali się tu budowniczo wież, schodzili się żeglarze; nikt nie zostawał na zewnątrz, w ciemnym lesie. Las wokół schroniska został wykarczowany aż po pasmo wzgórz, które wznosiły się pionowo nad polaną. W najbliższym okresie, kiedy się ociepli, zasieją tu soję i kukurydzę. Nie wolno było marnować żyznej ziemi, nie można było też pozwolić mieszkańcom schroniska na bezczynność w czasie między kolejnymi wizytami parowca.

Następnego dnia członkowie nowej ekspedycji dokonali załadunku wielkiej łodzi u stóp wodospadów i noc przespałi w schronisku. O świcie musieli podjąć drugi etap wyprawy do Waszyngtonu.

Marek nikomu nie pozwolił nieść swoich bagaży ani czółna, które przymocował do burty nowej łodzi. Było to już czwarte czółno, jakie zbudował, największe z dotychczasowych i Marek czuł, że nikt poza nim nie pojmie tego połączenia kruchości i siły, dzięki któremu czółno stawało się jedynym bezpiecznym środkiem podróżowania po rzece. Bezskutecznie usiłował przekazać tę prawdę innym uczestnikom wyprawy; żadne z nich nie chciało nawet słyszeć o samotnym żeglowaniu po nieokiełzanych wodach.

Potomac okazał się rzeką bardziej burzliwą niż Shenandoah, w dodatku pływały po nim kry. O krach nikt nie wspominał – pomyślał Marek, zastanawiając się nad ich pochodzeniem o tej porze roku. Była połowa kwietnia. Na tym odcinku lasy przesłaniały wzgórz i Marek mógł się jedynie domyślać, że na wyżynach leży jeszcze śnieg i lód. Łódź powoli spływała w dół rzeki, a załogą uwijała się na pokładzie, pilnie bacząc na niebezpieczeństwa, jakie krył szeroki, wartki nurt. O zmroku byli już w okolicach Waszyngtonu i przycumowali na noc do wystającego z wody filaru mostowego – strażnika, który samotnie pozostał na posterunku, gdy cała reszta konstrukcji uległa nieubłaganemu działaniu wiatru i czasu.

Wczesnym rankiem zabrali się do rozładunku. Właśnie tutaj Marek miał się z nimi rozstać. Wszyscy liczyli na to, że wróci przed upływem dwóch tygodni, przywożąc pomyślne wieści o możliwościach dostania się do Filadelfii lub Nowego Jorku, a najlepiej do obu tych miast.

Marek wyładował swoje rzeczy, odczepił czółno i zdjął je delikatnie z burty parowca, po czym zarzucił plecak na ramiona. Był gotów. Ubrany w skórzane spodnie, mokasyny i miękką koszulę ze skóry, zatknął wzdłuż uda nóż, a na plecionym pasku z jeleniej skóry zawiesił zwój liny. Zniszczone miasto działało na niego przygnębiająco, chciał jak najszybciej znaleźć się z powrotem na rzece. Przeładunek już trwał: wynoszono zapasy, a na pokładzie gromadzono sterty materiałów znalezionych przez wcześniejsze ekspedycje i przechowanych w nadrzecznym magazynie. Marek przyglądał się tym poczynaniom przez chwilę, a potem w milczeniu podniósł czółno, założył je na głowę i zaczął się oddalać.

Przez cały dzień wędrował pośród ruin, trzymając się kierunku północno – wschodniego, który miał go wyprowadzić z miasta i zawieść z powrotem do lasu. Trafwszy na niewielki strumień, spuścił czółno na wodę i przez kilka godzin płynął meandrowatą strugą, póki nie skręciła na południe. Wówczas uniósł czółno i wszedł do puszczy. Las był gęsty i cichy, znajomy przez swą wieczną obcość. Nim zapadł zmierzch, Marek wyszukał miejsce na biwak, gdzie rozpałił ognisko i ugotował sobie kolację. Zapas suchego prowiantu miał mu wystarczyć na dwa do trzech tygodni, zakładając, że nie znajdzie po drodze niczego do jedzenia – a przecież był pewien, że las go nie zawiedzie. Nie mogło tu przecież zabraknąć pędów paproci, korzeni szparaga i innej jadalnej zieleniny. Im bliżej wybrzeża, tym skutki mrozów były łagodniejsze niż w głębi łądu.

Gdy zaczęło się ściemniać, Marek wykopał płytki rów i napełnił go igiełkami sosny, na których rozpostarł swe poncho. Przyciągnął czółno tak, żeby utworzyło dach, i ułożył się na legowisku.

Wiedział, że jego największym wrogiem będą wiosenne deszcze. Potrafiły być ulewne i niespodziewane. Wykonał kilka szkiców i notatek, po czym przewrócił się na bok i wpatrzył w zamierający blask ognia, póki nie zmienił się on w ledwie rozżarzony punkcik na tle głębokiej czerni. Wkrótce potem Marek zasnął.

Nazajutrz doszedł do Baltimore. Miasto spłonęło, widoczne były też ślady wielkiej powodzi. Marek nie penetrował ruin. Przeniósł czołno do zatoki Chesapeake i ruszył na północ. Lasy zesły tu aż na sam brzeg rzeki, od strony wody nie dało się dostrzec żadnych śladów ludzkiej działalności. Nurt był bardzo wartki: odpływ łączył się z nurtem rzeki Susquehanna. Marek przez jakiś czas walczył z prądem, w końcu jednak skierował czołno ku brzegowi, aby tam poczekać na przypływ. Uznał, że powinien przeciąć zatokę i trzymać się linii brzegu po przeciwnej stronie. W pobliżu delty Susquehanna rzeka będzie na pewno bardziej wzburzona i przeprawa czołnem może się tam okazać w ogóle niemożliwa. Dookoła pływały kry – niewielkie i przeważnie jeszcze nie spiętrzone – jakby zniesione z całkiem zamarznętej rzeki, która teraz dopiero tajała.

Marek wyciągnął się na ziemi. Od czasu do czasu sprawdzał poziom wody, a gdy przestało opadać, przysiadł na brzegu i wrzucał do niej patyczki, które w końcu zaczęły dryfować na północ. Wówczas wyruszył w dalszą drogę. Wiosłował w kierunku północno – wschodnim, sterując ku otwartemu morzu i przeciwległemu brzegowi rzeki.

W pobliżu lądu była spokojna, lecz w miarę zbliżania się do środka zatoki, Marek coraz wyraźniej czuł zmagania przypływu z nurtem rzeki. Mimo że walka dwóch prądów była ledwie widoczna na powierzchni wody, łódź dawała o nich znać: woda stawiała wiosłu większy opór, a czołno wykonywało nieoczekiwane zwroty. Marek z wysiłkiem pracował wiosłami i chociaż czuł słabość własnych barków i nóg w walce z prądem i przypływem, walka ta napawała go jedynie niewysłowioną radością.

Nagle zmagania ustały, przypływ z wielką siłą porwał łódkę na północ, a Markowi pozostało tylko pilnować kierunku i wypatrywać na brzegu miejsca do przycumowania. Brzeg był tu piaszczysty, upstrzony skąpą roślinnością. Marek domyślał się także skał podwodnych, grożących przebicciem dna. Słońce stało już nisko, gdy dziób łodzi zgrzytnął cicho o piaszczystą plażę. Marek wskoczył do wody i wyciągnął czołno na brzeg.

Ulokowawszy je bezpiecznie na skarpie, wrócił na plażę, by popatrzeć na drogę, którą przebył. Czarny mur gęstych lasów, turkusowa tafla morza, poznaczona strugami mulistej wody z rzeki, intensywnie błękitne niebo, słońce chylące się ku zachodowi – i nigdzie drugiego człowieka, ani śladu ludzkiego życia, żadnych domów, dróg, niczego. Nagle Marek odrzucił głowę w tył i zaniósł się radosnym, niemal dziecinnym śmiechem triumfu. To wszystko należało do niego. Nikt inny się o to nie upomniął. Nikt nie pojawił się, by zakwestionować jego prawo własności, więc Marek zagarnął wszystko.

Pogwizdując rozniecał ogień z naniesionych przez rzekę drewn. Ognisko zapłonęło niesamowitymi barwami, odcieniami zieleni, błękitu, miedzi, szkarłatu. Marek ugotował w słonej wodzie suszoną kukurydzę i mięso i smakował je z zachwytem, a kiedy zasnął przed wygaśnięciem ostatnich płomieni, na jego twarzy nadal gościł uśmiech.

O świcie następnego ranka był już gotów ruszać dalej na północ wzdłuż wybrzeża, w poszukiwaniu dawnej drogi wodnej, która łączyła zatokę Chesapeake z zatoką Delawara. Gdy ją odszukał, okazało się, że z kanału pozostało niewiele: zmienił się w rozlewiste bagno, porośnięte wierzbami i bagienną roślinnością, która przesłaniała zarówno ląd, jak i wodę. Wy płynawszy na moczary, Marek stracił nagle świat z oczu – wszystko zasłaniały otaczające go zewsząd trawy. Tam gdzie woda była nieco głębsza, roślinność zniknęła i Marek mógł posuwać się szybciej, ale przez

większą część dnia czółno szorowało dnem po twardych łodygach, a Marek przeciągał łódkę chwytając się traw, korzeni, wszystkiego, co akurat znajdował pod ręką – byle posuwać się na wschód. Słońce pięło się po niebie. Marek zdjął koszulę. Pośród traw nie czuło się wiatru. Potem słońce zniżyło się, zapanował chłód i Marek ubrał się z powrotem. Kiedy mógł – wiosłował, a kiedy nie można było użyć wiosła – chwycił się traw i tak powoli przedzierał się przez moczary. Tego dnia nie robił postoju ani na posiłek, ani na odpoczynek; wiedział, że musi opuścić bagno przed zachodem słońca.

Cienie były już bardzo długie, gdy Marek poczuł wreszcie, że woda pod łodzią jest inna. Przyspieszył pracę wiosła, a z każdym jego zanurzeniem czółno sunęło do przodu płynniej, nie powstrzymywane sterczącymi z wody, czepliwymi łodygami, które przez cały dzień utrudniały drogę. Trawy rozstępowały się, przerzedzały, wreszcie całkiem zniknęły, a wokół Marka swobodnie płynęła spieniona woda. Wiedział, że jest zbyt osłabiony na nową walkę z prądem, toteż pozwolił rzece unieść się w dół i osadzić na brzegu zatoki Delaware.

Następnego ranka zobaczył ryby. Bardzo ostrożnie, aby ich nie spłoszyć, otworzył plecak i wydobyl z niego sieć, którą sporządził poprzedniej zimy ku uciechu dzieci z doliny. Sieć miała powierzchnię pół metra kwadratowego i chociaż Marek ćwiczył się w zarzucaniu jej jeszcze w dolinie, wiedział, że nie ma dość wprawy i że pierwsza próba będzie dla niego zapewne ostatnią szansą. Ukląkł w czółnie, które zaczęło dryfować, skoro tylko odłożył wiosło, i czekał, aż ryby podpłyną bliżej. – Jeszcze troszeczkę – ponaglał je szeptem – jeszcze kawałeczek. – W końcu zarzucił sieć, a czółno zakolebało się niebezpiecznie. Marek poczuł ciężar w sieci, szarpnął, pociągnął z całej siły i zaczął wylawiać łup. Oniemiał z radości: w sieci wiły się trzy ogromne srebrzyste ryby.

Marek ukucnął i przyglądał się ich nerwowym skokom. Przez dłuższą chwilę nie miał pojęcia, co z nimi począć. Z wolna zaczął przypominać sobie wszystko, co kiedykolwiek czytał o oczyszczaniu ryb, suszeniu ich mięsa na słońcu, opiekaniu nad ogniskiem...

Na brzegu oprawił zdobycz i rozpostarł mięso na płaskich kamieniach, aby ususzyło się w słońcu. Przyszło mu do głowy, że pod wodą mogą się kryć także i skorupiaki. Ponownie spuścił czółno na wodę, trzymając się tym razem jak najbliżej brzegu. Podpłynął do na wpół zatopionej skały, pod którą znalazł kolonię ostryg, a no dnie piaszczystej zatoki dostrzegł mięczaki, które zniknęły, gdy zmacił wodę. Późnym popołudniem miał już spory zapas ostryg i kilogramy mięczaków wykopanych z dna zatoki. Ryby niestety nie wyschły. Marek wiedział, że jeśli czegoś z nimi nie zrobi, wkrótce się zepsują. Kiedy wpatrzony w zatokę głowił się nad problemem przechowywania ryb w stanie świeżości, uświadomił sobie najprostsze rozwiązanie: kry.

Jeszcze raz wyprawił się na wodę i manewrując odpowiednio blisko sporej bryły lodu, zdołał opasać ją liną i doholować do brzegu. Z gałązek sosny upłócił płaski koszyk, na spód włożył mięczaki, potem ostrygi, na wierzchu zaś ułożył ryby. Koszyk umieścił na krze, a nożem odłupał trochę okruchów lodu, którymi przysypał zapasy. Nareszcie mógł odpocząć. Prawie cały dzień zszedł mu na gromadzeniu pożywienia i zabezpieczeniu go przed zepsuciem. Ale Marek nie żałował. Jedząc później pieczoną rybę i dzikie szparagi był pewien, że jeszcze nigdy w życiu nie miał w ustach czegoś, co byłoby choćby w połowie tak dobre.

Z miejsca jego biwaku wody Delaware wyglądały jak czarna dziura w posępnej puszczy. Od czasu do czasu jakiś bezgłośny płynący w powietrzu blady cień zakłócał doskonałość czerni. Łód – pomyślał Marek. Rzeka była bardzo wezbrana, drzewa przy brzegach stały w wodzie mogły też skrywać się pod wodę, niewidoczne aż do ostatniej chwili. Chłopcu groziły także skały i inne zasadzki. Rozważając ryzyko, na jakie się naraża płynąc czarną rzeką, Marek czuł wyłącznie radosne

zadowolenie. Następnego ranka spuścił czółno na wodę i ruszył w stronę Filadelfii.

* * *

Miasta są takie przygnębiające – myślał wpatrując się w szare ruiny po obu stronach rzeki Schuylkill, Ja okiem sięgnąć, ze wszystkich stron rozciągał się identyczny krajobraz szarych ruin. Miasto było spalone, ale nie tak doszczętnie jak Baitimore. Niektóre budynki zdawały się wręcz nietknięte, lecz wszędzie królowała ta sama szarość, ta sama ohyda zniszczenia. Gdzeniegdzie powyrastały drzewa, ale nawet one były tu brzydkie, skarłałe, cherlawe.

Marek poczuł ten sam lęk, na który inni skarżyli się w lesie. Czuło się tu czyjąś obecność, czuło się coś wrogiego. Marek złapał się na tym, że co chwila spogląda w tył przez ramię, i począł wiosłować ze zdwojoną energią. Zamierzał zatrzymać się wkrótce i naszkicować kilka widocznych z rzeki budynków. Powinien też chyba, choćby dla pozoru, zapuścić się trochę w – głąb lądu. Myślał o tym z niechęcią. Zwolnił nieco, aby przypatrzeć się kępie drzew. Były tak zdeformowane, że gatunku nie dałoby się ustalić. Osiki – zdecydował w końcu Marek. Spróbował wyobrazić sobie, jak korzenie tych drzew przedzierały się przez beton i stal ulic, po to tylko, by niżej natrafić na jeszcze większe pokłady betonu i stali.

A przecież w Waszyngtonie też były drzewa – myślał zanurzając wiosło głębiej, aby ominąć sporą, szczerbatą bryłę lodu. Tamte drzewa wyglądały jednak normalnie – a te...

Miały niespełna połowę zwykłej wysokości, były zdeformowane, o nielicznych i groteskowo wykoślawionych gałązkach. Marek gwałtownie wstrzymał łódź. Promieniowanie – pomyślał, czując nagły dreszcz. To skutki zatrucia promieniowaniem. W jego wyobraźni odżyły opisy i fotografie zwierząt i roślin zmienionych przez działanie promieni radioaktywnych.

Zawrócił czółno i puścił się w dół rzeki, do jej zbiegu z Delaware. Miał jeszcze parę godzin do zmroku. Po krótkim wahaniu zawrócił jednak na północ, tym razem zwracając pilniejszą uwagę na zdeformowaną roślinność i mnożące się kry lodowe.

Minął jeszcze jedną kępę poważnie uszkodzonej roślinności. Trzymając się przeciwległego brzegu rzeki, wiosłował dalej.

Filadelfia ciągnęła się w nieskończoność; ruiny poszczególnych budynków prawie niczym się od siebie nie różniły. Od czasu do czasu widać było skupiska domów praktycznie nietkniętych, ale Marek podejrzewał teraz, że to rejonny pozamykane w momencie wykrycia radioaktywności. Nie wszedł do żadnego z domów. Z gigantycznych wieżowców pozostały w większości tylko szkielety, ale zachowało się jeszcze wystarczająco dużo, aby usprawiedliwić wyprawę na wielką skalę – pod warunkiem, że budynki nie były skażone. Marek wiedział, że ten problem musi pozostawić Barry'emu lub jego młodszemu braciom. On sam płynął dalej. Znów otoczyły go lasy z roslymi, potężnymi, wybujalnymi drzewami. W miejscach gdzie rzeka się zwężała, korony drzew stykały się u góry i łódź sunęła pod nimi jak w tunelu, w którym tylko wiosło pluskało o wodę, a reszta świata wstrzymywała oddech w ciszy półmroku.

Kolejna zagadka – pomyślał przypatrując się nabrzeżom. Rzeka płynęła bardzo wartko, a jednak poziom wody był niski i brzegi wznosiły się miejscami na parę metrów. Być może jest to wynik częściowego zatamowania rzeki – trzeba będzie to sprawdzić przed powrotem do Waszyngtonu...

Już od kilku dni robiło się coraz chłodniej, aż pewnej nocy chwycił mróz. Nazajutrz Marek przepływał przez Trenton, gdzie, podobnie jak w Filadelfii, wszędzie rozciągały się ruiny, a roślinność była karłowata i zniekształcona.

Za cenę nadłożenia kilku kilometrów, opłynął miasto nie wysiadając z czółna, które opuścił

dopiero, gdy znalazł się pośród normalnie wyglądających lasów. Wyciągnął łódź na skarpe, zabezpieczył ją i udał się pieszo na północ. Delaware zbaczała w tym miejscu na zachód, on zaś miał dotrzeć do Nowego Jorku. Tego samego wieczora spadł pierwszy deszcz. Marek zostawiał za sobą wyraźne ślady, aby wracając nie musiał szukać czółna. W ulewnym deszczu posuwał się miarowo, osłonięty od stóp do głów wielką peleryną.

Tego wieczora nie znalazł ani kawałka suchego drewna na ognisko, więc żuł zimną wołowinę, marząc w duchu o soczystej rybie.

Kiedy nazajutrz deszcz nie ustał, Marek doszedł do wniosku, że głupotą byłoby iść dalej i narażać się na zgubienie drogi w świecie o rozmazanych granicach, pozbawionych nieba i słońca, które wyznaczałoby podróżnikowi kurs. Znalazłszy kępę świerków, schował się pod największe drzewo i skulił pod swą peleryną, drzemiąc i budząc się na przemian przez cały następny dzień i całą noc. Obudziły go westchnienia drzew oznajmiające koniec deszczu: drzewa otrząsały się z wody, mruczając coś chórem o paskudnej pogodzie i dziwiąc się chłopcu, który spał – pośród nich. Marek musiał przede wszystkim znaleźć słoneczną polankę, wysuszyć zawartość plecaka, pelerynę, ubranie, które miał na sobie, i mokasy, wymagające również natłuszczenia... Wyczołgał się spod świerka, wyszeptał słowo podziękowania i począł się rozglądać za dogodnym miejscem do wysuszenia rzeczy, rozpalenia ogniska, zjedzenia porządnego posiłku.

Gdy tego samego dnia trafił na wynaturzoną ściółkę, cofnął się o kilkadziesiąt metrów, przykucnął i uważnie zlustrował rozciągający się wokół las.

Od Nowego Jorku dzielił go – jak przypuszczał – jeszcze jeden dzień marszu: trzydzieści kilometrów, może nieco więcej. Otaczający go teraz las był tak gęsty, że Marek nie potrafił stwierdzić, czy spustoszenie wśród roślin ograniczało się do jednego tylko miejsca. Cofnął się zatem o kilometr, rozbił obóz i pogrążył się w rozmyślaniach o najbliższej przyszłości. Musi omijać wszystkie miejsca, które, jego zdaniem, uległy napromieniowaniu. W takim razie – ile dni straci jeszcze na kluczenie dookoła? Nie miał pojęcia. Czas się zatrzymał i Marek nie był już nawet pewien, ile dni spędził w lesie, ani jak dawno temu parowiec przycumował w Waszyngtonie. Pomyślał o reszcie – czy nic im się nie stało, czy odnaleźli magazyny, wydostali materiały, które mieli zabrać. Wyobraził sobie, jak brnęliby na oślep przez skażone tereny Filadelfii, przez tę tutaj truciznę. Przeszył go dreszcz.

Jeszcze trzy dni wędrował wzdłuż granicy rejonu skażenia, zbaczając to na północ, to na wschód, to znowu na północ. Do miasta nie zbliżył się ani trochę. Otaczał je pierścień śmierci.

Dotarł do rozległego bagniska, w którym nurzały się gnijące martwe drzewa i nie wyrastało nic nowego; dalej nie mógł już pójść. Podmokłe tereny rozciągały się jak okiem sięgnąć ku zachodowi; cuchnęły solą i zgnilizną, jak łachy mułu w czasie odpływu. Posmakował wody czubkiem języka i zawrócił. Była słona. Tej nocy temperatura gwałtownie spadła. Rankiem zobaczył poczerniałe drzewa i krzewy. Pałaszując łąpczywie kukurydzą z wołowiną, Marek zastanawiał się, czy znajdzie jeszcze kiedykolwiek naturalne pożywienie. Jego zapasy były na wyczerpaniu: skończyły się rodzynki, suszonych jabłek też już prawie nie zostało. Z głodu nie umrze – tego był pewien – ale miło byłoby najeść się do syta świeżych jarzyn i owoców, zupy z mięczaków, gęstej od smakowitych kąsek białego mięsa... Odwrócił myśli od jedzenia i przyspieszył kroku.

Posuwał się sprawnie, bez trudu odnajdując własne ślady wypalone na drzewach jak znaki drogowe: zakręt, tędy prosto. Wsiadłszy z powrotem do czółna, podążył rzeką Delaware na zachód, by przekonać się, co sprawiło, że poziom wody był tak niski i że wszędzie pływał lód, gęściejszy teraz niż poprzednio. Pomyślał, że to deszcze musiały rozdrobnić większe bryły. Niełatwo było płynąć na przekór bystremu prądowi, a unoszące się na wodzie odłamki lodu czyniły przeprawę

jeszcze bardziej, niebezpieczną. Teren był tu płaski. Morek natychmiast dostrzegł zmiany na rzece. Nurt stał się szybszy, wokół czołna pieniała się teraz biała woda bystrzyny, a po obu brzegach rzeki teren zdecydowanie się wzniosł. Rzeka wyłobila tu kanał, a nieco dalej następny. Kiedy jej progi stały się zbyt niebezpieczne dla małej łódeczki, Marek wy dostał czołno z wody, ukrył je w bezpiecznym miejscu i dalej podążył już pieszo.

Wyrosło przed nim wzgórze, skąpo usiane karłowatą roślinnością i kamieniami. Marek podjął ostrożną wspinaczkę. Było bardzo zimno, Drzewa wyglądały tu tak, jak w pierwszych dniach marca, a nawet pod koniec lutego. Pączki nabrzmiały, lecz nie było widać liści – ani skrawka zieleni, prócz czarnozielonych świerków, przybranych w zimowe igliwie. Na szczycie wzgórza Marek gwałtownie wstrzymał oddech. Rozciągała się przed nim rozległa, oślepiająca w słońcu połać śniegu i lodu.

Miejscami śnieżne pole sięgało brzegów rzeki, gdzie indziej widać je było w sporej odległości, a w górze rzeki, jakieś dwa kilometry od miejsca, gdzie zatrzymał się Marek, powstał niemal zator lodowy. Rzeka wyglądała jak czarna wstążka wijąca się pracowicie przez oślepiające pustkowie.

Widok na południe zasłaniały mu drzewa, ale na północ i zachód ogarniał wzrokiem całe kilometry, dostrzegając jedynie śnieg i lód. Białe góry sięgały czystobłękitnego nieba, dolinom zaś, odkładający się na zboczach śnieg nadał kształt misek. Wiatr zmienił kierunek i dmuchnął Markowi prosto w twarz; mróz zapierał dech w piersiach, wyciskał z oczu łzy. Słońce nie dawało ciepła. Marek pocił się co prawda pod skórzaną koszulą, ale widok śnieżnego bezmiaru i chłód omiatającego go wiatru świadczyły o tym, że słońce poniosło tu klęskę. Ulegając temu złudzeniu, chłopiec zdrzął gwałtownie. Odwrócił się i puścił w dół po stromym zboczu, na kilkanaście metrów przed końcem stoku począł się zsuwać, świadom już od samego początku ślizgawki, że to niebezpieczne, że poruszone kamienie popędzą za nim w pogoń, że mogą go dopaść i zranić, zanim zdola uskoczyć. Na samym dole fiknął kozła, podskoczył na równe nogi i rzucił się do ucieczki. Biegł długo, słysząc za plecami hurkot spadających głazów.

W jego wyobraźni hałas ten zrósł się z obrazem nadciągającego lodowca, który toczył się ku niemu nieodwołalnie, miażdżąc wszystko w proch.

Rozdział 25

Marek fruwał. Wspaniale było wzbijać się w górę i nurkować ponad drzewami i rzekami. Wznosił się coraz wyżej i wyżej, aż w całym ciele poczuł łaskotanie z nadmiaru emocji. Wykonał unik, by ominąć spienioną białą chmurę. Kiedy się wyprostował, wyrosła przed nim następna; uchylił się ponownie, i jeszcze raz, i jeszcze raz. Chmury były teraz wszędzie, zlały się w wielki biały mur, który nacierał na chłopca ze wszystkich stron. Nie było gdzie uciekać przed ich atakiem. Znurkował i uświadomił sobie, że spada z coraz większą prędkością. Nie wiedział, jak się zatrzymać. Leciał w dół przez biel...

Marek obudził się gwałtownie, cały drżący i mokry od potu. Ognisko ledwie żarzyło się w ciemności. Podsycił je pieczołowicie, chuchając w zgrabiące dłonie. Kiedy zbutwiałe szczapy zaczęły się tlić, dorzucił gałęzi, a na koniec grubsze konary. Mimo że wkrótce miał nadejść świt, a wraz z nim pora na wygaszenie ogniska, Marek podsyczał je tak długo, aż zapłonęło gorącym i jasnym blaskiem. Skulił się tuż przy ogniu. Przestał już drzeć, ale koszmarna wizja wciąż go nie opuszczała; tęsknił do światła i ciepła. I bardzo nie chciał być już sam.

Przez cztery dni posuwał się szybko naprzód, a piątego popołudnia dotarł do lądowiska w Waszyngtonie, gdzie cumował parowiec i skąd bracia i siostry organizowali wypadki do magazynów.

Bracia Peter wybiegli mu na spotkanie, zajęli się czołnem i plecakiem, ani na chwilę nie przestając mówić.

– Gary powiedział, że jak tylko się zjawisz, masz iść do magazynu – poinformował Marka jeden z nich.

– Mieliśmy jak dotąd sześć wypadków – dorzucił inny z przejęciem. – Połamane ręce, nogi, takie tam drobiazgi. Nic z tego, co zdarzało się wcześniejszym grupom. Dajmy radę!

– Gary mówił, że pod koniec tygodnia wyruszymy do Baltimore albo do Filadelfii.

– Tu jest mapa, zaraz ci pokażemy, w którym magazynie oni teraz są.

– Mamy już ze cztery łodzie ładunku...

– Pracujemy na zmianę. Cztery dni tutaj, przy sztautowaniu, gotowaniu i tak dalej, a potem cztery dni szperania w magazynach...

– Nie jest tak źle, myśleliśmy, że będzie gorzej. Ciekawe, czemu tamci mieli zawsze tyle kłopotów.

Morek posuwał się za nimi ociężałe. – Głodny jestem – powiedział.

– Zupa na obiad właśnie się gotuje – poinformował go jeden z braci. – Ale Gary mówił...

Marek wyminął ich i skierował się do budynku, w którym kwaterowali. Poczował woń zupy. Nalał sobie do pełna, ale zanim jeszcze skończył jeść, ogarnęła go taka senność, że oczy same mu się zamykały. Chłopcy wciąż trajkotali o swoich sukcesach.

– Gdzie tu są sypialnie? – zapytał Marek, znowu któremuś przerywając.

– To ty nie idziesz do magazynu? Przecież Gary mówił...

– Nigdzie nie idę. Gdzie są łóżka?

* * *

-Z samego rana wyruszamy do Filadelfii – obwieścił triumfalnie Gary. – Dobrze się spisałeś, Marku. Ile czasu zajmie nam przeprawa do Filadelfii?

Marek wzruszył ramionami.

– Nie wiem, nie szedłem pieszo. Pokazałem wam już, gdzie są tereny podmokłe, być może nie

do przebycia. Jeśli przedostaniecie się tamtędy, może wam to zabrać osiem, dziesięć dni. Ale musicie wziąć przyrzady do pomiaru radioaktywności.

– Co do tego, mylisz się, Marku. Napromieniowanie jest niemożliwe. Nie braliśmy przecież udziału w wojnie, nie stosowano tu żadnych bomb. Inaczej starsi by nas uprzedzili.

Marek ponownie wzruszył ramionami.

– Ufamy, że przeprowadzisz nas tamtędy – uśmiechnął się Gary. Miał dwadzieścia jeden lat.

– Ja nie idę – odparł Marek.

Gary i jego bracia wymienili spojrzenia.

– Jak to? – zapytał Gary. – Przecież to twój obowiązek. Marek pokręcił głową.

– Moim obowiązkiem – zaprzeczył – było zorientować się, czy miasta nadal istnieją i czy cokolwiek się w nich zachowało. Wiem tyle, że dotarłem tam drogą wodną. Czy można przeprowić się łądem – nie mam pojęcia. Mam pewność, że tereny te zostały napromieniowane, i zamierzam wrócić do doliny, aby złożyć o tym meldunek.

Gary wstał i zaczął zwijać mapę, na którą przed chwilą nanosili bagna, nową linię wybrzeża, bajoro, w które zmieniała się wewnątrzłądowa droga wodna. Nie patrząc na Marka, powiedział:

– Wszyscy uczestnicy tej wyprawy pozostają, jak wiesz, pod moim dowództwem. Wszyscy bez wyjątku.

Marek ani drgnął.

– Rozkazuję ci pójść z nami – zakończył Gary i tym razem spojrzał Markowi prosto w oczy.

Marek potrząsnął głową.

– Nie zdążycie dotrzeć no miejsce i zawrócić przed zmianą pogody – powiedział. – Ani ty, ani twoi bracia, nie wiecie nic o puszczy. Spotkają was takie same kłopoty, jakie mieli członkowie poprzednich wypraw do Waszyngtonu. Chłopcy nie zrobią nic, póki ktoś im dokładnie nie pokaże, co i jak. A jeśli wszystko, co zostało w Filadelfii, jest teraz radioaktywne. Ściągając to do domu, zabijecie wszystkich mieszkańców doliny. Ja wracam.

– Masz słuchać rozkazów jak każdy, i tyle! – wrzasnął Gary. – Pilnujcie go tutaj! – Skinął na dwóch swoich braci i razem z nimi opuścił pokój. Trzech pozostałych pilnowało Marka, który siedział po turecku na podłodze, nie zmieniawszy pozycji od początku rozmowy.

Po jakimś czasie Gary wrócił, niosąc wiązkę długich pasm kory brzozej. Na ten widok Marek wstał i dotknął kory. Pochodziła z jego czółna.

Gary rzucił mu cały pęk pod nogi:

– Mam nadzieję, że teraz zrozumiałeś. Wyruszamy z rana. Lepiej się teraz połóż.

Marek opuścił ich bez słowa. Poszedł nad rzekę, żeby obejrzeć zniszczoną łódź. Potem rozniecił ognisko, a gdy płonęło już jasnym blaskiem, wsunął w płomienie jeden koniec łodzi i w miarę jak czółno się spalało, popychał je do przodu, aż nie zostało już nic.

Kiedy nazajutrz rano chłopcy zbrali się przed budynkiem gotowi ruszać do Filadelfii, Marka wśród nich nie było. Jego plecak zniknął, nikt nie potrafił odnaleźć chłopca. Gary, bardzo rozgniewany, porozumiał się z braćmi i wspólnie postanowili ruszać bez Marka. Mieli przecież dobre mapy, przez niego samego korygowane, chłopcy otrzymali solidne przeszkolenie. Nie było właściwie żadnego powodu, aby mieli się czuć zależni od czternastolatka. Wyruszyli, lecz dobry nastrój nie powrócił.

Marek obserwował ich z pewnej odległości i przez cały dzień nie spuszczał z oka. Kiedy wieczorem rozbili swój pierwszy obóz w głębi lasu, usadowił się na pobliskim drzewie.

Z satysfakcją zauważył, że chłopcy poczynają sobie całkiem nieźle. Dopóki grupy się nie porozdzielają, nic im nie grozi. Natomiast bracia Gary byli wyraźnie zdenerwowani. Podrywali się

na każdy dźwięk.

Odczekał, aż obóz się uspokoi, po czym, siedząc tak wysoko, te niezauważony mógł obserwować ich z góry, zaczął wydawać głuche jęki. Z początku nikt nie zwracał na niego uwagi, w końcu jednak Gary i jego bracia jęli popatrywać nerwowo w las i wymieniać spojrzenia. Marek jęknął głośniejsz. Wśród chłopców zapanowało poruszenie. Większość z nich zdążyła już zasnąć, nim Marek rozpoczął swój koncert, Teraz ogarnęło ich nerwowe podniecenie.

– Dżin! – wył Marek coraz głośniejsz. – Dżin! Dżin! – Wątpił, czy ktokolwiek może jeszcze spać. – Dżin ostrzega: wracajcie! – nawoływał głuchym głosem, przesłaniając usta dłonią. Powtarzał te słowa po kilka razy, dodając zawsze na koniec przeraźliwy, wznoszący się jęk. Po jakimś czasie dorzucił jeszcze jedno słowo: – Zguba. Zguba. Zguba.

W środku czwartej "zguby" urwał gwałtownie. Nawet i on poczuł wytężone nasłuchiwanie lasu. Bracia Gary weszli z pochodniami między drzewa, szukając źródła odgłosów w pobliżu obozu. Trzymali się bardzo blisko siebie. Większość chłopców skupiła się ciasno przy ogniskach. Minęło sporo czasu, nim wszyscy poukładali się na nowo, próbując powtórnie zasnąć. Marek zdrzemnął się w koronie drzewa, a ocknąwszy się, powtórzył słowa ostrzeżenia, znów przerywając w pół słowa, chociaż sam nie wiedział, dlaczego "zgu" jest o tyle groźniejsze od "zguby". Jeszcze raz odbyły się bezowocne poszukiwania, podsycono ogniska, chłopcy usiedli przejęci strachem. Tuż przed świtem, gdy w lesie było najciemniej, Marek jął się zanosić piskliwym, nieludzkim śmiechem, który zdawał się nieść ze wszystkich stron równocześnie.

Dzień wstał chłodny i wilgotny, gęsta mgła z upływem godzin podniosła się – tylko nieznacznie. Marek krążył wokół sunącej z wysiłkiem grupy, szepcząc swe ostrzeżenia to spoza nich, to z przodu, to z lewej strony, to z prawej, to znowu z góry. Po południu chłopcy ledwie się już wlekli, rozmawiając otwarcie o zbojkotowaniu rozkazów Gary'ego i powrocie do Waszyngtonu. Marek z satysfakcją zauważył, że dwaj bracia Garyego stali po stronie zbuntowanych chłopców.

– HUUU! Dżin! – zawył, na co dwie grupy wykonały w tył zwrot i rzuciły się do ucieczki. – Dżin! Zguba!

Do uciekających przyłączali się inni, nie bacząc na krzyki Gary'ego, który też w końcu, razem z braćmi, pośpieszył z powrotem.

Marek odszedł, śmiejąc się sam do siebie, i skierował swe kroki na zachód, ku dolinie.

* * *

Bruce stanął nad śpiącym chłopcem.

– Wyjdzie z tego?

Bob kiwnął głową.

– Już kilka razy był na granicy przebudzenia, ale przez cały czas mamrotał tylko coś o śniegu i lodzie. Rozpoznał mnie, kiedy go rano badałem.

Bruce przyjął jego monolog kiwnięciem głowy, Marek spał już ponad trzydzieści godzin. Pod względem fizycznym był daleki od niebezpieczeństwa, prawdopodobnie niebezpieczeństwo takie nigdy mu nie groziło. Potrzebował jedynie odpoczynku i przyzwoitego jedzenia, aby wszystko mogło wrócić do normy. Ale średnie o białym murze wyglądały na chorobę. Barry kazał wszystkim zostawić chłopca, póki się sam nie obudzi. On sam spędzał przy Marku prawie całe dnie. Obiecał wrócić za godzinę. Póki Marek spał, nikt nie miał przy nim nic do roboty.

Tego samego popołudnia Barry posłał po brata Andrew, który prosił, aby go zawiadomić, gdy Marek zacznie mówić. Siedząc po obu stronach łóżka, patrzyli, jak chłopiec porusza się i wydobywa

z przepastnego snu, który ukoił go tak gęęboko, że Marek wyglądał jak martwy.

Chłópiec otworzył oczy i ujrział Barry'ego.

– Nie oddawajcie mnie do szpitala – poprosił omdlewającym głósem i znów zamknął oczy. Po chwili otworzył je ponownie i obiegl wzrokiem pokój, zatrzymując się znówu na Barrym.

– Ja już jestem w szpitalu, prawda? Coś mi jest?

– Nic a nic – uspokoił go Barry. – Straciłeś przytomność z powodu przemęczenia i niedożywienia – tylko tyle.

– W takim razie chciałbym wrócić do swojego pokoju rzekł Marek, usiłując się podnieść.

Barry powstrzymał go łagodnie.

– Nie bój się mnie, Marku, proszę. Obiecuję, że nie zrobię ci krzywdy ani teraz, ani kiedykolwiek. Obiecuję. – Chłópiec przez chwilę opierał się naciskowi jego dłoni, w końcu jednak rozluźnił mięśnie. – Dziękuję ci, Marku – rzekł Barry. – Czy masz ochotę zacząć mówić już teraz?

Marek kiwnął głową.

– Pić mi się chce – powiedział. Wypił łąpczywie i zaczął opowiadać o swojej wyprawie na północ. Opowiadał ze wszystkimi szczegółami, nie pominął nawet historii o straszaniu Gary'ego i jego braci i o zawróceniu ekspedycji. Dostrzegł, że w tym punkcie opowieści Andrew zacisnął wargi, ale nie odwracając oczu od Barry'ego dociągnął opowieść do końca.

– A potem wróciłeś – podsumował Barry. – W jaki sposób

– Przez lasy. Zbudowałem tratwę, żeby przepawić się na drugi brzeg rzeki.

Barry pokiwał głową. Chciało mu się płakać, chociaż nie wiedział dlaczego. Poklepał Marka po ramieniu.

– Wypocznij sobie teraz – powiedział. – A im przekażemy wiadomość, żeby siedzieli w Waszyngtonie, póki nie wytrzaśniemy skądś liczników Geigera.

– Wykluczone! – sprzeciwił się Andrew, gdy już zamknęli drzwi. – Gary miał świętą rację obstając przy wyprawie do Filadelfii. Ten chłopak w ciągu jednej nocy zmarnował dorobek całorocznego szkolenia.

* * *

– Ja także jadę – oświadczył Barry. Był teraz z Markiem w Waszyngtonie. Razem z nimi przybyło i dwóch młodszych lekarzy. Wśród najmłodszych członków wyprawy panowało przerażenie i bałagan; prace wstrzymano, wszyscy siedzieli w budynku, oczekując nowych instrukcji.

– Kiedy oni wyszli po raz drugi – zapytał Barry.

– W dzień po tym, jak tu wrócili – odparł jakiś, mały chłopczyk.

– Czterdziestu chłopaków! – mruknął pod nosem Barry. – I sześciu osłów. – Zwrócił się do Marka: – Czy wskóramy cokolwiek wyruszając ich śladem jeszcze dziś po południu?

Marek wzruszył ramionami.

– Wystarczy, jak pójdę sam. Mam iść?

– Nie, nie sam. Anthony i ja pójdziemy z tobą, a Alistair zostanie tutaj i rozkręci robotę na nowa.

Marek spojrział na obu lekarzy z powątpiewaniem: Anthony był blady, Barry – wyraźnie zdenerwowany.

– Mają jakieś dziesięć dni wyprzedzenia – ocenił. – Jeśli nie zgubili drogi, są już pewnie w mieście. Nie sądzę, żeby czyniło to wielką różnicę, czy wyruszymy już teraz, czy poczekamy do rana.

– A zatem rano – zakończył rozmowę Barry. – Jeszcze jedna przespana noc dobrze ci zrobi.

Posuwali się szybko. Od czasu do czasu Marek pokazywał pozostałym, gdzie chłopcy obozowali, gdzie zboczyli ze szlaku, gdzie dostrzegli swój błąd i skierowali się znowu we właściwą stronę. Drugiego dnia Marek szedł z zaciśniętymi ustami i gniewną miną, ale nie mówił nic aż do wieczora.

– Odchodzą za bardzo na zachód, coraz dalej od właściwej trasy – oznajmił wreszcie. – Jeżeli nie skierują się znowu na wschód, mogą ominąć Filadelfię. Na pewno starali się okrążyć bagna.

Barry był zanadto zmęczony, aby się tym przejmować. Anthony zaś tylko chrząknął niepewnie. Dobrze przynajmniej – pomyślał Barry wyciągając się przy ognisku że musieli być wieczorami za bardzo zmęczeni, żeby nasłuchiwać dziwnych odgłosów lasu. Usnął, zanim zdążył sformułować tę myśl do końca.

Czwartego dnia Marek zatrzymał się i z trwogą popatrzył przed siebie. W pierwszej chwili Barry niczego szczególnego nie dostrzegł, ale zaraz uświadomił sobie, że patrzą wszyscy na kępę skarłałych roślin, o jakich mówił Marek. Anthony wyjął z plecaka licznik Geigera, który natychmiast zaczął tykać. Im dalej się posuwali, tym intensywniej pracował licznik. Marek prowadził ich lewą stroną, zachowując sporą odległość od napromieniowanego terenu.

– Oni tam weszli, prawda? – spytał Barry.

Marek potwierdził ruchem głowy. Trzymali się z dala od rejonu skażenia, a kiedy licznik włączał alarm, zbaczali na południe, aż ostrzegawcze sygnały straciły na sile. Podczas nocnej rozmowy postanowili wędrować na zachód, aby okrążyć skażony teren i – jeśli to będzie możliwe – dostać się do Filadelfii od drugiej strony.

– Ale wtedy trafimy na śnieżne pola – ostrzegł ich Marek.

– Nie boisz się chyba śniegu, co – zażartował Barry.

– Ja nie.

– No to w porządku. Jutro ruszamy na zachód, a jeśli do wieczora nie uda nam się skręcić na północ, zawrócimy i poprobujemy drogi na wschód – może w ten sposób natrafimy na jakiś ślad.

Przez cały dzień towarzyszyły im w drodze przelotne deszcze, a temperatura obniżało się z godziny na godzinę, tak że gdy wieczorem rozbijali obóz, była już bliska zero.

– Daleko to jeszcze – zapytał Barry.

– Jutro – odparł Marek. – Powąchaj: już czuć.

Barry czuł jedynie woń ogniska, wilgotnego drewna i gotującego się jedzenia. Przyjrzał się bacznie Markowi i pokręcił głową.

– Ja już nie chcę dalej iść – oświadczył raptownie Anthony. Stał przy ognisku przesadnie wyprostowany, z wyrazem napiętej czujności na twarzy.

– To tylko rzeka – objaśnił Marek. – Musi być już całkiem niedaleko. Na wszystkich rzekach jest teraz kra, która od czasu do czasu wali w brzegi. I o jest ten odgłos, który słyszysz.

Anthony usiadł, ale jego twarz nie pozbyła się wyrazu napięcia. Nazajutrz znów skierowali się na zachód. W południe weszli między wzgórza, pewni, że skoro tylko dostaną się tak wysoko, aby drzewa przestały im zasłaniać, zobaczą śnieg – jeśli śnieg w ogóle tam był.

Stanęli na szczycie w osłupieniu i Barry pojął koszmary, które dręczyły Marka. Na granicy śniegu drzewa były zwarzone, jak w środku zimy. Te, które rosły dalej, były już do połowy zagrzebane w śniegu, a ich nagie gałęzie sterczały nieruchomo, często pod nienaturalnym kątem, świadcząc o tym, że drzewa nie trzymały się już gleby i tylko śnieg chronił je przed upadkiem. Jeszcze dalej w ogóle nie było widać drzew, tylko śnieg.

– Rozprzestrzenia się – zapytał Barry zduszonym głosem.

Nie było odpowiedzi. Po jakimś czasie cała trójka odwróciła się i pośpieszyła w dół tą samą

drogą, którą przybyli. Kiedy okrążali Filadelfię od strony wschodniej, licznik Geigera cały czas kazał im się trzymać z dala od miasta, do którego nie zbliżyli się bardziej niż poprzednio, idąc od strony zachodniej. Wtedy właśnie znaleźli pierwsze ciała.

Chłopcy szli w sześciu. Dwóch upadło blisko siebie, a pozostała czwórka, pozostawiwszy ich, uszła jeszcze niecały kilometr i także nie wytrzymała. Wszystkie ciała były radioaktywne.

– Nie zbliżaj się – ostrzegł Barry Anthonyego, który zamierzał właśnie klęknąć przy pierwszych zwłokach. – Nie wolno ich dotykać – dodał.

– Powinienem być zostać – szepnął Marek, wpatrując się osłupiałym wzrokiem w rozciągnięte na ziemi ciała. Na twarzach martwych chłopców widniały ślady błota. – Nie trzeba było ich zostawiać. Powinienem być wrócić i upewnić się że dalej nie pójdą. Trzeba było zostać.

Barry potrząsnął go za ramię, ale Marek nie odwracał wzroku, powtarzając w kółko:

– Trzeba było z nimi zostać. Trzeba było... – Barry z całej siły uderzył go w twarz, raz i drugi, a Marek skrył głowę w ramionach i chwiejnym krokiem zaczął uciekać od ciał, od Barryego i Anthonyego, wpadając przy tym na drzewa i zarośla. Barry pośpieszył za nim i powstrzymał go za ramię.

– Marek! Dostyc tego! Dostyc, słyszysz! – Potrząsnął chłopcem z całej siły. – Wracamy do Waszyngtonu.

Policzki Marka lśniły od łez. Odtrącił dłonie Barry'ego i ruszył z powrotem, nie patrząc więcej na ciała.

* * *

Barry z Bruce'em czekali na brata Andrew i Anthonyego, którzy zażyczyli sobie – a właściwie zażądali – rozmowy z nimi.

– Znowu chodzi o niego, tak – zapytał Bruce. – Tak sądzę.

– Coś trzeba będzie zrobić – rzekł Bruce. – Obaj wiemy, że tak dalej być nie może. Następnym razem zwołają posiedzenie rady, i tyle.

Barry wiedział o tym. Andrew i jego brat weszli i zajęli miejsca. Miny mieli ponure i złe.

– Nie przeczę, że chłopiec miał ciężkie lato – wypalił Andrew. – Nie o to teraz chodzi. Rzecz w tym, że przeżycia odbiły się na stanie jego umysłu. Zachowuje się w sposób infantylny i nieodpowiedzialny, czego nie wolno nam po prostu tolerować.

Takie spotkania stały się od końca lata regułą. Marek naznaczył miodem dróżkę od znajdującego się na zboczu mrowiska do kwatery braci Andrew – i mrówki z niej skorzystały. Marek nasączył wszystkie zapalki, jakie wpadły mu w ręce, roztworem soli, osuszył je starannie i popakował z powrotem do pudełek, po czym z kamienną twarzą przyglądał się, jak starsi bracia, jeden po drugim, usiłują wykrzesać z nich ogień. Marek pozabierał z dormitoriów wszystkie wizytówki. Powiązał nogi śpiącym braciom Patrick i zawołał, żeby natychmiast wstawali.

– Tym razem posunął się za daleko – ciągnął Andrew. – Ukradł te żółte skierowania do szpitala i wysyła dziesiątki kobiet na testy ciążowe. Dziewczyny wpadają w panikę, a personel szpitala i tak jest przeciążony pracą. Nikt nie ma czasu zajmować się podobnymi wariactwami. – Porozmawiamy z nim – obiecał Barry.

– To już nie wystarczy! Rozmawiacie z nim za każdym razem. Za każdym razem on obiecuje, że tego czy owego już nigdy nie robi, po czym robi coś znacznie gorszego. Jego ciągłe ekscesy nie pozwalają nam normalnie żyć!

– Chłopiec przeżył tego lata serię poważnych wstrząsów. Obciążyliśmy go też nadmierną jak na

jego wiek odpowiedzialnością. Ma straszliwe poczucie winy z powodu śmierci tamtych dzieci. Nietrudno zrozumieć, czemu w tej sytuacji powraca do infantylnych reakcji. Dajcie mu jeszcze trochę czasu, aby się ze wszystkim uporał.

– Wykluczone! – Andrew zerwał się z krzesła błyskawicznym, pełnym wściekłości ruchem. – Nie! Koniec z dawaniem czasu! Co on wymyśli następnym razem? – Popatrzył na brata, a tamten skinął głową. – To my jesteśmy celami jego ataków. Nie wy, nie ktokolwiek inny, tylko my. Skąd u niego ta wrogość wobec mnie i moich braci – nie wiem, ale takie są fakty, a my nie mamy zamiaru przejmować się tym chłopakiem bez przerwy, zastanawiać się ciągle, co znów strzeli mu do głowy.

Barry wstał.

– A ja wam powtarzam, że to załatwię.

Andrew przez moment patrzył na niego wyzywająco, aż w końcu rzekł:

– Proszę bardzo. Tylko pamiętaj. Barry, że to się musi skończyć. Natychmiast.

– Skończy się.

Młodszy bracia wyszli. Bruce usiadł z powrotem.

– Co masz zamiar zrobić?

– Sam nie wiem. Wszystkiemu winne to jego odosobnienie. Nie może się przed nikim wygadać, z nikim się nie bawi... Trzeba go zmusić, żeby włączał się przynajmniej w te czynności, przy których inni go zaakceptują.

Bruce zgodził się.

– Na przykład bal sióstr Winona z okazji osiągnięcia dojrzałości. To w przyszłym tygodniu.

Tego samego dnia Barry zawiadomił Marka, że ma być obecny na balu. Marek nigdy formalnie nie wszedł w dorosłą społeczność, nie wydano by przecież specjalnego balu na jego cześć.

Pokręcił głową.

– Nie, dziękuję, wolałbym nie.

– Ja cię nie zapraszam – rzekł z naciskiem Barry. – Ja ci każę tam być i bawić się jak inni. Zrozumiano?

Marek spojrzał na niego z ukosa.

– Rozumiem, ale nie chcę tam pójść.

– Skoro tak, to wynosisz się natychmiast z tego ciepłego gniazdeczka, zostawiasz tu swoje książki i swoją samotność, a wracasz do naszego pokoju albo do sal wykładowych, jeśli zabraknie ci akurat własnych zajęć. Teraz rozumiesz?

Marek kiwnął głową, ale nie popatrzył więcej na Barry'ego.

– W porządku – rzekł z naburmuszoną miną.

Rozdział 26

Kiedy Marek przekroczył próg auli, bal już trwał. Widocznych w przeciwległym krańcu sali tancerzy dzieliła od Marka spora grupka rozchichotanych dziewcząt. Odwróciły się ku niemu, a jedna odłączyła się od grupy i podeszła bliżej. Usłyszawszy za plecami chichoty, dała siostronom znak, aby się uciszyły, ale na próżno.

– Hej, Marku powitała chłopca. – Nazywam się Susan. Nim zdążył pojąć, co się dzieje, dziewczyna zsunęła z dłoni bransoletkę i zaczęła wciskać ją na jego rękę. Bransoleta ozdobiona była sześcioma misternymi łukami.

– Nie. – Marek pośpiesznie cofnął rękę. – Ja... Przepraszam. Nie. – Odwrócił się i wybiegł z sali, słysząc za sobą chichot dziewcząt, jeszcze donośniejszy niż poprzednio.

Pobiegł na przystań. Nie trzeba było uciekać – myślał wpatrując się w czerń wody. Susan i jej siostry miały po siedemnaście lat. Przez jedną noc nauczyłyby go wszystkiego, a on, głupi, odwrócił się i zwał. Muzyka przybierała na sile; niedługo odbędzie się uczta, po której pary i grupki zaczną się oddalać z sali – wszyscy oprócz Marka i dzieci, które nie dorosły jeszcze do zabaw na macie. Na myśl o Susan i jej siostrach robiło mu się na przemian gorąco i zimno.

– Marek?

Marek zeszywniał. Nie poszły chyba za mną? – pomyślał w panice.

– To ja, Rose – powiedziała dziewczyna. – Nie dam ci bransolety, chyba że sam o nią poprosisz.

Zbliżyła się do niego, a wtedy Marek zwrócił twarz ku rzece, udając, że czegoś tam wypatruje. Nie chciał, aby dziewczyna dostrzegła w ciemności jego twarz i rumieniec, którym tętnił kark i policzki. Rose – myślał – jego rówieśniczka, jedna z dziewcząt, które brały udział w leśnym szkoleniu. Rumieniec i zażenowanie z jej powodu oznaczały dla Marka znacznie większą zniewagę niż ucieczka przed siostrami Susan.

– Nie przeszkadzaj – burknął.

– Rozumiem. Widziałam, co się stało. Ale nie przejmuj się. One nie powinny były tak się zachowywać, nie wszystkie naraz. Mówiłyśmy im.

Marek nie odpowiadał. Rose stanęła tuż przy nim.

– Niczego tam nie widać, prawda?

– Prawda. Przeziębisz się tutaj.

– Ty też.

– Czego chcesz?

– Niczego. Za rok latem nie będę już za mała na udział w wyprawie do Waszyngtonu albo do Filadelfii.

Odwrócił się wściekły.

– Idę do swojego pokoju.

– Czym cię tak rozgniewałam? Nie chcesz, żebym jechała do Waszyngtonu? Nie lubisz mnie?

– Lubię. Cześć.

Rose położyła mu dłoń na ramieniu i Marek zatrzymał się, czując, że z powodu tej dłoni nie może zrobić ani kroku.

– Czy mogę pójść z tobą do twojego pokoju? – zapytała głosem tej samej dziewczynki, która w lesie chciała wiedzieć, czy wszystkie grzyby są trujące, czy stworki w drzewach podpowiadają Markowi, którą obrać drogę, i czy naprawdę potrafi on stać się niewidzialny, kiedy zechce.

– A potem wrócisz do swoich sióstr i będziesz się ze mnie naśmiewać tak samo jak Susan –

zaperzył się Marek. – Wcale nie! – szepnęła. – Nigdy! Susan też nie śmiała się z ciebie. One wszystkie były przerażone, bardzo się denerwowały. Najbardziej wystraszona była Susan, bo to do niej właśnie należało założenie ci bransolety. Nikt nie śmiał się z ciebie.

Mówiąc to puściła jego ramię i cofnęła się o krok, potem drugi. Marek widział teraz nieostry, blady zarys jej twarzy. Kiedy mówiła, potrząsała głową.

– Przestraszone? Jak to: przestraszone?

– Umiesz robić rzeczy, których nikt inny nie potrafi. – Rose mówiła cicho, prawie szeptem. – Robisz przedmioty, jakich nikt nigdy nie oglądał, opowiadasz historie, których nikt nigdy nie słyszał, potrafisz zniknąć i wędrować po lesie jak wiatr. Jesteś inny niż wszyscy chłopcy. I inny niż dorośli. Inny niż my wszyscy. I wiemy, że żadna z nas ci się nie podoba, bo nikogo nie bierzesz do łóżka.

– Dlaczego za mną przyszedłeś, skoro tak się boisz?

– Nie wiem. Zobaczyłam, jak uciekasz i... nie wiem.

Znów poczuł, jak zalewa go fala gorąca, i ruszył przodem.

– Możesz iść ze mną. Wszystko mi jedno – rzucił szorstko, nie oglądając się na dziewczynę. – Idę do siebie.

Pulsowanie w uszach nie pozwalało mu słyszeć jej kroków. Szedł pośpiesznie, szerokim łukiem omijając aulę, ze świadomością, że Rose musi biec, aby dotrzymać mu kroku. Aby uniknąć spaceru jasno oświetlonym korytarzem w asyście depreczającej mu po piętach dziewczyny, postanowił wejść do szpitala tylnymi drzwiami. Przed wejściem uchylił je i zerknął do środka, po czym puścił drzwi i prawie biegiem dotarł do pokoju, słysząc za sobą jej pośpieszne kroki.

– Co ty robisz? – zapytała, stając w drzwiach.

– Zasłaniam okno – odparł słysząc irytację we własnym głosie. – Żeby nikt nas nie widział. Często to robię.

– Ale dlaczego?

Schodząc z krzesła starał się na nią nie patrzeć, ale z każdą chwilą przyłapywał się na tym, nie obserwuje Rose. Zdejmowała właśnie długą szarfę, która owijała jej szyję; krzyżowała się na piersiach i kilkakrotnie opasywała talię. Szarfa była granatowa, koloru jej oczu. Włosy Rose miały odcień jasnobrązowy. Marek przypomniał sobie, że latem były całkiem jasne. Nos i ramiona miała usiane piegami.

Uporawszy się z szarfą, Rose uniosła tunikę i ściągnęła ją z siebie jednym ruchem. Palce Marka nagle się ożywiły i bez udziału woli zaczęły i jego rozbierać z tuniki.

Dużo później ona powiedziała, że musi już iść, a on poprosił, żeby jeszcze trochę została. Leżeli w półśnie, ramiona Marka mocno obejmowały dziewczynę. Kiedy powtórnie spróbowała wstać, Marek obudził się na dobre.

– Jeszcze nie – poprosił. Za trzecim przebudzeniem powitał go świt i widok Rose naciągającej tunikę.

– Musisz przyjść znowu – zażądał Marek. – Dzisiaj po kolacji. Dobrze?

– Dobrze.

– Obiecuj. Nie zapomnisz?

– Nie zapomnę. Obiecuję.

Patrzył, jak okręca się szarfą, a kiedy wyszła, odsłonił okno, by za nią popatrzeć. Musiała jednak przejść przez korytarz i wyjść z drugiej strony, bo jej nie zobaczył. Odwrócił się na drugi bok i znów zapadł w sen.

Nareszcie jestem szczęśliwy – myślał Marek. Nocne koszmary się skończyły, przestał go dręczyć powracający nieoczekiwanie lęk. Tajemnice znalazły swe wyjaśnienie i chłopiec zrozumiał,

o co chodziło autorom piszącym w książkach o dążeniu do szczęścia, jakby to szczęście było celem, do którego wiedzie wytrwałość. Patrzył teraz na świat nowymi oczami, a wszystko, co widział, zdawało mu się piękne i dobre.

W dzień, siedząc nad książką, przerywał nagle naukę i z przerażeniem myślał, że może jej już nie ma, że zniknęła, wpadła do rzeki, coś jej się stało. Rzucił wtedy każdą robotę i biegł od budynku do budynku w poszukiwaniu Rose – nie żeby do niej przemówić, po prostu, by ją zobaczyć i upewnić się, że nic jej nie grozi. Czasem odnajdywał ją z siostrami w kafeterii i policzywszy wszystkie z daleka, wypatrywał tej jednej, wyróżnionej czymś szczególnym a nieuchwytnym.

Przychodziła do niego co noc i uczyła tego, czego ją samą nauczyły siostry i inni mężczyźni, aż uniesienie Marka sięgnęło takich szczytów, że dziwił się, jak inni to przed nim wytrzymywali, jak on sam zdolny był wytrzymać takie napięcie.

Po południu Marek biegł do starego domu, gdzie robił medalion dla Rose. Medalion przedstawiał słońce, miał pięć centymetrów średnicy i wykonany był z gliny. Na trzy warstwy żółtej farby Marek nałożył jeszcze czwartą. W starym domu przeczytał ponownie fragmenty książek dotyczących fizjologii, reakcji seksualnych, kobiecości – wszystkiego, co w jakiś sposób odnosiło się do jego szczęścia.

Pewne bliskiej nocy ona powie "nie", a on da jej ten medalion, żeby pokazać, że wszystko rozumie. I będzie jej czytał. Poezję. Sonety Szekspira albo Wordswortha – coś delikatnego i romantycznego. A potem nauczy ją grać w szachy i tak upływać będą ich plantoniczne wieczory – na nauce wszystkiego o sobie nawzajem.

Siedemnaście nocy – myślał czekając na jej przyjście. – Już siedemnaście nocy. Okno zasłonięte, pokój wysprzątany, wszystko gotowe. Kiedy drzwi się otworzyły i stanął w nich Andrew, Marek podskoczył ogarnięty paniką.

– Co się stało? Coś niedobrego z Rose? Co jest?

– Proszę ze mną – przerwał mu surowo Andrew. Zza jego pleców patrzył na Marka któryś z braci.

– Powiedźcie mi, co się stało! – wrzasnął Marek, próbując precyzyjnie się między nimi.

Lekarze pochwycili go za ramiona i przytrzymali.

– Zaprowadzimy cię do niej – rzekł Andrew.

Marek przestał się wyrywać. Przeszył go jakiś nieznany chłód. Bez słowa przemierzili budynek, wyszli przeciwnymi drzwiami i wydrażoną w śniegu ścieżką udali się do jednego z dormitoriów. Marek szarpnął się znowu, ale natychmiast opanował zdenerwowanie i pozwolił się doprowadzić do jednego z pokoi. Przy drzwiach Andrew dał mu lekkiego kuksańca, aby sam wszedł do środka.

– Nie! – wrzasnął Marek. – Nie!

Widział przed sobą kłębowisko nagich ciał, które robiły to wszystko, o czym mówiła mu Rose. Na jego rozpaczliwy krzyk dziewczyna – jak i wszyscy pozostali – uniosła głowę, ale on i bez tego wiedział od razu że to właśnie ją wyłowił wzrokiem spośród reszty. Klęczała, za nią któryś z braci; oderwała się właśnie od jednej ze swych sióstr.

Widział, że poruszają ustami; musieli coś mówić, krzyczeć. Odwrócił się i wybiegł, Andrew zagroził mu drogę, jego usta poruszały się w błyskawicznym tempie. Marek zacisnął pięść i rąbnął z całej siły, najpierw w twarz brata Andrew, a potem tego drugiego.

* * *

– Gdzie on jest? – denerwował się Barry. – Dokąd mógł pójść w środku nocy?

– Nie mam pojęcia – odparł naburmuszony Andrew. Wargi miał spuchnięte i obolałe.

– Nie wolno było tego robić! Wiedziałaś chyba, że skoro pierwszy raz zasmakował seksu, mógł dostać małego rozumu. Sądziłaś, że zniesie to inaczej? Nigdy przedtem się nie kochał! Po co ta głupia dziewczucha do ciebie przyszła?

– Nie wiedziała, co ma robić. Bała się mu odmówić. Próbowwała tłumaczyć, ale on nie chciał nawet słuchać. Kazał jej do siebie przychodzić noc w noc.

– Dlaczego nie zwróciłaś się z tym do nas? – W głosie Barry'ego była gorycz. – Dlaczego uznałaś, że najlepszym lekarstwem będzie szok?

– Przewidywałem, że każesz mu dać spokój. Tak robisz przy wszystkich jego wybrykach. "Dajcie mu spokój, wszystko się samo wyjaśni". Nie wydawało mi się prawdopodobne, aby i tym razem mogło samo minąć.

Barry podszedł do okna i wyjrzał w czarną, zimną noc. Na ziemi leżała metrowa warstwa śniegu, a temperatura była bliska zera.

– Wróci, jak trochę podmarznie – zawyrokował Andrew. – Wróci wściekły na nas wszystkich, a zwłaszcza na mnie ale wróci. Oprócz nas nie ma nikogo. – I Andrew bez pożegnania opuścił pokój.

– Ma rację – powiedział Bruce. W jego głosie drżała nutka wielkiego znużenia. Barry spojrział na niego z ukosa, a potem na resztę braci, którzy podczas całej relacji brata Andrew zachowywali milczenie. Wszyscy byli równie jak on zatroskani o Marka i tak samo jak on zmęczeni nie kończącym się pasmem kłopotów z jego powodu.

– Do starego domu nie mógł pójść – odezwał się po chwili Bruce. – Wie przecież, że zamarzlby tam na kość: komin zablokowany, nie można rozpalić ognia. Pozostaje las. Nawet on nie wytrzyma w lesie nocą przy tej pogodzie. Andrew rozesłał dwunastu młodszych braci na poszukiwanie Marka do wszystkich budynków, nawet na oddział reproduktorek. Druga grupa udała się do starego domu. Ale Marek przepadł jak kamień w wodę. Tuż przed świtem śnieg zaczął padać na nowo.

* * *

Marek odkrył grotę całkiem przypadkowo. Zbierając kiedyś jagody na wzgórzu koło farmy, poczuł na gołych nogach zimny strumień powietrza i odszukał jego źródło. W ścianie wzgórza był otwór przesłonięty – z wyjątkiem niewielkiej szpary – dwoma złomami wapienia. Groty ciągnęły się długim pasmem pod wzgórzami. Marek odkrył już wcześniej kilka innych jaskiń; także laboratoria mieściły się w jaskini.

Ostrożnie podkopał od tyłu jedną z wapiennych płyt, otwierając tym samym wejście do groty na tyle, aby prze, cisnąć się do wewnątrz. Trafił na wąski korytarz, a za nim na skalną komnatę; za którą znów był korytarz, prowadzący do drugiej, większej sali. Przez lata, które upłynęły od dokonania odkrycia, Marek gromadził w jaskini drewno na opał, ubrania, koce i żywność.

Tej nocy leżał skulony w drugiej komnacie i, oczami bez śladu łez wpatrywał się w rozpalone niedawno ognisko, pewien, że w tej kryjówce nikt go nie odnajdzie. Nienawidził ich wszystkich, a najbardziej braci Andrew. Poczekaj, aż śnieg stopnieje, i ucieknij stąd raz na zawsze. Uda się na południe. Zbuduje nowe czółno, tym razem dłuższe, pięciometrowe, i ukradnie tyle zapasów, ile mu będzie potrzeba. Popłynie aż do Zatoki Meksykańskiej. Niech sobie sami szkolą swoich chłopców i dziewczyny, niech szukają magazynów, niech trafiają, jeśli im się uda, na niebezpieczne tereny skażone. Najpierw puści całą dolinę z dymem. A potem odejdzie.

Wpatrywał się w ogień, aż zaczęło mu się zdawać, że to płoną jego oczy. W jaskini nie było słyhać żadnych odgłosów poza trzaskami i cichymi wybuchami płomieni. Blask ognia ślizgał się po

stalaktytach i stalagmitach, barwiąc je na czerwono i złoto. Dym omijał twarz Marka, powietrze było przyjemne, a przez kontrast z chłodem nocy niemal ciepłe. Przypomniawszy sobie, jak razem z Molly ukrywali się na zboczu w pobliżu wejścia do jaskini, ścigani przez Barryego i jego braci. Na myśl o Barrym zacisnął zęby. Barry, Andrew, Warren, Ethan... Wszyscy ci lekarze są jednakowi. Jakże ich nienawidził!

Otulił się kocem, a kiedy zamknął oczy, znów ujrzał Molly: łagodnie uśmiechniętą, przy grze w warcaby, przy wykopywaniu gliny do rzeźbienia. Poczł przyplłw łez.

Nigdy przedtem nie zwiedzał jaskini poza drugą komnatą, teraz jednak podjął systematyczne wyprawy w jej głąb. Z komnaty, w której zamieszkał, było kilka wyjść. Marek badał je kolejno, póki nie natrafił na zawalony korytarz, osypisko, czy też strop nazbyt wysoki, aby udało się dosięgnąć ewentualnych szczelin. Chodził z pochodniami i nie uważał specjalnie, gdzie stąpa: było mu wszystko jedno, czy upadnie, czy nie, czy dostanie się w zasadzkę, czy też ją ominie. Stracił rachubę dni spędzonych w grocie: kiedy był; głodny – jadł, kiedy chciało mu się pić – szedł do wyjścia i zgarniał trochę śniegu, który następnie topił przy ogniu. Kiedy był śpiący, kładł się spać.

Podczas jednej z ostatnich wypraw terenoznawczych posłyszał szmer płynącej wody. Wiedział, że zaszedł daleko, jakieś dwa kilometry. Może trzy. Spróbował sobie przypomnieć, jaką długość miała pochodnia, kiedy z nią wyruszał: była ledwie nadpalona, teraz zaś została z niej raptem jedna trzecia. Zapasową pochodnię miał przytroczoną do pasa na wszelki wypadek, lecz nigdy jeszcze nie zawędrował tak daleko, aby musiał jej użyć w drodze powrotnej. .

Drugą pochodnię zapalił jeszcze przed dojściem do podziemnej rzeki. Z nagłym ożywieniem uświadomił sobie, że musi to być ta sama rzeka, która przepływa przez jaskinię – laboratorium. Byłby to więc jeden system jaskiń, nawet jeśli poza połączeniem wyżłobionym przez rzekę nie istniało między grotami żadne inne przejście.

Śledził bieg rzeki, póki nie zniknęła w skalnym otworze; gdyby chciał dostać się dalej, musiałby płynąć. Przykucnął i bacznie przyjrzał się otworowi w ścianie. Właśnie przez taki otwór rzeka wpadała do laboratorium.

Postanowił, że następnym razem przyjdzie tu z liną i większym zapasem pochodni. Ruszył z powrotem do swej skalnej komnaty z ogniskiem i pożywieniem, tym razem jednak zwracał baczniejszą uwagę na pochodnię, chcąc dokładnie wiedzieć, jaką przemierza odległość, a co za tym idzie jak daleko znajdowała się tamta ściana od znanej mu części jaskini. Ale i tak był już prawie pewien, gdzie dotarł. Wiedział, że po drugiej stronie ściany znajduje się laboratorium, dalej zaś szpital i dormitoria.

Jeszcze jedną noc przespał w jaskini, a następnego ranka opuścił ją, by powrócić w dolinę. Przez kilka ostatnich dni jadał bardzo niewiele, czuł się na wpół zamorzony głodem i śmiertelnie zmęczony.

Pokrywa śniegu była o kilkanaście centymetrów grubsza, niż ją pamiętał, a śnieg padał nadal, kiedy Marek wkraczał z powrotem w dolinę. Gdy otworzył drzwi budynku szpitala, było już prawie ciemno. Napotkał kilka osób, ale z nikim nie rozmawiał. Udał się prosto do swojego pokoju, gdzie ściągnął wierzchnie okrycie i zwałił się na łóżko. Spał już prawie, kiedy w drzwiach pojawił się Barry.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Marek bez słowa kiwnął głową. Po chwilowym wahaniu Barry wszedł do pokoju. Stał przy łóżku Marka. Chłopiec bez słowa podniósł na niego wzrok, a on wyciągnął dłoń, dotykając najpierw jego policzka, a potem włosów.

– Zmarznięty jesteś – rzekł. – Nie chcesz jeść? Marek kiwnął głową, że tak.

– Przyniosę ci coś do jedzenia – powiedział Barry. Zanim jednak otworzył drzwi, ponownie odwrócił się do Marka. – Bardzo żałuję tego, co się stało – rzekł cicho. – Naprawdę, Marku, bardzo mi przykro. – Po czym szybko wyszedł.

Kiedy za Barrym zamknęły się drzwi, Marek uświadomił sobie, że wszyscy musieli uznać go już za zmarłego i że ten sam wyraz twarzy, który dostrzegł u Barry'ego, widział już kiedyś, dawno, u Molly.

Wszystko mi jedno – pomyślał. Żeby nie wiem co robili, nie odkupią wyrządzonej mu krzywdy. Nienawidzili go i myśleli, że jest słaby; zdawało im się, że mają nad nim taką samą władzę, jak nad klonami. Ale mylili się. Przeprosiny Barry'ego to mało. Barry żałuje? Jeszcze wszyscy pożąują, zanim Marek powie ostatnie słowo.

Kiedy usłyszał, że Barry wraca z jedzeniem, zamknął oczy i udał, że śpi, nie chcąc znowu oglądać tej pokornej, gotowej do przyjmowania ciosów twarzy.

Barry zostawił tacę przy łóżku Marka, a po jego wyjściu chłopiec pochłonał wszystko łapczywie. Naciągnął kołdrę na głowę i przed zaśnięciem jeszcze raz pomyślał o Molly. Ona wiedziała, że kiedyś będzie się czuł właśnie tak jak dzisiaj. Dlatego kazała czekać, czekać, aż stanie się mężczyzną, aż nauczy się, czego tylko można. Twarz Molly zaczęła się zlewać z obliczem Barry'ego i Marek zapadł w sen.

Rozdział 27

To Andrew zwołał posiedzenie rady, on też był przewodniczącym zebrania. Nikt już nie kwestionował praw brata Andrew do nadzorowania posiedzeń rady. Obserwujący go z bocznego rzędu Barry próbował wykrzesać z siebie choćby iskierkę entuzjazmu, jaki demonstrowali młodszy bracia.

– Kto ma ochotę, może obejrzeć wykresy i zestawienia. Omówiłem tu pokrótce jedynie wnioski, nie wdając się w opisy metod. Możemy mnożyć się przez klonowanie w nieskończoność. Problem, który dręczył nas od początku problem spadku krzywej w piątej generacji – został nareszcie rozwiązany. Piąta, szósta, dziesiąta, setna – wszystkie generacje będą teraz bez zarzutu.

– Ale dotyczy to tylko klonów pochodzących od najmłodszych dawców – zauważyła cierpko Miriam.

– To także wyjaśnimy – odparł z irytacją Andrew. – Są organizmy, które na zmiany enzymatyczne reagują ostrym załamaniem na tle uczuleniowym. Zbadamy, skąd się to bierze, i zajmiemy się tym zjawiskiem.

Barry uświadomił sobie nagle, że Miriam wygląda bardzo staro. Dotychczas nie zauważył jej siwych włosów, wychudłej twarzy, siateczki zmarszczek wokół oczu. Miriam wyglądała na śmiertelnie zmęczoną.

Z rozbijającym uśmiechem zwróciła się do brata Andrew: – Sądzę, że ty, Andrew, istotnie zdołasz rozwiązać postawiony przed chwilą problem, ale czy potrafią tego dokonać młodszy lekarze?

– Nadal będziemy korzystali z usług reproduktorek odparł Andrew z nutką zniecierpliwienia w głosie. – Za ich pośrednictwem będziemy klonować dzieci odznaczające się szczególną inteligencją. Implantacja klonów, których nosicielkami będą reproduktorki, zapewni nam stałą ilość osobników wystarczająco pojętnych, aby mogli kontynuować...

Barry przyłapał się na nieuwadze. Słyszał to wszystko już raz, na specjalnym zebraniu lekarzy poprzedzającym posiedzenie rady. Dwie kasty – myślał z goryczą. – Przywódcy i siła robocza, wśród których nie ma niezastąpionych. Czy to właśnie przewidziano na samym początku? Wiedział, że nie znajdzie odpowiedzi na to pytanie. Klony, co prawda, pisały książki, ale każde nowe pokolenie zmieniało ich treść bez skrępowań, zgodnie z własnymi przekonaniem. Szczerze mówiąc, Barry również dokonywał takich poprawek. A teraz Andrew poczyni dalsze zmiany. I będą to już zmiany ostatnie, gdyż w następnym pokoleniu nie znajdzie się nikt, komu przysłoby do głowy reformowanie czegokolwiek.

– .., i kosztowniejsze, niż sądziliśmy, jeśli idzie o siłę roboczą – ciągnął Andrew. – Lodowce nacierają na Filadelfię z rosnącą szybkością. Być może zostało nam nie więcej niż dwa lub trzy lata na wydobycie tego, co da się uratować – i ten wysiłek kosztuje nas bardzo drogo. Potrzebujemy setek szperaczy, którzy wyprawiają się na południe i wschód, do miast wybrzeża. Mamy w tej chwili kilka znakomitych modeli: bracia Edward okazali się szczególnie dobrymi szperaczami, podobnie jak twoje małe siostrzyczki Ella, droga Miriam. Wszyscy będą nam bardzo pomocni.

– Moje siostrzyczki Ella nie potrafiłyby przenieść krajobrazu na mapę, nawet gdyby je przywiązać za nogę do stołu i zagrozić poszatkowaniem w plasterki – zaperzyła się Miriam. – Właśnie o tym cały czas wam mówię. Oni wszyscy potrafią robić tylko to, czego ich nauczono, i to dokładnie tak, jak się nauczyli.

– Nie umieją kreślić map, ale potrafią wrócić tam, skąd przyszli – zaproponował Andrew, nie kryjąc już niezadowolenia z obrotu, jaki przybrało posiedzenie. – Niczego więcej od nich nie żądamy. Myśleć będą za nich klony hodowane w łożyskach reproduktorek.

– A więc to prawda – przerwała mu Miriam. – Jeśli nastąpi zmiana formuły, powstawać będą jedynie takie klony, o jakich mówiłeś.

– Tak jest. Nie potrafimy na razie pogodzić dwóch procesów chemicznych, dwóch formuł, dwóch gatunków klonów. Zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie posłużyć się – doraźnie tą metodą, przy czym nie przerywamy prac zmierzających do udoskonalenia procesów, o czym mogę cię zapewnić. Odczekamy siedem miesięcy, aż pojemniki się opróżnią, i wtedy zaprowadzimy konieczne modyfikacje. Pracujemy również nad harmonogramem, według którego w optymalnym czasie będzie się klonować członków rady i tych wszystkich, którzy zdradzają uzdolnienia przywódcze. Zapewniam cię, Miriam, że nie rzucamy się pochopnie w nową sferę działań, lecz rozważamy wszystkie jej aspekty. O każdym kolejnym posunięciu będziemy informować tu zebranych...

* * *

W gęsto utkanym szalasiu nie opodał młyna Marek uniósł się na łokciu i spojrzał na leżącą u jego boku dziewczynę. Miała, tak jak i on, dziewiętnaście lat.

– Zmarzłaś – powiedział. Kiwnęła głową.

– Już wkrótce nie będziemy mogli tu przychodzić.

– Możemy się umawiać na starej farmie – zaproponował Marek.

– Wiesz dobrze, że ja nie mogę.

– A co się dzieje, kiedy przekraczasz granicę? RzUCA się na ciebie ognisty smok?

Roześmiała się.

– Nie, poważnie – nalegał Marek. – Co się wtedy dzieje? Próbowalaś się przekonać?

Dziewczyna usiadła i objęła swe nagie ciało ramionami.

– Naprawdę mi zimno. Muszę się ubrać.

Marek nie pozwalał jej dosięgnąć tuniki.

– Najpierw mi odpowiedz.

Bez skutku spróbowała złapać sukienkę i nie trafiwszy, przewróciła się na Marka. Przez chwilę leżeli przytuleni. Marek naciągnął na nią koc i gładząc ją po plecach ponowił pytanie:

– Co się dzieje. kiedy próbujesz wyjść?

Westchnęła i odsunęła się od niego.

– Raz próbowałam – wyznała. – Chciałam się dostać do domu, do sióstr. Ciągle płakałam, ale płacz nie przynosił ulgi. Widziałam światła w oknach, one były o kilkadziesiąt kroków ode mnie. Z początku biegłam, ale zaczęło mi się robić dziwnie, chyba słabo. Musiałam przystanąć. Byłam zdecydowana za wszelką cenę dotrzeć do domu, więc ruszyłam dalej, nie za szybko, gotowa w każdej chwili uchwycić się czegoś, gdybym zaczęła mdleć. Kiedy doszłam do granicy terenu – to jest żywopłot, wiesz przecież, zwykły różany żywopłot, otwarty z obu stron, więc naprawdę nie problem go obejść – kiedy do niego doszłam, tamto uczucie powróciło i wszystko dookoła zaczęło wirować. Czekałam długo, aż przejdzie, ale nie przeszło. Pomyślałam sobie jednak, że jeśli będę patrzeć tylko na własne nogi i przestanę zwracać uwagę na cokolwiek poza nimi, to jakoś zdołam iść dalej. I poszłam. – Leżała teraz obok niego sztywno wyprostowana, a jej głos był w dalszej części relacji prawie niedosłyszalny. – Dostałam torsji. Gdy nic już nie miałam w żołądku, zaczęłam wymiotować krwią. Myślę, że w końcu rzeczywiście zemdlałam. Obudziłam się z powrotem w sali reproduktorek.

Marek delikatnie dotknął jej policzka i przyciągnął dziewczynę do siebie. Wstrząsały ją gwałtowne dreszcze. – Cicho, cicho – uspokajał ją. – Już dobrze. Nic ci więcej nie grozi.

Nie krępują ich ściany – rozmyślał, gładząc dziewczynę po włosach. Żaden mur nie stoi im na

przeszkodzie, a mimo to nie są w stanie podejść do rzeki, nie mogą bardziej niż ona teraz zbliżyć się do młyna, nie potrafią wyjść poza różany żywopłot ani wejść w las. A jednak Molly się to udało – pomyślał zapalczywie. – Im także się uda.

– Muszę wracać – oświadczyła nagle dziewczyna. Na jej twarzy pojawił się wyraz paniki, który ona sama nazywała pustką.

– Ty nie możesz wiedzieć, jak to jest – usiłowała wyjaśnić Markowi. – My jesteśmy nierozdzielni z natury. Moje siostry i ja to było jedno, jeden organizm – a ja sama jestem tylko częścią tamtego organizmu. Czasem; na krótko, udaje mi się o tym zapomnieć – kiedy jestem z tobą, udaje mi się na krótko o tym zapomnieć – ale to wraca, zawsze, i na nowo ogarnia mnie uczucie pustki. Gdybyś wywrócił mnie na drugą, stronę, okazałoby się, że tam w środku nie ma nic.

– Muszę z tobą porozmawiać, zanim pójdziesz, Brendo rzekł Marek. – Jesteś tu od czterech lat, prawda? Dwa razy byłeś w ciąży. Zbliży się już chyba trzeci termin?

Skinęła głową, naciągając na siebie tunikę.

– Posłuchaj mnie, Brendo. Tym razem ma być inaczej niż dotychczas. Oni postanowili klonować siebie poprzez implantację sklonowanych komórek w ciała reproduktorek. Czy rozumiesz, co mówię?

Pokręciła przecząco głową, ale słuchała uważnie, w napięciu.

– Inaczej. Pozmieniali skład chemiczny substancji, którą otrzymują klony w pojemnikach. W rezultacie mogą jednego osobnika klonować w nieskończoność, ale on sam jest nienacechowany. Nowe klony nie są w stanie samodzielnie myśleć, nie zachodzą w ciążę, nie płodzą, nigdy nie będą mieć własnych dzieci. Dlatego członkowie rady boją się o utratę swoich uzdolnień, talentów. Umiejętność rysowania, którą posiada Miriam, jej fotograficzna pamięć wzrokowa – wszystko to przypadnie bezpowrotnie, jeśli nie przekażą tego poprzez klonowanie następnej generacji. Ponieważ nie mogą użyć w tym celu pojemników, wykorzystają płodne kobiety. Wszczepią ci swoje klony, trojaczki. A ty po dziewięciu miesiącach urodzisz im trzech nowych braci Andrew albo trzy nowe Miriam czy Lawrenceów – kogo tam zechcą. Wezmą do tego najzdrowsze, najsilniejsze dziewczyny. Jednocześnie sztuczna inseminacja będzie się rozwijać na coraz większą skalę. Jeśli uda im się wyhodować jakiś nowy talent, sklonują go kilkakrotnie, klony wszczepią wam i znów będą mieli kilka egzemplarzy.

Oślupiała dziewczyna była najwyraźniej zaintrygowana gwałtownością przemowy Marka.

– A co to za różnica? – zapytała. – Jeśli w ten właśnie sposób możemy się najlepiej przysłużyć społeczności, naszym obowiązkiem jest poddać się tym zabiegom.

– Nowe dzieci z pojemników nie otrzymają nawet imion ciągnął Marek. – Będzie się ich wołać Benki, Tomki albo Anki, wszystkie tak samo, a potem tak samo ich klony, i tak dalej.

W milczeniu sznurowała sandały.

– A ty, jak myślisz: ile razy twoje ciało potrafi wydać na świat trojaczki? Trzy? Cztery?

Już go nie słuchała.

* * *

Marek wspiął się na wzgórze i usadowiony na złomie wapienia obserwował uwijających się w dole ludzi. Widział rozległe tereny farmy, która rozrastała się z każdym rokiem, wypełniając w końcu całą dolinę, aż po zakole rzeki. Jedyne stary dom był oazą drzew pośród jesiennych pól, przypominających teraz pustynię. Bydło nieśpiesznie powracało do ogromnych obór. Nagle ukazała się Markowi grupa małych chłopców, pochłoniętych zabawą, w której trzeba było dużo biegać,

padać i znów stawać dobiegu. Było ich ze dwudziestu, może więcej. Ich głosy nie docierały do miejsca, gdzie siedział Marek, ale on i tak wiedział, że chłopcy śmieją się radośnie.

– I co w tym złego? – zapytał głośno i zdumiał się brzmieniem własnego głosu. Wiatr poruszył drzewami, ale w ich szumie nie było słów, nie było odpowiedzi.

Chłopcy byli zadowoleni, nawet szczęśliwi, a on, obcy malkontent, chciałby stłamsić te ich uczucia dla zaspokojenia własnych – egoistycznych bez wątpienia – mrzonek. Ogarnięty poczuciem samotności, chciałby rozsadzić od środka całą tę mozolnie pracującą i zadowoloną z życia społeczność.

W dole pod sobą ujrzał dziesięć siostr Ella, z których każda była wierną kopią jego matki. Na chwilę powrócił obraz Molly wyzierającej zza krzaka, śmiejącej się razem z nim. Obraz zniknął i Marek znów spojrział na zmierzające ku dormitorium dziewczęta. Z budynku wyszły trzy siostry Miriam. Obie grupy zatrzymały się, aby porozmawiać.

Marek przypomniał sobie, jak Molly ożywiała postacie na papierze: tu kreska, tam kreska, trochę zanadto uniesiona brew, zbyt głęboki dołek w policzku – zawsze trochę w niezgodzie z rzeczywistością, ale właśnie dzięki takim detalom szkic nabierał życia. Marek wiedział, że nikt już nie potrafiłby tak rysować. Ani Miriam, ani jej siostrzyczki Ella. Talent Molly należał do przeszłości, być może nieodwołalnie zamkniętej. Każda nowa generacja coś traciła: czasem coś, czego nie sposób było odzyskać, czasem coś, co nie od razu dawało się zdefiniować. Młodszy bracia Everetta nie potrafili sobie poradzić z nową dla nich awarią w końcu komputera, a gdy przez kilka dni brakowało prądu, nie wiedzieli, jak utrzymać przy życiu rozwijające się w pojemnikach płody. Póki dorośli byli w stanie przewidzieć ewentualne kłopoty i nauczyć klony, jak sobie z nimi radzić, niebezpieczeństwo właściwie nie groziło, ale wypadki mają to do siebie, że bywają nie do przewidzenia, katastrof nie da się przepowiedzieć, wobec czego każdy poważniejszy incydent groził zniszczeniem całej doliny z tego tylko powodu, że nikt nie potrafił się znaleźć w nowo powstałej sytuacji.

Marek przypomniał sobie swoją rozmowę z Barrym.

– Żyjemy na czubku piramidy – argumentował wówczas. – Pod sobą mamy solidny fundament, ale sami jesteśmy ponad nim, ponad racjonalnym wyjaśnieniem całej konstrukcji. Za nic nie ponosimy odpowiedzialności: ani za samą budowlę, ani za to, co będzie ponad nami. Niczego tej piramidzie nie zawdzięczamy, a mimo to jesteśmy od niej całkowicie zależni. Jeśli piramida popęka i skruszy się w pył, nie będziemy umieli temu zapobiec, nie zdołamy uratować nawet siebie samych. Kiedy wali się fundament, szczyt też obraca się w gruzy, niezależnie od tego, jak wysoko rozwinięte formy życia zdążyły na nim powstać. Gdy ta chwila nadejdzie, wierzchołek rozsypie się w proch razem z fundamentem. Jeśli chce się zbudować coś nowego, trzeba zaczynać od samej podstawy, a nie stawiać to na czubku budowli wznoszonej przez minione wieki. , – Chcesz zmienić ludzi z powrotem w dzikusów!

– Chcę im pomóc zejść z wierzchołka piramidy. Ta piramida zaczyna się rozsypywać. Z jednej strony śnieg i lód, z drugiej – zmiany pogody i czas. Zawali się, a wówczas ujdą z życiem jedynie ci, którzy się od niej w żaden sposób nie uzależnili.

Miasta były martwe – dokładnie tak, jak mówiła Molly. Jak na ironię, zdobycze techniki, które umożliwiły życie w dolinie, będą podtrzymywać to życie tylko dopóty, dopóki nie zginie ostatnia szansa uratowania się po upadku piramidy. Wierzchołek stoczy się w dół po którejś ze ścian i zapadnie w otaczający podstawę śmietnik, na którym spoczywają już liczne, pozornie doskonałe i wiecznotrwałe technologie.

Nikt już nie rozumie istoty działania komputero – rozmyślał Marek – podobnie jak nikt, z

wyjątkiem braci Lawrence, nie pojmuje zasady, na jakiej pracuje koło łopatkowe. i silnik parowy, który je napędza. Dysponując odpowiednimi materiałami, młodszy bracia potrafią je naprawić, przywrócić do stanu wyjściowego, nie mają jednak pojęcia o zasadach działania tak komputera, jak i łodzi. Gdyby zabrakło jakiejś śrubki, żaden z nich nie byłby w stanie sporządzić elementu zastępczego. Ta prawda decydowała o nieuchronnej zagładzie doliny i wszystkich jej mieszkańców.

Oni jednak są szczęśliwi – mitygował się, patrząc jak domy w dolinie rozbłyskują światłami. Nawet reproduktorki nie narzekały na swój los: miały dobrą opiekę, rozpieszczano je wręcz w porównaniu z kobietami, które co lato uczestniczyły w wyprawach rzeką, czy też tymi, które godzinami pracowały na polach i w ogrodach. A gdy zanadto dokuczyła im samotność, narkotyki umiały przynieść pociechę.

Byli szczęśliwi, gdyż nie starczało im wyobraźni na spoglądanie w przyszłość, toteż każdy, kto usiłował ostrzec ich przed niebezpieczeństwem, stawał się automatycznie wrogiem publicznym. Takim jak on sam, który zakłócał doskonałość ich egzystencji.

Niespokojnym wzrokiem obiegał dolinę, póki młyn nie przykuł jego spojrzenia. Podobnie jak niegdyś jego przodek, Marek pojął, że to jest właśnie słaby punkt miejsce otwarte na ciosy.

Poczekaj, aż staniesz się mężczyzną . – przestrzegala go Molly. Ale Molly nie mogła przecież wiedzieć, że Marek był z dnia na dzień coraz bardziej zagrożony, że z każdą dysputą nad jego przyszłością bracia Andrew byli coraz mniej skłonni do wybaczenia. Z namysłem wpatrywał się w młyn o ścianach spłowiałych aż do srebrzystej szarości, otoczony ceglasytymi, brunatnymi i złotymi drzewami, przez które przebijała wieczna zieleń sosen i świerków. Dobrze byłoby to namalować – przyszło mu nagle do głowy i Marek podniósł się ze śmiechem. Nie ma czasu na malowanie. Czas stał się teraz jego głównym celem: potrzebował więcej czasu, a oni mogli lada dzień dojść do wniosku, że dać mu czas, to wydać wyrok na nich wszystkich. Ni stąd, ni zowąd usiadł ponownie i już bez uśmiechu, z oczami zwięzonymi głębokim namysłem, zaczął przyglądać się młynowi i jego otoczeniu.

* * *

Posiedzenie rady trwało prawie cały dzień, a po jego zamknięciu Miriam poprosiła Barryego, aby się z nią przespacerował. Popatrzył pytająco, ale ona bez słowa pokręciła głową. Przechadzali się wzdłuż rzeki, a gdy zniknęli już z pola widzenia innych, Miriam wyznała:

– Czy zechcesz oddać mi przysługę? Chciałabym odwiedzić starą farmę. Potrafisz dostać się do środka?

– Po co? – zapytał zdumiony Barry.

– Nie wiem. Prześladowuje mnie chęć obejrzenia obrazów Molly. Ja ich, widzisz, nigdy nie oglądałam.

– Ale dlaczego?

– Potrafisz się tam dostać?

Barry kiwnął głową i ruszyli przed siebie.

– Kiedy chciałabyś tam pójść?

– Czy teraz byłoby za późno?

Tylne drzwi domu były luźno zabite deskami. Nie potrzebowali nawet łomu. Barry poprowadził Miriam na górę, wysoko dzierząc lampę naftową, która rzucała na ścianę dziwaczne cienie. Dom ział głęboką pustką, jakby Marek już od bardzo dawna go nie odwiedzał.

Miriam w milczeniu przyglądała się obrazom. Nie dotykała niczego, tylko trzymając dłonie

mocno splecione przed sobą posuwała się od jednego płótna do drugiego.

– Należałoby je stąd przenieść – rzekła wreszcie. – Zbutwieją tu do cna.

Kiedy doszła do wyrzeźbionego przez Marka popiersia Molly, dotknęła go z nabożnym niemal szacunkiem.

– Tak, to ona – powiedziała cicho. – Chłopiec odziedziczył po niej talent, prawda?

– Tak, ma talent – odparł Barry.

Miriam oparła dłonie na rzeźbionej głowie.

– Andrew chce go zabić.

– Wiem o tym.

– Wykonał to, o co im chodziło, a teraz stał się groźny i trzeba z nim skończyć. – Przesunęła palcem wzdłuż policzka rzeźby. – Ta głowa jest trochę zanadto wydłużona i spiczasta, ale to tylko upodabnia ją do Molly, zamiast odwrotnie. Nie potrafię zrozumieć, czemu tak się dzieje, a ty?

Barry pokręcił przecząco głową.

– Czy on będzie się ratował? – zapytała Miriam głosem przesadnie opanowanym, nie patrząc Barry'emu w oczy.

– Nie wiem. Jak miałby się ratować? Sam w lesie nie przeżyje. Andrew nie pozwoli mu przebywać wśród nas dłużej niż parę miesięcy.

Miriam westchnęła i cofnęła dłoń od rzeźbionej głowy. – Przykro mi – szepnęła ni to do Barry'ego, ni to do Molly.

Barry podszedł do okna z widokiem na dolinę i spojrział przez szparę między deskami, którą kiedyś zrobił Marek. Jak tam ładnie – pomyślał. – Ten gęstniejący zmierzch, widoczne w dali niewyraźne światelka i otaczające wszystko czarne wzgórza...

– Miriam – odezwał się po chwili – czy gdybyś wiedziała, jak mu pomóc, zdecydowałabyś się na to?

Zapadła długotrwała cisza, a kiedy Barry uznał, że nie doczeka się już odpowiedzi, Miriam przemówiła:

– Nie. Andrew ma rację. Tu nie chodzi o zagrożenie w sensie fizycznym, lecz o to, że sama jego obecność jest dla nas bolesna. Przypomina nam o czymś nieuchwytnym, co dla nas jest szkodliwe, a może nawet zabójcze, a co staramy się przy nim odzyskać, ponosząc ciągle nowe klęski. Te męczarnie. ustaną dopiero, gdy go nie będzie, nie wcześniej. – Podeszła do okna, przy którym stał Barry. – Za rok, dwa zaczną nam zagrażać na inne sposoby. Najważniejsze jest tamto. – Ruchem głowy wskazała dolinę. – Żadnych jednostek, nawet gdyby jego śmierć miała zabić nas oboje.

Barry otoczył ją ramieniem i razem zapatrzyli się w widok za oknem. Nagle Miriam zeszywniała.

– Patrz! Pali się!

Ledwie widoczna świetlna linia rozrosła się na ich oczach i rozpełzła w dwóch przeciwnych kierunkach: do góry i w dół. Nastąpił wybuch, coś ostro rozbłysło, a obie linie ognia zaczęły posuwać się do przodu.

– Młyn spłonie! – krzyknęła Miriam, rzucając się ku schodom. – Szybciej, Barry! To tuż nad młynem!

Barry stał przy oknie zauroczony ruchomymi liniami ognia. To on – pomyślał. Marek próbował spalić młyn.

Rozdział 28

Setki ludzi wyległy na zbocze, aby gasić pożar traw. Inni patrolowali teren wokół elektrowni, pilnując, aby wiatr nie przyniósł tam ani iskierki. Szlauchami polewano krzaki, drzewa i dach masywnej drewnianej budowli. Dopiero spadek ciśnienia wody uświadomił im, że stają oto wobec kolejnego poważnego problemu.

Strumień wody, który uruchamia elektrownię, zmienił się w ledwie ciekącą strużkę. W całej dolinie pogasty światła na skutek automatycznego skierowania pozostałej mocy do laboratorium. Włączył się system pomocniczy, który utrzymywał laboratorium w ruchu na zmniejszonej mocy. Wyłączone zostało wszystko z wyjątkiem obwodów biegnących bezpośrednio do pojemników z klonami.

Naukowcom, lekarzom i technikom noc upłynęła na rozważaniu sposobów walki z kryzysem. Liczne szkolenia, przez które przeszli, nauczyły ich bardzo dokładnie, jak w takiej sytuacji postąpić, toteż ani jeden klon nie padł ofiarą katastrofy, chociaż cały system uległ zakłóceniu przez nie kontrolowaną przerwę w dopływie prądu.

Grupa mężczyzn udała się brodząc w górę strumienia w poszukiwaniu przyczyny zmniejszenia przepływu wody. O brzasku wpadli na osuwisko skalne, które niemal całkowicie tamowało rzeczkę, i natychmiast zabrali się do jego usuwania.

– Chciałeś spalić młyn? – zapytał Barry.

– Nie. Gdybym chciał go spalić, zaproszyłbym ogień w młynie, a nie w lesie. Gdybym chciał go spalić, tobym go spalił.

Marek stał po drugiej stronie biurka Barryego. Nie był ani krnąbrny, ani przerażony. Czekał.

– Gdzie byłeś przez całą noc?

– W starym domu. Czytałem o Norfolk, przeglądałem mapy...

– Starczy. – Barry zabębnił palcami po biurku, odsunął wykresy, które przed chwilą studiował, i wstał. – Posłuchaj, Marku. Są tacy, według których ty odpowiadasz i za pożar, i za zatamowanie rzeki, za wszystko razem. Mówiłem im to samo, co ty mnie: że gdybyś chciał spalić młyn, mógłbyś to zrobić z łatwością, nie uciekając się wcale do tak wymyślnych sztuczek. Problem pozostał na razie nie rozstrzygnięty. Młyn to jest już granica, której nie wolno ci przekroczyć. Tak samo jak laboratorium, jak stocznia. Rozumiesz?

Marek kiwnął głową. Środki wybuchowe, używane do oczyszczania nurtu rzeki, przechowywano w budynkach stoczni.

– Kiedy zaczęło się palić, byłem w starym domu – oznajmił nagle Barry lodowatym, szorstkim tonem. – Zauważyłem przez okno rzecz zdumiewającą. Wyglądało to na jakiś wybuch. Sporo o tym myślałem. Mógłby to być wybuch wystarczająco silny, aby uruchomić osypisko. Z doliny nie dałoby się go oczywiście zauważyć, a odgłos mógłby zostać stłumiony przez umieszczenie źródła wybuchu choćby minimalnie pod ziemią, no i przez harmider, jaki zapanował po dostrzeżeniu pożaru.

– Barry – przerwał mu Marek. – Kilka lat temu powiedziałeś mi coś bardzo ważnego, w co uwierzyłem wówczas i w co nadal wierzę. Powiedziałeś, że nigdy nie wyrządzisz mi krzywdy. Pamiętasz? – Barry skinął głową. Wciąż był chłodny i czujny. – Teraz ja mówię ci to samo. Zrozum, że ci ludzie mnie również są bliscy. Obiecuję ci, że nigdy nie spróbuję wyrządzić im krzywdy. Nigdy celowo ich nie zraniłem i nigdy tego nie zrobię. Słowo.

Marek uśmiechnął się, widząc nieufną minę Barry'ego. – Nie okłamałem cię ani razu. Niezależnie od sytuacji, przyznawałem się do winy, kiedy mnie pytałeś. Teraz także nie kłamię.

Barry ni stąd, ni zowąd usiadł ponownie.

– Dlaczego zainteresowało cię Norfolk? Co to za miejsce?

– Była tam morska baza wojskowa, jedna z największych na Wschodnim Wybrzeżu. Kiedy zbliżał się koniec, setki okrętów musiały pewnie powędrować do suchego doku. Spadał poziom wód w oceanach. W zatokach Chesapeake i Delaware też byłoby za płytko, więc statki umieszczono tam, gdzie było wysoko i sucho – nazywano to wówczas pakowaniem w naftalinę. Ile tam musi być metalu! Stal nierdzewna, miedź, mosiądz...

Niektóre z takich statków miały i po tysiąc osób załogi, a więc i zapasy dla tysiąca, lekarstwa, szkło laboratoryjne, co chcesz.

Wątpliwości Barry'ego rozwiały się ostatecznie, a dokuczliwa świadomość czegoś nie do końca rozwikłanego pierzchła podczas rozmowy o możliwościach wysłania ekspedycji do Norfolk zaraz na początku wiosny. Dopiero znacznie później Barry uświadomił sobie, że nie zadał Markowi zasadniczych pytań: czy to on podłożył ogień i czy to on rozsadził skały, które osunęły się do rzeki. A jeśli tak – to w jakim celu? Stracili mnóstwo czasu, jeszcze przez kilka miesięcy trzeba będzie doprowadzać wszystko do normy. Na szczęście i tak planowali przerwę w klonowaniu, póki nie będą w stanie rozpocząć na wiosnę produkcji masowej. A więc w ich planach nic się nie zmieni, z tą tylko różnicą, że zajmą się teraz strumieniem, uregulują go, założą nowy awaryjny system zasilania i do wszystkiego podchodzić będą z większą solidnością.

Jedynie implantacje ludzkie trzeba będzie odłożyć na późniejszy termin. Wstępne zabiegi klonowania komórek będą musiały poczekać do wiosny, kiedy to laboratorium zostanie oczyszczone, a komputer otrzyma nowy program... Skąd zatem to zadowolenie Marka? Na to pytanie Barry nie potrafił znaleźć odpowiedzi, podobnie jak jego bracia, z którymi rzecz przedyskutował.

Przez całą zimę Marek pracował nad planem wyprawy na wybrzeże. Wiedział, że nie dostanie nikogo z doświadczonych podróżników, gdyż wszyscy oni potrzebni byli przy opróżnianiu magazynów Filadelfii, które dobiegało już końca. Śnieg leżał jeszcze na ziemi, gdy Marek zaczął przygotowywać do wyprawy grupę trzydziestu nastolatków, a na początku marca oświadczył, że chłopcy mogą ruszać w drogę, skoro tylko zacznie się odwilż. Przedstawił Barry'emu listę tego, co powinni z sobą zabrać. Barry nawet na nią nie spojrział. Dzieci miały wyruszyć z ogromnymi plecakami, aby zmieścić w nie ile się da, gdyby trafili na jakieś cenne znaleziska. Równocześnie szykowano do drogi i drugą, ważniejszą grupę, która zdążała do Filadelfii, i której potrzebom poświęcano znacznie więcej uwagi niż eskapadzie Marka.

Gdy laboratorium ruszyło na nowo; a komputer gotowy był do pracy na nowym programie, odkryto, że przepływający przez jaskinię strumień jest zatruty. Bakterie coli dostały się jakimś sposobem do czystej wody w jaskini, a ich źródło należało koniecznie ustalić przed podjęciem prac w laboratorium.

Co za seria – myślał Barry. – Pożar, osypisko, ubytki w magazynach, pozamieniane środki odurzające, a na koniec ta zatruta woda.

– To nie przypadki! – pieklił się Andrew. – Wiecie, co mówią ludzie? Że to wszystko robota leśnych duszków! Duszki! Przecież to Marek! Nie wiem jak i dlaczego, ale to jego robota. Zobaczycie, że wszystko się skończy, ledwie wyruszy ze swoją grupą do Norfolk. Ale tym razem, gdy wróci – o ile wróci – pozbędziemy się go!

Barry nie protestował; wiedział, że to nie miałyby sensu. Tamci zdecydowali już przecież, że Marek, dwudziestoletni już mężczyzna, nie może dłużej wpływać na ich życie. Gdyby nie wystąpił z projektem przeprowadzenia rekonesansu w dokach Norfolk, taką decyzję podjęto by wcześniej. Marek wprowadzał element niepokoju. Młode klony były mu ślepo posłuszne, bez pytania spełniały jego rozkazy i patrzyły na niego z pełnym podziwu lękiem. Co gorsze, nikt nie był w stanie

przewidzieć posunięć chłopca i nigdy nie było wiadomo, co pobudzi go do działania. Był dla nich obcy jak istota należąca do innego gatunku; reprezentował inny typ inteligencji, inny schemat reakcji emocjonalnych. Tylko on opłakiwał śmierć ofiar promieniowania – przypominał sobie Barry.

Andrew miał rację i Barry nie mógł uczynić nic dla zmiany jego decyzji. Jeżeli seria wypadków była istotnie dziełem Marka, w dolinie przynajmniej na jakiś czas zapanuje teraz spokój. A jednak tego samego dnia, w którym Marek i jego grupa opuścili pieszko dolinę, zawałił się płot w odległej części zagrody, powodując ucieczkę i rozproszenie się bydła. Wszystkie sztuki w końcu połapano, z wyjątkiem dwóch krów z młodymi i kilku owiec. Po tym incydencie wypadki rzeczywiście ustały, dokładnie tak, jak to przewidział Andrew.

* * *

Im dalej, tym puszcza była gęściejsza, drzewa coraz potężniejsze. Miejsce to, o czym Marek wiedział, było niegdyś ścisłym rezerwatem przyrody, a jednak nawet jego poraził ogrom drzew, wśród których były i takie kolosy, że dwunastu chłopców, trzymając się za ręce, ledwo opasywało ich pnie. Niektóre z nich Marek potrafił nazwać: biały dąb, jałowiec, klon, kępa brzoź... Odkąd skierowali się na południe, dni były coraz cieplejsze. Piątego dnia skręcili na zachód, ale żaden z chłopców nie zakwestionował zmiany kierunku. Wszystko, co im kazano, wykonywali z radością, sprawnie i bez pytania. Byli silni, ale obciążeni wielkimi plecakami, toteż Markowi zdawało się, że gdy on chciałby biec, oni wloką się w żółwym tempie. Mimo to nie popędzał ich zanadto. Muszą być w dobrej formie, kiedy dotrą do celu. Dziesiątego dnia po południu kazał im się zatrzymać, co chłopcy skwapliwie uczynili, patrząc na niego w oczekiwaniu.

Marek obiegł spojrzeniem rozległą dolinę. Z map dowiedział się, że powinna tu być, nie przypuszczał jednak, że będzie aż tak piękna. Jej środkiem płynął strumień, którego brzegi wznosiły się na tyle wysoko, by zażegnać próbę powodzi, lecz tak łagodnie, że dostęp do wody nie był utrudniony. Dolina leżała na samym skraju parku narodowego; widać tam było i drzewa – kolosy, jakie napotykali na trasie już od kilku dni, i młode, nadające się świetnie na baje do budowy domów. Na równinie powstaną pola uprawne, na łąkach będzie się pasło bydło. Marek westchnął głęboko, a gdy odwrócił się do stojących z tyłu chłopców, jego twarz promieniała uśmiechem.

Całe popołudnie i następny dzień spędził przygotowując chłopców do budowy tymczasowych baraków: wytyczał miejsca pod konstrukcje, które mieli wznieść, znać drzewa do ścięcia pod budowę i na opał, krokami mierzył działki, które chłopcy mieli oczyścić, po czym, zadowolony, że będą mieli co robić pod jego nieobecność, oznajmił, że wróci za kilka dni.

– No dobrze, ale dokąd ty się wybierasz? – zapytał któryś z chłopców, rozglądając się wokół. Jakby po raz pierwszy chciał zakwestionować to, co robili.

– To taki test, prawda? – poddał inny z uśmiechem.

– Tak – odparł poważnie Marek. – Można to nazwać testem. Z umiejętności przeżycia w trudnych warunkach. Czy macie jakieś pytania co do moich wskazówek?

– Pytań nie było: – Przyniosę wam niespodziankę – obiecał, czym zadowolił chłopców całkowicie.

Bez wysiłku przebył odcinek puszczy dzielący go od rzeki, wzdłuż której udał się następnie na północ, aż trafił na czółno, ukryte w krzakach kilka miesięcy wcześniej. Dotarcie z powrotem do głównej doliny zabrało mu w sumie cztery dni. Nie było go tam ponad dwa tygodnie, obawiał się, czy to nie za długo.

Nadszedł od strony górującego nad doliną wzniesienia i ukryty w krzakach obserwował dolinę,

czekając zapadnięcia zmroku. Późnym popołudniem nadpłynął parowiec. Gdy przycumował, przystań zarośla się od ludzi, którzy, ustawieni ramie przy ramieniu, rozładowywali łódź, przekazując sobie pakunki z rąk do rąk, póki wszystko nie znalazło się na brzegu, a następnie w hangarze. Kiedy rozbłysły światła, Marek opuścił swą kryjówkę. Ruszył w dół, w kierunku starego domu, gdzie miał ukryte narkotyki. Przebywszy dwie trzecie drogi, przystanął i padł na kolana. Po prawej stronie, w odległości jakichś stu metrów, widział swoje wejście do jaskini. Ziemia dookoła była rozdeptana, płyty wapienne pokryte błotem. Wejście zostało więc odnalezione i zapieczętowane.

Odczekał trochę, by zyskać pewność, że nikt oprócz niego nie obserwuje domu, po czym z wielką ostrożnością przebył ostatni odcinek drogi, czołgając się pod gęstymi zaroślami wokół budynku farmy i przez zsypaną węglowatą zjechał do piwnicy. Bez światła odnalazł paczuszkę, którą wiele miesięcy wcześniej ukrył za obluźowanymi w tym celu cegłami. W skrytce znajdowała się również butelka wina. Marek pośpiesznie wsypał do niej skradzione środki nasenne i mocno potrząsnął. Było już ciemno, gdy powtórnie wspiał się na wzgórze, zmierzając ku oddziałowi reproduktorek. Musiał się tam dostać, kiedy dziewczyny będą już w pokojach, ale zanim zdążą usnąć. Podczołgawszy się pod ścianę budynku, Marek widział przez okno, jak pielęgniarka kończy wieczorny obchód z tacą leków. Kiedy wyszła z pokoju zajmowanego przez Brendę i pięć innych kobiet, Marek zapukał lekko w szybę.

Na jego widok Brenda uśmiechnęła się szeroko. Natychmiast otworzyła okno, na które Marek wspiał się, szepcząc:

– Zgaście światło. Przyniosłem wino. Urządzimy sobie bal.

– Jak cię tu złapią, obedną cię ze skóry – ostrzegła go jedna z kobiet. Uradowane perspektywą zabawy, od razu zaczęły wyciągać matę, a jedna zabrała się do upinania włosów, żeby nie przeszkadzały.

– Gdzie Wanda i Dorota? – zapytał Marek. – Zawołajcie je tutaj, może i jeszcze kilka innych. Butelka jest całkiem spora.

– Zaraz po nie idę – szepnęła Loretta, i trudem tłumiąc chichot. – Poczekajmy tylko, aż siostra całkiem sobie pójdzie. – Uchyliła drzwi, zerknęła przez szparę i zamykając je z powrotem przyłożyła palec do ust. Po chwili wyjrzała jeszcze raz i wysliznęła się na korytarz.

– Może pójdziemy gdzieś potem sami? – zaproponowała Brenda, przytulając policzek do twarzy Marka. Marek kiwnął głową.

– Macie tu jakieś szklanki?

Szklanki natychmiast się znalazły i Marek zajął się rozlewaniem wina. Razem z zaproszonymi siedziało teraz na macie jedenaście młodych kobiet, ze śmiechem sączących złociste wino. Kiedy zaczęły ziewać, część porozchodziła się do łóżek, te zaś, które przyszły z innej sali, ułożyły się do snu na macie. Marek poczekał, aż wszystkie mocno zasną, i bezszelestnie opuścił pokój. Udał się na przystań, a upewniwszy się, że na pokładzie parowca nie pozostał nikt, wrócił do bloku reproduktorek i po jednej zaczął przenosić do łodzi kobiety, poowijane kocami jak mumie. W ostatnim podejściu zgarnął całą znaną odzież, zamknął okno sypialni i, zziębnięty, ruszył z powrotem do łodzi.

Odczepił cumy i puścił parowiec w dryf, ustawiając go jedynie blisko brzegu za pomocą steru. Kiedy znaleźli się na wprost starego domu, Marek zaczepił linę o wystającą skałę, przybił do brzegu i bardzo dokładnie zabezpieczył łódź. Jeszcze jedno – powtarzał sobie, „bardzo już zmęczony. – Jeszcze jedno.

Pobiegł do domu, zjechał po pochylni zsypu i popędził na górę. Nie zapalając światła, nieomylnie odnalazł obrazy i zabrał się do zdejmowania pierwszego ze sztalug. Za jego plecami

rozbłysł ogień zapalki i Marek zamarł.

– Po co wróciłeś? – zapytał szorstko Barry. – Dlaczego nie zostałeś w lesie? Tam twoje miejsce!

– Wróciłem po swoje rzeczy – odparł Marek, odwracając się do niego. Barry był sam. Zapalał właśnie lampę naftową. Marek zrobił krok w stronę okna, ale Barry potrząsnął głową.

– To na nic. Schody mają system alarmowy. Jeśli ktokolwiek tu wejdzie, rozlega się alarm w pokoju braci Andrew. Za chwilę tu będą.

Marek zerwał pierwszy obraz, za nim drugi, trzeci. – A po co ty tu przyszedłeś?

– Żeby cię ostrzec.

– Jak to? Skąd mogłeś wiedzieć, że wrócę?

– Nie mam pojęcia skąd. Nie chcę wiedzieć skąd. Spałem na dole, w bibliotece. Nie starczy ci czasu, żeby zabrać wszystkie – ponaglił Marka, widząc, że ten zabiera się do zdejmowania kolejnych płócien. – Oni nadejdą lada chwila. Ich zdaniem to ty usiłowałeś spalić młyn, ty zatamowałeś strumień i chciałeś otruć klony w pojemnikach. Tym razem nie będą się bawili w przesłuchania.

– Nie chciałem zabić klonów – sprostował Marek, nie patrząc Barry'emu w oczy. – Wiedziałem, że komputer włączy alarm, zanim dojdzie do użycia zatrutej wody. Jak oni to wykryli?

– Wpuścili do strumienia grupkę chłopców. Kilku udało się wypłynąć na drugim końcu, a reszta była już łatwa. Czterech zginęło – dodał beznamiętnie.

– Przykro mi – odparł Marek. – Tego nie chciałem.

Barry wzruszył ramionami.

– Musisz już iść.

– Jestem gotów.

– Powymieracie tam – rzekł Barry tym samym martwym głosem. – I ty, i te dzieciaki, które z sobą zabrałeś. One nie są zdolne się rozmnażać – myślałeś o przyszłości?

– Zabrałem kilka kobiet z bloku reproduktorek – odparł Marek.

Tym razem na twarzy Barryego odmalowało się zaskoczenie i niewiara.

– W jaki sposób?

– Nieważne. Mam je i tyle. I na pewno damy radę. Wszystko szczegółowo obmyśliłem. Damy sobie radę.

– A więc to wszystko było po to? – spytał Barry. – Pożar, zaporę, zatruta woda, kradzież ziarna? Czy to wszystko po to? – powtórzył nie patrząc już na Marka, lecz szukając odpowiedzi w pozostałych na sztalugach obrazach. – Masz nawet bydło – dodał.

Marek kiwnął głową.

– Zwierzęta są bezpieczne. Wrócę po nie za tydzień lub dwa.

– Oni cię wyśledzą – ostrzegł Barry cedząc słowa. – Jesteś dla nich plagą, nie spoczną, póki cię nie odnajdą.

– Nie znajdą nas – zaprzeczył Marek. – Ci, którzy byliby do tego zdolni, są w Filadelfii. Zanim tu wrócą, nie zostanie po nas nigdzie ani śladu.

– Czy pomyślałeś chociaż, jak to dalej będzie! – Barry zaczął krzyczeć, tracąc nagle całą narzuconą sobie kontrolę. – Oni się ciebie boją, zniechęcą cię. Nie masz prawa skazywać ich wszystkich na cierpienie. I za to właśnie zaczną cię nienawidzić. Powymierają jak muchy! Będą padać jedno po drugim, a z każdą kolejną śmiercią ci, co ocaleli, będą .cię nienawidzić jeszcze silniej. Aż wreszcie wszystkich was spotka podła i nędzna śmierć.

Marek pokręcił przecząco głową.

– Jeśli my poniesiemy porażkę – odparł – na ziemi nie pozostanie już nikt. Piramida chwieje się

w posadach, niezdolna wytrzymać naporu wielkiej białej ściany.

– A jeśli wam się uda, zmienicie się na powrót w dzikusów. Minie tysiąc lat, pięć tysięcy lat – a człowiek nie wygrzebie się z przepaści, jaką mu wykopałeś. Wszyscy zezwierzęceją!

– A wy zginiecie. – Marek obrzucił pokój spojrzeniem i szybko ruszył ku drzwiom. W progu przystanął i popatrzył Barry'emu prosto w oczy. – Ty tego nie zrozumiesz. Z tych, co rozumieją, żyję tylko ja jeden. Ja cię kocham, Barry. Chociaż jesteś inny, odległy i nie jesteś człowiekiem. Tak samo jak cała reszta. Ale nie skazałem ich na zagładę, gdy mogłem i chciałem to uczynić, ponieważ kocham was wszystkich. Żegnaj, Barry.

Jeszcze przez chwilę patrzyli sobie w oczy, a potem Marek odwrócił się i lekko zbiegł po schodach. Za plecami usłyszał jakiś trzask, ale nie odwrócił się. Wybiegł tylnymi drzwiami, a gdy nadeszli bracia Andrew, był już daleko, za szpalerem drzew. Przystanął i wyczuł słuch.

– Jeszcze jest na górze – oświadczył jakiś głos. – Widzę go.

Barry poodbijał zasłaniające okno deski, aby być bardziej widocznym z zewnątrz. Marek zrozumiał, że uczynił to, aby dać mu więcej czasu na ucieczkę. Nisko pochylony puścił się pędem w kierunku rzeki.

– A więc to o to chodziło – powtórzył szeptem Barry, tym razem zwracając się w stronę orzechowej podobizny Molly. Ująwszy rzeźbę w obie dłonie, usiadł przy odsłoniętym oknie, oświetlony od tyłu blaskiem lampy. – O to chodziło – powtórzył, próbując sobie przypomnieć, czy Molly rzeczywiście zawsze się uśmiechała. Nie podniósł nawet wzroku, kiedy po całym domu rozległ się trzask płomieni; przytulił jedynie rzeźbioną główkę, jakby chciał ją ochronić.

Marek stał na oddalającym się szybko parowcu, wpatrzony w płomienie, i płakał. Kiedy łódź obita się o skałę, uruchomił silnik i dalej popłynęli już z jego pomocą. Dotarłszy do Shenandoah, Marek skierował łódź na południe. Płynęli tak, póki masywny parowiec nie zaczął grzęznąć w błocie. Zbliżał się świt. Marek posortował ubrania, które zgarnął przedtem byle jak i sporządził paczki z prowiantem. Przyda im się tyle, ile zdołają unieść.

Kiedy kobiety zaczną się budzić, da im herbaty, razowca i wysadzi na brzeg. Łódź wyprowadzi na środek rzeki i puści w dryf ku dolinie. Na pewno się tam przyda. A potem wraz z dziewczynami ruszy przez las do domu.

Epilog

Ukryty za drzewami, Marek znów stał na skraju doliny. Dwadzieścia lat – myślał. Ostatni raz widział to miejsce przed dwudziestu laty. Nie było wykluczone, że dolinę otaczał teraz wymyślny system alarmowy, ale Markowi jakoś nie chciało się w to wierzyć. Wszystko wskazywało na to, że od wielu lat nikt nie odwiedzał okolicznych lasów. Marek przebiegł ostatni odcinek drogi dzielącej go od doliny, przycupnął za wiechciem dzikich winogron i z uwagą przyjrzał się krajobrazowi na dole. Przez dłuższą chwilę siedział bez ruchu, wstrzymując nawet oddech, aż w końcu ruszył z boczem w dół.

Wokół nie było ani śladu życia. Na polach rosły dzikie akacje, po brzegach rzeki ciągnęły się gęste szpalery wierzb, pielęgnowane niegdyś jałowce i sosny wybijały tak, że prawie całkiem zasłoniły stojące wśród nich budynki. Różany żywopłot zmienił się w nieprzebyte chaszczce. Gwałtowny, niemal ludzki wrzask wstrząsnął Markiem i kazał mu się odwrócić. Kilkanaście sporych ptaków uniosło się w powietrze i niezdarnie przefrunęło do najbliższej kępy zarośli. Kurczaki zdziczały – pomyślał zdumiony Marek. – A bydło? Nie dostrzegł nigdzie ani sztuki, ale domyślił się, że zwierzęta rozpiechły się po lesie i wzdłuż brzegów rzeki. Musiało ich być teraz pełno na całym terenie.

Szedł dalej. Wkrótce znów się zatrzymał. Brakowało jednego dormitorium, nie został po nim nawet kamień na kamieniu. Trąba powietrzna! – przyszło mu do głowy i w tej samej chwili dostrzegł smugę zniszczenia, wygładzoną i zabliznioną przez czas: na tej jednej linii nie było domów ani większych drzew, rosły tam jedynie młode olchy, akacje i trawy, gotowe panować, póki świerki nie przywędrują ze wzgórz, póki wiatr nie przywieje nasion klonu i dębu, które, padłszy na gościnny grunt, zapuszczą w niego korzenie. Marek wędrował śladem katastrofy, z każdym krokiem utwierdzając się w przekonaniu, że była to sprawa huraganu. Huragan nie mógł jednak zgładzić wszystkich mieszkańców doliny. Musiało się zdarzyć coś więcej. Wtem dostrzegł ruiny młyna i stanął jak wryty.

Młyn uległ tak kompletnemu zniszczeniu, że tylko fundamenty i resztki rdzewiejącej maszynarii dowodziły, że to właśnie tu stała niegdyś ta królowa pszczoł, jedyna szafarka woli życia, energii, środków do podtrzymania egzystencji.

Bez młyna, bez elektryczności, koniec musiał nadejść szybko. Marek postanowił nie podchodzić bliżej. Ze zwieszoną głową ruszył chwiejnym krokiem ku rzece. Wystarczyło mu to, co zobaczył.

Wracał powoli, co jakiś czas przystając, by popatrzeć na drzewa, na soczyście zielony kobierzec mchu, by odprowadzić wzrokiem rozmigotaną w słońcu szarańczę, której opalizujące skrzydełka to mieniły się barwami, to znów przestawały być widoczne, gdy owad zmieniał kierunek lotu i pozycję względem słońca: Szarańcza powróciła, znów widywało się komary i ziemne żyjątko. Marek przystanął pod gigantycznym białym dębem, który górował nad doliną, i zamyślił się nad przemianami, które ów niemy świadek musiał w swym życiu obserwować. Nad głową posłyszał szelest liści i, nim poszedł dalej, na chwilę przytulił twarz do chropawej kory drzewa.

Samotność bywała czasem nie do zniesienia; w takich złych chwilach Marek znajdował ukojenie w lesie, gdzie nie szukał niczego, co ludzkie. Czy innym nadal dokucza samotność? Nie był tego pewien: przestali na nią narzekać. Uśmiechnął się na wspomnienie kobiet, które szły za nim z płaczem, krzykiem i ociąganiem, a jednak co chwila podrywały się do biegu, by nie stracić go z oczu.

Przystanął na szczycie wzgórza, pod którym rozciągała się jego dolina, i oparty o pień srebrnego klonu patrzył na to, co działo się w dole. Na polach uwijali się mężczyźni i kobiety: odchwaszczali trzcinę cukrową, motykami okopywali kukurydzę i zbierali fasolę. Inni, usunąwszy jedną ścianę łaźni,

pracowali teraz przy rozbudowie urządzeń sanitarnych; gigantyczne palenisko, zapewniające stały dopływ ciepłej wody, miało być ciaśniej i solidniej obudowane płytkami z palonej gliny. Grupa starszych dzieci majstrowała coś przy kole młyńskim.

Na obrzeżach pól kilkanaścioro malców zbierało jagody. Dzieci ubrane były w koszule z długimi rękawami i długie spodnie, mające e strzec od zadrapań. Ukończywszy zbieranie, podstawiły koszyki i zaczęły na wyścigi ściągać krępujące stroje. Nagie, roześmiane, opalone na brąz, ruszyły w stronę siedziby. Każde było całkowicie różne od reszty.

Barry ostrzegął, że ludzi czeka następne pięć tysięcy lat epoki jaskiniowej, lecz Barry nie brał pod uwagę, że tak mierzy czas człowiek wstępujący po kolejnych stopniach piramidy" a nie ten, który choć chwilę przeżył na jej wierzchołku. Marek poprowadził swych ludzi w epokę nie znającą czasu; w której dni mierzyło się powrotami pór roku, cyklami niebieskimi i cyklami życia ludzkiego, od narodzin do śmierci. Radości i troski ludzi były tu ich własnymi sprawami, które przychodzą i odchodzą, nie pozostawiając śladu. W epoce nie mającej swego miejsca w czasie głównym celem stało się życie na dziś, nie zaś odtwarzanie tego, co było wczoraj, i nie budowanie wymyślnych planów na przyszłość. Wachlarz możliwości, już niemal zamknięty, zaczynał rozwijać się na nowo, każde kolejne narodziny otwierały go odrobinę szerzej. Czego więcej można było pragnąć

Na rzece pojawiły się cztery czółna: chłopcy i dziewczęta wracali z połowu. Ścigali się do domu. Marek wiedział, że już wkrótce niektórzy z nich poproszą o pozwolenie wypłynięcia na ekspedycję badawczą – nie w celu znalezienia czegokolwiek, lecz z prostej ciekawości otaczającego ich świata. Dorośli będą się bali, nie zechcą im na to pozwolić, ale Marek nie odmówi, jego odmowa i tak nie powstrzymałaby tych młodych ludzi. Ich przeznaczeniem było wyjechać.

Marek odepchnął się plecami od drzewa i ruszył w dół. Ni stąd, ni zowąd poczuł, że musi natychmiast znaleźć się w domu. Linda powitała go wyciągniętą dłonią. Miała dziewiętnaście lat i lada dzień spodziewała się dziecka. Jego dziecka.

– Dobrze, że już jesteś – rzekła cicho. – Czułam się samotna.

– A teraz już lepiej – zapytał, otaczając jej plecy ramieniem.

– Lepiej.

Nagie dzieci, dostrzegłszy Marka, rzuciły się ku niemu ze śmiechem, wołając coś jedno przez drugie. Dłonie i buzie miały umorusane jagodami. Marek mocniej przytulił Lindę, a gdy spojrzała na niego pytająco, rozluźnił uścisk, przestraszony, że sprawił jej ból.

– Czemu się tak uśmiechasz? – zapytała.

– Bo dobrze jest być znowu w domu. Mnie też dokuczała samotność – odparł, świadom, że to tylko część prawdy i że drugiej części nie byłby w stanie jej wyjaśnić: bo każde dziecko było INNE.

K O N I E C

Spis treści

Strona tytułowa.	1
Rozdział 1.	2
Rozdział 2.	8
Rozdział 3.	12
Rozdział 4.	15
Rozdział 5.	20
Rozdział 6.	24
Rozdział 7.	27
Rozdział 8.	32
Rozdział 9.	36
Rozdział 10.	39
Rozdział 11.	42
Rozdział 12.	46
Rozdział 13.	51
Rozdział 14.	56
Rozdział 15.	61
Rozdział 16.	64
Rozdział 17.	68
Rozdział 18.	73
Rozdział 19.	79
Rozdział 20.	82
Rozdział 21.	86
Rozdział 22.	93
Rozdział 23.	100
Rozdział 24.	105
Rozdział 25.	112
Rozdział 26.	119
Rozdział 27.	125
Rozdział 28.	131
Epilog.	137